

MARIA JANUSZKIEWICZ

KAZACHSTAN

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

KAZACHSTAN

1992-1993
J. A. ...
...
...

MARIA JANUSZKIEWICZ

KAZACHSTAN

*Pamięci moich Rodziców
wspomnienia te poświęcam*

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 343

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1981

KAWAŁY

OD AUTORA

Jeśli wspomnienia te dotrą kiedyś do rąk moich Sióstr i Braci — proszę ich o wyrozumiałość. Każdy z nas przeżył Syberię na swój sposób, wywiózł swój własny obraz naszych wspólnych losów, wysnuł swoje prywatne wnioski, a stosunek do świata i ludzi układał każdy indywidualnie, w dużym stopniu pod wpływem tamtych doświadczeń, które w naszych umysłach i odczuciach pozostawiły niezatarte piętno.

Wspomnienia te stanowią jakby zbiór ułożonych chronologicznie obrazów — takich, jakie pozostały w moich myślach i powracają z całą ostrością w koszmarnych snach: Trudno było zmieścić we względnie szczupłym objętościowo tomie wszystkie, nawet bardzo istotne szczegóły naszego syberyjskiego bytowania; nie opisuję tu np. pracy Aliny jako parobka od koni w stajni w Korniejewce czy w Juźnym, kiedy wracała przesiąknięta zapachem końskiego potu, taszcząc na zmęczonych plecach wiązkę objedków na opał — gdyż w mojej pamięci pozostał przede wszystkim obraz Aliny, kiedy uginając się pod koromysłami dźwigała po śniegu dwa wielkie wiadra wody ze studni, otwartymi z wysiłku ustami wydychając kłęby pary na mrozie, lub kiedy z zatławionymi od dymu i pełnymi rozpaczony ogromnymi oczyma, klęcząc usiłuje rozdmuchać ogień z mokrej słomy, aby nam ugotować gorący, życiodajny posiłek, wyczarowany przez nią z jakichś zmarzniętych kartofli i z resztek mąki. Jak również trudno mi było opisywać Jasię jako chleboresa w tzw. chatce polowej brygady, gdzie pracowała dorywczo w dowód uznania dla jej sumiennej pracy — i skąd wracała, mając ciało pod bluzką obłożone kromkami kradzionego chleba — gdyż obraz Jasi jawi się zawsze w mojej pamięci, jak po powrocie z kołchozowych

magazynów od pracy przy suszeniu ziarna — na rozłożonym kocu zdejmuje ogromne walonki oraz szerokie, troskliwie podwiązane sznurkami „odzienie” — i przy pomocy członków rodziny pieczołowicie wysypuje z zakamarków ubrania garście kołchozowej kradzionej pszenicy, często stanowiącej podstawę naszego przetrwania.

Wspomnienia te nie zostałyby spisane, gdyby nie wielka wyrozumiałość mego Męża, który cierpliwie znosił moją „psychiczną nieobecność” w domu i podczas gdy przez moją głowę przetaczały się suche, kuliste krzaczki perekatypola lub z cichym, złowrogim szelestem sunęły po śniegu niekończące się węże syberyjskich buranów — On stwarzał mi warunki, abym mogła pogrążyć się w świat moich przeżyć. Był też ich pierwszym, ważnym słuchaczem i krytykiem. Także Jemu i naszemu synowi Markowi zawdzięczam błyskawiczne przepisanie na maszynie pierwszej redakcji tekstu, dokonane w absolutnie niemożliwych na „zdrowy rozum” warunkach.

Na tym miejscu czuję się w obowiązku podziękować naszemu wypróbowanemu w rozlicznych i dziwnych przygodach Przyjacielowi, Marianowi Ł., w którego domu powstawały ostatnie rozdziały wspomnień — za pobłażliwość, z jaką znosił moje ówczesne usposobienie i humory.

Wyrazy najgorętszej wdzięczności kieruję na ręce Pana Redaktora Jerzego Giedroycia, bez którego wyrozumiałości i życzliwości nigdy by te wspomnienia nie przybrały realnego kształtu książki.

Maria JANUSZKIEWICZ

Wczesnym rankiem tego dnia ludzie mieszkający blisko stacji kolejowej przynieśli wiadomość, że w nocy na torach ustawiono cały pociąg wagonów towarowych. Wszyscy w mieście wiedzieli, co to oznacza — już od czasu lutowych wywożeń. Co chwila ktoś przerażony przybiegał do nas z tą wiadomością. Mama wróciła późno ze szkoly z konferencji, podczas której czytano protokół z wizytacji, zawierający bardzo pochlebną opinię sowieckiej wizytatorki o Mamy sposobie prowadzenia lekcji. Mama śmiała się i mówiła, że po nagrodę pojedzie na Syberię.

Już się tego spodziewaliśmy, gdyż w Palmową Niedzielę był u nas politruk z gimnazjum, Żyźniewski, który dokładnie spisał nasze dane personalne. Pomimo to na wiadomość o tych wagonach serca nam zamarły. Marysia pobiegła z koleżanką Mamy po chleb na drogę, gdyż mieliśmy w domu zbyt mało pieczywa — a było nas przecież ośmioro. Przed godziną policyjną przyszły do nas przerażone i zapłakane Babcia i Ciocia — matka i siostra Ojca. Przyszły nas pożegnać i przyniosły nam bochenek chleba i kawałek słoniny. Ich ówczesny lokator — żołnierz sowiecki ze straży granicznej — wrócił wieczorem do domu i powiedział im, że na pewno tej nocy będą wywozić ludzi wcześniej spisanych. Po wyjściu Babci i Cioci namówiliśmy do pójścia spać młodsze rodzeństwo: dwunastoletniego Stasia, który tego dnia miał podwyższoną temperaturę i ból gardła, dziesięcioletnią Terenię i ośmioletniego Antka. Same — Mama, Alina, Marysia, Jasia i Zosia — zostałyśmy w stołowym pokoju, zdenerwowane i oczekujące. Był z nami młody lekarz, Żyd z Łodzi, Rogoziński, który mieszkał wtedy u nas w naszym „panieńskim” pokoju

z werandą. Wprowadził się on po naczelniku NKWD, który wyniósł się od nas po lutowych wywożeniach¹.

1. a) Polacy wywożeni byli w trzech transportach.

Pierwszy wyjechał w lutym 1940 roku. Wywieziono wtedy rodziny osadników wojskowych, leśniczych, gajowych, bogatszych gospodarzy wiejskich, działaczy społecznych z miast i wsi oraz policjantów. Ludzi zwożono saniami z odległych miejscowości do stojącego przez kilka dni na stacji, nieogrzewanego pociągu. Mróz dochodził wtedy do -35°, co się w Polsce nieczęsto zdarzało, nawet na dalekich Kresach. Ludzie, czekający w pociągu, głodni i zmarznięci, usiłowali ugotować sobie jakieś posiłki przy ogniskach, rozpalonych wzdłuż torów, pod okiem sowieckich konwojentów. Mieszkańcy pobliskich domów przynosili gorącą zupę i chleb — ale było tego mało i dostarczenie nawet takiej ilości pożywienia wywożonym zależało od humoru pilnujących żołnierzy. W ciągu tych dni oczekiwania rozgrywały się tam tragedie, o których wiele opowiadała sąsiadka naszej ciotki, pani Maria W., pielęgniarka ze szpitala. Zawieziono ją którejś nocy do oczekującego na stacji pociągu, aby udzieliła pomocy chorym i położnicom, z których kilka — ze zmęczenia i zdenerwowania — urodziło przedwcześnie dzieci w czasie drogi na saniach. Konwojujący żołnierze sowieccy noworodki wyrzucili w śnieg, protestujących, rozpaczonych członków rodzin, usiłujących wyskoczyć z sanek — uspokoiłi kolbami karabinów, a nieszczerne matki zamarzały potem w pociągu, okutane wszystkimi możliwymi kocami i kożuchami. Kiedy ten transport nareszcie odjechał — w oczach i na twarzy pani Marii W. zastygł wyraz oślepiałego przerażenia, który już nie znikł z jej twarzy do śmierci. Opowiadała nam też pani Zofia Bajkowska, dawna uczennica Mamy, dr neurologii, że wzywana była kilkakrotnie do powiatowego naczelnika NKWD, kierującego akcją wywożenia. Obrazy, które w czasie trwania tej „akcji” oglądał powracały do niego nocami w halucynacjach i nie pozwalały mu zasnąć, męcząc go niesamowicie, do tego stopnia, że potrzebował pomocy lekarskiej. Był w stosunku do lekarki całkowicie bezbronny i szczerzy — i kiedy nam o tym opowiedziała, odedużyliśmy pewien rodzaj satysfakcji, że w jakimś stopniu poniósł karę za swoje czyny. W niedługim czasie został przeniesiony do innej miejscowości.

Ten pierwszy transport skierowany był głównie do tajgi w północnej Syberii.

b) Drugi transport, tzw. „nasz”, wyjechał z ziem wschodnich w połowie kwietnia 1940 roku. Obejmował rodziny więźniów, aresztowanych w okresie od września 1940 do marca 1941 na zajętych przez armię sowiecką terenach, rodziny bogatszych gospodarzy, policjantów, rodziny „wykrytych” w tym czasie oficerów Wojska Polskiego, bogatszych kupców, działaczy społecznych. Skierowano go do kołchozów Kazachstanu.

c) Trzeci transport, który wyjechał z ziem polskich w czerwcu 1941 roku, tuż przed atakiem Niemców na Sowiety, obejmował resztę rodzin więźniów oraz inny „niepewny element”, czyli ludzi, którzy cokolwiek posiadali, byli zaangażowani w pracy społecznej czy też przeskadzali lub mieli odwagę narazić się czymś nowym władzom miejscowym. Ci zostali skierowani głównie do Krasnojarskiego Kraju. M.in. wywieziono tam rodziny naszych kolegów szkolnych — Remigiusza K. i Zygmunta H., którzy — mając nasze adresy — przysyłali do nas listy i depeche, pisane na gazetach między wierszami. Byli wśród tej grupy zesłańców żona i mały synek naszego profesora polonisty ze szkoły — Aleksandra K., oficera

Siedzieliśmy razem rozważając „szanse” podróży. Raz jeszcze myśleliśmy, czy dobrze się stało, że nie przeszliśmy przez zieloną granicę do zaboru niemieckiego, co zamierzaliśmy uczynić, aby uniknąć wywiezienia: wtedy przeważała szalę na rzecz pozostania plotka — wiadomość, że w czasie wywożenia łączą rodziny z więźniami. Ponieważ Ojciec od 11 października był w więzieniu i od trzech miesięcy nie mieliśmy o Nim żadnej wiadomości — postanowiliśmy zostać — i wyjechać, chociaż bardzo nas namawiał na zmianę decyzji zaprzyjaźniony „przewodnik” ze wsi granicznej.

O godzinie 11-tej wieczorem rozległ się ostry, długi dzwonek do drzwi wejściowych. Mieliśmy śmieszny, starsowiecki dzwonek „proszę kręcić” — i ktoś go musiał długo kręcić, żeby aż tak donośnie i bezlitośnie dzwonił. Doktor Rogoziński wycofał się do siebie i zamknął się na klucz. Marysia poszła otworzyć drzwi. Ręka jej bardzo drżała, ale drzwi musiały zostać otwarte. — Weszło ich siedmioro — kobieta i sześciu mężczyzn: enkawudysta w błękitnej czapce, dwóch cywilów, bladych z rozbieganymi oczyma, w długich ciemnych płaszczach i w „cyklistówkach”. Na koniec — trzech żołnierzy z karabinami. Dwóch wyszło zaraz pilnować drzwi od ulicy i od podwórza. Enkawudysta zapytał: *Zdies żywot siemja Januszkiewicz?* — Mama powiedziała: „Tak, tu”. Enkawudysta odczytał po kolei nasze imiona, nazwiska i daty urodzenia i powiedział: *Sowietskaja vlast' priszudajet was k' pieresieleniju na dalnyj Wostok.* — Mama na to: „Dobrze. Tylko ta dziewczynka — wskazała Jasię — nie jest członkiem naszej rodziny i córką ojca-więźnia i może pozostać u drugiej ciotki”. Jasia jednakże odpowiedziała, że z nami wyjechała od swojej mamy, więc teraz też z nami pojedzie i z nami wróci.

Zaraz też, nie budząc dzieci, wzięliśmy się do pakowania. Enkawudystów zdziwił widok plecaków, przygotowanych w przedpokoju (na wypadek tego ewentualnego przejścia granicy). Mama

13 pułku jazdy tatarskiej z Wilna. Odnalazł się on po „amnestii”, był w Armii gen. Andersa, zabrał żonę i synka na Bliski Wschód i walczył potem pod Monte Cassino, gdzie był ciężko ranny.

O tych wywożeniach Polaków, które dotyczyły ok. 1 miliona Polaków, nic nie pisze w swoich pamiętnikach Chruszczow, nie rejestruje ich autor angielskiej książki „The Nation's Killers”, przedstawiającej szczegółowo losy wysiedlonych mieszkańców republik krymskich i kaukaskich w latach 1942-1944.

im wyjaśniła, że dla nas dzisiejsza noc nie jest niespodzianką, gdyż już od kilku tygodni spodziewaliśmy się wywiezienia — i że to są spakowane podręczne rzeczy. — Mogliśmy zabrać po 100 kg na osobę. Enkawudysta radził zabierać jak najwięcej ciepłych rzeczy. Zapakowaliśmy więc futra Mamy i Ojca, kożuski, wszystkie nasze ciepłe płaszcze, koce, kołdry, poduszki i pościel, jaka ocalała z wrzesnia spod rąk ludzi, którzy plądrowali nasz dom, podczas gdy część rodzeństwa była z Mamą na Wołyniu u rodziców Jasi, Ojciec i Alina w Wilnie, a nasz najstarszy brat Broniek na wojnie.

Pakowaliśmy ubrania, bieliznę, buty. Zabierałyśmy ubranie Ojca w nadziei, że Go do nas dołączą. Zabierałyśmy książki, podręczniki szkolne, roczniki *Iskier*, *Płomyka* i *Płomyczka*, „Trylogię”, „Pana Tadeusza”, „Bohaterskiego Misia”, zbiory poezji — zresztą wybór był dość przypadkowy, bo jednak wszystko leciało nam z rąk.

Przy pakowaniu kuchni asystował jeden z żołnierzy, wyszukując i podając różne przedmioty. I tak zresztą nie zabrałyśmy wielu istotnych, a jak się później okazało — bardzo przydatnych rzeczy. Wzięłyśmy np. żelazko elektryczne, zamiast węglowego lub „z duszą”. — Wiadra, miski, naczynia i garnki układałyśmy w dużej skrzyni. Ubrania i pościel — w wielkich pakunkach, uszytych naprędce z wakacyjnych sienników i kap na łóżka. Przez cały czas po naszych półkach ze szkolnymi książkami i po szufladach biurka Ojca plądrowali dwaj cywile, wyrzucając wszystko na podłogę, zrywając pieczętowanie gumki ze wszystkich znalezionych pieczętów i wertując nasze podręczniki i zeszyty swoimi szurczymi oczami. Kiedy już większość rzeczy była spakowana — obudziłyśmy dzieci. Wstały wystraszone, ale spokojne. Pomogłyśmy im umyć się i ubrać, szczególnie troskliwie pilnując Stasia, gdyż miał on skłonność do bronchitów. Była godzina druga w nocy. Enkawudysta zapytał, kogo Mama upoważni do opieki nad pozostałymi rzeczami. Ponieważ Mama chciała tę opiekę przekazać Cioci — Marysia poszła po Nią z jednym z żołnierzy. Babcia i Ciocia nie kładły się spać — czekały. Marysia uklękła przed Babcią na pożegnanie. Wróciła z Ciocią i żołnierzem do domu.

Na naszej ukochanej, starej kanapie rozłożyła się bolszewiczka. Spędziłyśmy ją z kanapy i usadowiłyśmy się same, głaszcząc i tuląc zdenerwowane i rozespiane dzieci, które ogromnymi oczami patrzyły w milczeniu na to, co się działo w naszym domu. Tereń była szczególnie rozżalona, gdyż jej ulubieniec — wielki,

czarny kot Filemon — nie wrócił z wieczornych spacerów i nie mogła go pożegnać.

Czekaliśmy na transport. O czwartej nad ranem zajęchała przed ganek ciężarówka. Poszliśmy wszyscy do pokoju dzieci, uklękliśmy i powtarzaliśmy za kamiennie opanowaną Mamą „Pod Twoją obronę” i „Kto się w opiekę odda Panu Swemu”. — Zaczynało świtać. Teraz już trzeba było wychodzić. Ogromne paki z pościelą i ubraniami i wielka, kuchenna skrzynia przerażały możliwości naszych rąk. Żołnierze stali i przyglądali się naszym daremnym wysiłkom. I wtedy enkawudysta w błękitnej czapce krzyknął na nich: „Czego stoicie i przyglądacie się? Nie widzicie, że to same kobiety i dzieci? Ładujcie rzeczy na samochód!” — Żołnierze ułożyli nasze pakunki — myśmy usiedli na wierzchu. Ciocia, płacząca i zrozpaczona, została na ganku. Za nią świeciły okna naszego opuszczonego, przewróconego do góry nogami domu.

Była noc z piątku dwunastego na sobotę trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

W drodze na dworzec kolejowy, w półświatle wstającego dnia spotykaliśmy nielicznych przechodniów, którzy na nasz widok wydawali okrzyki zdumienia i zgrozy. Znało nas przecież całe, nieduże miasto: po dwudziestu latach pracy nauczycielskiej Rodziców i ich zaangażowania w tworzenie instytucji kulturalnych i społecznych, można bez przesady powiedzieć, że po Księdzu Dziekanie byli najbardziej popularnymi ludźmi w mieście. Ojciec był stałym członkiem Rady Miejskiej, a od zimy 1938/39 burmistrzem komisarycznym. Po drodze zajęchaliśmy po panią Stasię P., żonę oficera miejscowego pułku ułanów. Mąż jej poszedł na wojnę, ona została z jego starą matką i z dwojgiem malutkich dzieci: 2 i pół-letnim Rysiem i dziewięćmiesięczną Anią. Ona, z nieprzytomnymi oczyma, niosła teraz na rękach dzieci, teściowa — w dwóch kapeluszach na głowie, dźwigała w rękę koszyk z nocnikiem i kilkoma słoikami konfitur. Rzeczy ich — na rozkaz tego samego enkawudysty — wynieśli i ułożyli na ciężarówce żołnierze z eskorty. Pomogliśmy obu paniom z dziećmi wdrapać się i usadowić na pakunkach. Na dworcu na rozkaz enkawudysty eskorta wyładowała nasze rzeczy do wagonu.

Był to duży, bydłęcy wagon, z małymi, okratowanymi okienkami pod sufitem i z dwoma poziomami prycz. Wszystkie drzwi pociągu były otwarte i wszędzie ładowali się ludzie. Do naszego wagonu załadowano 32 osoby. Ponieważ byliśmy pierwsi w wagonie — zajęliśmy wraz z panią Stasią i jej rodziną wyższy poziom prycz, licząc na lepszą wentylację. Drżeliśmy wszyscy z zimna, niewyspania i zdenerwowania. Zwożono ludzi z okolicznych wsi, więc pociąg stał na stacji przez całą sobotę i do południa w niedzielę. Mieszkańcy miasta przychodzili, przynosząc żywność dla wywożonych. Do nas przyszły — aby nas jeszcze zobaczyć — Babcia i Ciocia. Wciąż nie mogły opanować płaczu. Przychodzili też nasi koledzy. Każdy przynosił coś do jedzenia. Nawet znajomi Rodziców z pobliskich wsi przyjechali nas pożegnać i przywieźli bochen wiejskiego chleba, kawałek słoniny, ser... W niedzielę przyszedł politruk Żyźniewski sprawdzić pewnie, czy wszyscy jego podopieczni są już w wagonach. Mama zapytała go po polsku: „Cóż to, Żyźniewski, szukacie znajomych? Jesteśmy, jesteśmy!” — Żyźniewski uśmiechnął się krzywo, ale nie było po nim widać, żeby to, co oglądał, wywarło na nim jakieś wrażenie. Były to przecież dla niego zwykłe sceny w jego długiej karierze enkawudysty. — W sobotę byliśmy świadkami wstrząsającego wydarzenia: wywożono rodzinę piekarza z przedmieścia, działacza robotniczego, który zwykle wygłaszał płomienne przemówienia na wiecach w dniu pierwszego maja. Został on „w nagrodę” aresztowany przez bolszewików w październiku 1939 roku. Jego syn Józek, nasz kolega gimnazjalny, uciekł z domu do partyzantki, która już tworzyła się w okolicznych lasach. Kiedy mu dano znać, że jego matkę i siostry wywożą — przyszedł do nich z lasu na stację kolejową, żeby je pożegnać. Stąd go zabrali — i widzieliśmy, jak szedł w swoim szkolnym płaszczu, z opuszczoną głową, eskortowany przez trzech żołnierzy. Za nim leciał rozpaczliwy płacz matki.

W niedzielę wydawało nam się, że jesteśmy u skraju wytrzymałości. O myciu nie było mowy. Wychodzenie z wagonu w sprawach fizjologicznych odbywało się pod eskortą żołnierzy. Ponieważ w naszym wagonie było kilka młodych dziewcząt — nas pięć i Lila Myślińska, którą z matką i bratem przywieźli z ich domu na wsi — wciąż zaglądali do nas żołnierze, usiłowali dowcipkować i wybuchali głośnym, ordynarnym śmiechem. Zniecierpliwiło nas to w końcu i zaczęliśmy im wymyślać. Około południa zasunięto drzwi wagonów, odganiając w sposób brutalny wszystkich żegnających, między innymi nasze zapłakane Babcię i Ciocię — i pociąg ruszył. Ludzie we wszystkich wagonach

śpiewali pieśni religijne i patriotyczne. Nikt nie płakał — płakali ci, co zostali².

Więźniów nie dołączono do rodzin. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że nastąpi to w Grodnie. Ale i tu dworzec był pusty i nasz transport szybko pojechał dalej.

Po drodze doczepiano do nas inne wagony, tak że w końcu był to ogromny transport, jadący na wschód. Nigdy nam się nie udało policzyć wagonów, gdyż postoje w lesie lub na stacjach, kiedy pozwalano nam wyjść, były bardzo krótkie i towarzyszyły im ochocze pokrzykiwania konwojentów: *Dawaj skorej w wagon!* Na każdej stacji, przez którą przejeżdżał nasz pociąg w ciągu dnia, czekały gromady ludzi z żywnością. Przynosili nam chleb, słoninę, jajka, sery, mleko w butelkach, a nieraz gotowane w łupinach kartofle. Były to nasze jedyne posiłki w czasie podróży przez terytorium Polski.

Mijały lasy, wsie i pola. Budziła się wiosna, śniegi już prawie stopniały, gdzieniegdzie tylko brudnawe łaty leżały pod drzewami. Wszędzie przebijała się młoda, zielona trawa, na słonecznych stokach nasypu kolejowego i na polanach leśnych kwitły sasanki, na suchszych łąkach i w lasach pały się już nawet krowy. Na polach widzieliśmy ludzi orzących ziemię pod wiosenne siewy lub mijaliśmy rozległe smugi szmaragdowych ozimów. Na brzegach lasów bieleły się kuliste krzaki kwitnącej tarniny. Czasem widzieliśmy zgliszcza miasteczek i wsi ze sterczącymi ku niebu kominami. Przy torach i resztkach stacji kolejowych ziały ogromne doły po wybuchach bomb z września — ale już na to wszystko wracało powoli życie i ziemia zaczynała goić rany. Cały ten uroczy i tak umęczony kraj uciekał w tył pod kołami naszego pociągu, który raz przędzej, raz wolniej wiozł nas wciąż na wschód. Którejś nocy otwarto z trzaskiem drzwi wagonu. *Skoriej, skoriej!* — krzyczeli konwojenci. Półśpiący ludzie z rozspanymi i płaczącymi dziećmi musieli błyskawicznie wyładować się z wagonów polskich do szerokotorowych wagonów sowieckich. Wszystko odbywało się w ciemności, przy widmowym świetle księżyca, przeświecającego przez mgłę. Przekraczaliśmy granicę Polski z września 1939. Zamknięto załadowane wagony i zaległa cisza. Staliśmy do rana. Dopiero wtedy nastąpiło sprawdzanie obecności — odczytano wszystkie nazwiska i dane personalne „mieszkańców wagonów”. Trwało to niesłychanie

2. „Nasz” enkawudysta, przed samym zasunięciem drzwi wagonu, zajął do nas i powiedział: „Nie miejcie do mnie żalu. Musiałem wykonać swój obowiązek. Myślę, że was przy tym dodatkowo nie skrzywdziłem”. — Jego słowa przetłumaczyła nam potem Mama.

długo, gdyż okazało się, że na stacji w Baranowiczach stoi wiele transportów. Dawały się zauważyć oznaki pewnego zamieszania wśród konwojentów. Spowodowane ono było ucieczką kilku osób³. W końcu konwojenci wrócili na swoje miejsca i pociągi jeden za drugim zaczęły ruszać. W oknach jednego z mijających nas pociągów zobaczyliśmy głowy naszych stryjecznych braci, którzy wraz z matką i siostrą też jechali na wschód. Krzyknęliśmy do siebie parę słów — i wagon przejechał.

Od tego dnia jechaliśmy przez teren Sowieców. Aczkolwiek charakter mijanej ziemi był taki sam, jak naszych kresowych okolic — takie same lasy, pola, rzeczki, wsie i miasteczka — rzucały się w oczy ogromne różnice w sposobie zagospodarowania kraju. Był to już ósmy miesiąc od dnia wybuchu wojny, a nasze lasy wciąż nosiły ślady dobrej gospodarki. Po tej stronie widzieliśmy w lasach niesprzątany chrust, uschnięte drzewa i dzikie poręby z pniami drzew uciętych na wysokości ramion człowieka. Mijaliśmy nędzne wsie i miasteczka bez śladu ogródków przydomowych. W małych laskach i przy torach kolejowych pasły się zabiedzone, chude krowiny. W jakimś miejscu ze zgrozą zobaczyliśmy ludzi przy niewielkiej wysokości kopcach pokrytych darnią, z których wydobywał się dym. Kiedy przejeżdżaliśmy bliżej i można było przyjrzeć się dokładniej, zobaczyliśmy, że było to całe osiedle ziemianek — jam, wykopanych w ziemi i nakrytych żerdziami, ziemią i darnią. Na jakiejś większej stacji pociąg stał dłużej i widzieliśmy pogrzeb miejscowego dostojnika, zapewne partyjnego, gdyż niezdarne zbita trumna z surowych desek pomalowana była na jaskrawo czerwony kolor. W innym mieście pierwszy raz w życiu zobaczyliśmy ludzi, leżących i śpiących w biały dzień na bruku pomimo, że był to kwiecień i dni chłodne. Na jednej ze stacji podkradł się do naszego pociągu chudy, wynędzniały chłopiec w obszarpanych resztkach szynela wojskowego i w oberwanej czubatej czapce. Przejmującym szeptem mówił: *Pany, dajcie chleba!* Spostrzegł go jeden z konwojentów i szybko pobiegł w jego stronę. Chłopiec uskończył i ze zwinnością szczura zaczął uciekać i kluczyć pod wagonami. Żołnierz był jednak szybszy i silniejszy. Złowił go i na naszych oczach okrutnie zbił tę biedną, zagłodzoną ludzką istotę.

Wypuszczano nas z wagonów trzy razy dziennie — na pięć

3. Z naszego pociągu udało się zbiec kilku osobom. Była między nimi p. Salomea Przyrowska, żona inspektora szkolnego, aresztowanego przez sowiektów w jesieni 1939 roku. Udało się jej wrócić do Sejnu, do własnego domu, gdzie zmarła w roku 1975, mając lat ponad 90. Mąż jej nie wrócił nigdy.

minut. Konwojenci chodzili dookoła i krzyczeli. *Dawaj skorej pod wagon, a po tych pięciu minutach: dawaj skorej w wagon*, starannie sprawdzając pod wagonami, czy aby ktoś tam nie został. Te wychodzenia były szalenie męczące i upokarzające, szczególnie dla starszych osób, którym było bardzo ciężko i niewygodnie chodzić przez tory pod wagony i tam jeszcze rozbierać się, kucać i wstawać — wszystko pod okiem brutalnych żołnierzy, przy akompaniamencie ordynarnych krzyków i dowcipów w rodzaju: „babuszka, co tak długo, objadasz towarzyszy podróży, a potem czekać jeszcze na ciebie muszą”...

O wodzie do mycia trudno było marzyć, raz dziennie pozwalano nam brać wrzącą wodę z lokomotywy i od przekroczenia granicy raz dziennie dawano nam gorący posiłek, złożony z gęstej zupy — grochówki lub krupniku — i z talerza gęstej kaszy z łyżką oleju wlanego w dołek wykręcony na czubku stożka kaszy. Do tego dawano trzysta do pięciuset gramów ciemnego chleba, okropnego „gniota”, sypiącego się i niesmacznego. Gospodarze ze wsi, jadący z nami w wagonie, mówili, że chleb jest pieczony z domieszką mąki z prosa i kukurydzy. Od tego chleba Marysia dostała silnej biegunki, z której Mama wyleczyła ją, dając jej do wypicia kieliszek wódki. Do mycia rąk łapaliśmy w czasie deszczu nieco wody z dachu wagonu przez okienka, które nie były okratowane. Czasem udawało się nam schwycić trochę wody w czasie postojów na stacjach. W mijanych miejscowościach pani Myślińska, jadąca z nami, wychylała się przez okienko i niezależnie od wielkości osiedla nieodmiennie pytała konwojentów: *Bojec, budtie lubiezny, skazitie mienia pożałujsta, kakaja eto dieriewnia?*, co ich w przypadku większych miast przyprawiało o wściekłość i odpowiadali: *Nu sztoż, tiotka, razwie nie widisz, wied' eto gorod* — i wymieniali nazwę stacji. Na to p. Myślińska: *Sztoż wy goworitie, a ja dumata, szto eto takaja bolszaja dieriewnia!*

W miasteczkach widać było krzywą zabudowę, nędzne, źle oświetlone ulice, nietynkowane domy. Po ulicach chodzili zabiedzeni, szaro ubrani ludzie o posępnych, zgaszonych twarzach. Na takich „rozrywkach” upłynął nam czas aż do Uralu. Pojawiły się wspaniałe widoki: dzika przyroda, olbrzymie, pod niebo sięgające góry, przez które przejeżdżaliśmy w ciągu dwóch dni tunelami lub głębokimi wąwozami. Mijaliśmy wspaniałe lasy, nieruchome i ciche, i ogromne, puste przestrzenie bezludnego kraju. Przejechaliśmy stacje kolejowe: Ufa, Złatoust, Czelałińsk, Swierdłowski — zdając sobie sprawę, że te góry oddzielają nas od świata kultury i życia, w którym wyrosliśmy i żyliśmy dotych-

czas: wjeżdżaliśmy do Azji. Uświadamialiśmy sobie, jak daleko jesteśmy od domu, od kraju. I cały czas jechaliśmy sami: więźniów do nas nie dołączono.

Przejechaliśmy Ural, przed nami rozciągnęły się bezkresne równiny stepów Azji. Na stacji Kurgan wypuszczeni zostaliśmy nareszcie na godzinny spacer. Co za ulga! Nawet w sprawach potrzeb fizjologicznych można było pójść do pobliskiego brzożowego lasku bez konwojenta! Można było umyć twarz i ręce, oczywiście w kolejce, pod kranem stacyjnym. Dzieci biegały. Nawet starsze osoby udało się wyprowadzić z wagonów na ten dobroczynny spacer. Po upływie godziny wróciliśmy do wagonów, zasunięto i zaryglowano drzwi i pociąg ruszył.

28 kwietnia obudziliśmy się rano: uderzyła nas cisza i bezruch pociągu. Ten stan trwał dość długo. Ktoś z nas zastukał w drzwi. Konwojenci odsunęli zasuwę i otworzyli. Wyszliśmy z wagonu. Okazało się, że zostały tylko trzy wagony z całego naszego transportu. Reszta pociągu pojechała dalej, lub wagony w nocy zostawiono po drodze na innych stacjach. Trzej konwojenci, przydzieleni „do opieki” nad nami, pomogli wyładować rzeczy. Stacja nazywała się Smirnowo. Dookoła roztaczał się pusty, szary i bezbarwny o tej porze wczesnego przedwiośnia step. Za stacją był mały gaik brzożowy. Blade zauralskie słońce świeciło nad tą pustą, smutną ziemią. Po chwili przyszli do nas ludzie z widniejącego za laskiem osiedla i przynieśli jajka malowane na czerwono. Była to ich Przewodnia Niedziela. Wśród Polaków wyładowanych z wagonów — około 60 osób — znaleźliśmy jeszcze innych znajomych. Byli to żona i synowie urzędnika z elektrowni w naszym mieście — Witek i Władek Łęgiewiczowie z matką. Witek „wrócił do ojczyzny” — jak mówiła jego matka, gdyż urodził się gdzieś pod Uralem w 1919 roku, gdzie w tym czasie przebywali jego rodzice.

Tego ranka przyjechały pierwsze ciężarówki, rozwożące Polaków na miejsca przeznaczenia. Swoje pakunki przemieszciliśmy z tobołkami pani Stasi, żeby z nią razem pojechać do miejsca osiedlenia, sądząc, że przyda się jej nasza pomoc ze względu na małe dzieci i na wpół zdziedzinną teściową. Staraliśmy się też trzymać blisko Władka i Witka, sądząc, że wspólnie łatwiej nam będzie zorganizować życie. Pierwszego dnia ciężarówki zabrały cztery rodziny. Ci, którzy zostawali na stacji Smirnowo — mieli przed sobą konieczność spędzenia nocy na stepie. Młodzi daliby sobie radę, ale dla starych ludzi i dzieci sprawa przedstawiała się tragicznie. Była w tej grupie pani N. z naszego miasta, z trzema córkami — 5-14 lat — oraz z dwiema starsz-

kami: swoją na wpół głuchą matką i teściową — bardzo tęgą i z ogromnie spuchniętymi nogami, starą osobą. Dla wszystkich starych ludzi i dzieci trzeba było szukać schronienia na noc.

Witek i Władek przywieźli ze sobą rower. Stał on teraz oparty o zwaloną stertę wszelkiego rodzaju pakunków, błyszczący i szlachetny w swojej smukłości — jak zjawisko z innego świata. Przyciągał on bardzo oczy naszych konwojentów. W końcu jeden z nich podszedł do Witka i powiedział: *Parień, daż-ka, pokatatsia! Chotielby ja piered smiertiu na takoj maszinkie poprobował!* Oczywiście — Witek dał mu *pokatatsia*, śmieliśmy się bardzo z jego nieudolnych początkowych prób, ale widocznie chłopiec w marzeniach doskonale opanował jazdę na rowerze, gdyż po pewnym czasie jeździł jak szalony z uśmiechem szczęścia na twarzy i w błękitnych oczkach.

Alina i Marysia chodziły dookoła budynku stacyjnego, były w lasku brzożowym — i ze ściśniętym sercem oglądały bezmierną, przygnębiającą pustkę, rozciągającą się aż po horyzonty. Urozmaicały ją tylko brzydkie, zaniedbany budynek stacji, opuszczona wieża wiertnicza pozostawiona tu przez geologów, oraz dwa szeregi wysokich na trzy metry drewnianych płotów, osłaniających tory kolejowe przed zaspami w czasie burz śnieżnych. Wysokość tych płotów świadczyła o ilości śniegu, pędzonego tu przez wiatr w zimie. Teraz ziemia dookoła pokryta była brunatną trawą i suchymi resztkami roślin. Czasem podmuch wiatru przetaczał po tej równinie uschnięte, kuliste krzaczki „perekatypola”. Nad tym wszystkim wisiało blade słońce bez promieni na tle szarego, zaciągniętego jednostajnymi chmurami nieba. Szare twarze wygnańców, od wielu dni nie mytych, wymęczonych podróżą i niewyspanych, tworzyły na tle otoczenia przygnębiający obraz, jakby zapowiedź losu, który ich na tej ziemi czekał. Zmęczenie, rozpacz i lęk przed przyszłością znalazły wreszcie ujście w płaczu. Alina i Marysia, stojąc w lasku brzożowym i patrząc poprzez drzewa na beznadziejny krajobraz, nie ocierały nawet łez, płynących im z oczu niewstrzymanym strumieniem. Wtedy znalazła je Mama i powiedziała: „Córeczki, wszędzie żyć musimy. Jesteśmy, chwała Bogu, zdrowe, mamy ze sobą młodsze dzieci, o które trzeba zadbać — i dużo ludzi, którym trzeba będzie pomóc. Musimy być silne. Spójrzcie, ziemia i nawet rośliny wszędzie są jednakowe. Taka szara trawa rośnie i u nas w suchych, słonecznych miejscach, a takie same żółte kwiatki pięciornika i u nas o tej porze zaczynają kwitnąć” — przyrodnicze zamięłowania naszej Mamy jeszcze niejednokrotnie miały nam w przyszłości przywracać równowagę.

Dzieci przez cały czas podróży były bez mleka. Alina, Marysia, Władek i Witek wyprawili się więc na poszukiwanie mleka w okolicy. Mogli porozumieć się z miejscowymi ludźmi, gdyż dwudziestoletni Witek, maturzysta z wiosny 1939 roku, poszedł we wrześniu jako ochotnik do wojska, walczył pod Lwowem i dostał się do niewoli sowieckiej. Przebył tam cztery miesiące i na krótko przed wywozami wrócił do matki i brata: ojciec ich od listopada 1939 był w więzieniu sowieckim. Z pobytu w obozie jenieckim wyniósł Witek znajomość kilkunastu zwrotów i mały zasób słów rosyjskich. Był więc teraz przewodnikiem i tłumaczem. Znaleźliśmy mleko w chacie mieszkańca w osiedlu za laskiem brzozowym. Przy okazji sprzedaży mleka uzalili się ludzie nad nami, że za rok, jeżeli wywożą nas do kołchozu, śladu nie zostanie po naszej — jak mówili — pańskiej urodzie: szerniejemy, ręce nam zgrubieją, będziemy chodzić w łachmanach, w dzień i w nocy nie będzie spokoju, gdyż będą nas wyganiać do roboty — i nie daj Boże głośno narzekać — zaraz w nocy — stuk, stuk! w okno — i czarnym samochodem przyjadą enkawudysty zabrać takiego malkontenta w nieznaną, na nieokreśloną ilość lat. Całkiem nas to zgnębiło! — W czasie rozmowy zagotowało się nasze mleko i gospodarze pożyczili nam nawet dzbanek: wróciliśmy do naszych koczowników — dzieci dostały gorącego mleka.

W czasie naszej nieobecności do grupy Polaków przyszedli dwaj miejscowi agitatorzy i przemawiali bardzo wzniosłe o tym, jak to nas się zatrudni „według specjalności” i jak to się nam światopogląd odmieni pod wpływem życia w blaskach słońca sowieckiej konstytucji. Kiedy skończyli — nasza Mama, która znała dobrze język rosyjski, powiedziała do nich: „Tak nam dużo obiecujecie, a traktujecie nas gorzej niż bydło! Krów z młodymi cielakami nie zostawilibyście na noc na mrozie i wietrze bez dachu nad głową — a nas z dziećmi zostawiacie. Idzie noc, a my nie mamy żadnego schronienia”. Ten argument był trafny: agitatorzy bardzo się zmieszali i zabrali Mamę ze sobą do miejscowej szkoły. Wszystkie starsze kobiety i dzieci miały na noc schronienie w szkole, dokąd ich potem zaprowadziła nasza Mama. Młodzież została przy rzeczach. Dostaliśmy u okolicznych mieszkańców trochę chleba i kartofli, które upiekliśmy w ognisku. Przygotowaliśmy się do spędzenia bardzo zimnej nocy pod gołym niebem. Trzeba było czymś ogień podsycać. Ile mogliśmy, tyle zebraliśmy suchych gałęzi i podeschłych brzoźek w lasku, ale mało tego było z uwagi na długą noc, jaką mieliśmy przed sobą. Z nastaniem ciemności któryś z chłopców wpadł na wspaniałą

pomysł: „wykorzystamy do podsycenia ognia połamane deski z ochronnych płotów wzdłuż torów”. Deski były bardzo długie i szerokie, tak że jednej wystarczyło na parę godzin. Z łamaniem desek czekaliśmy na przejeżdżające pociągi. Lokomotywy wydawały przeraźliwy, smutny jęk mijając stację z wielkim łoskotem ciągniętych wagonów. Była to dla nas sprzyjająca okoliczność, gdyż ten łoskot zagłuszał trzaski łamanego drzewa. Na długich deskach w razie zbliżania się kolejarzy, kładł się Władek i rozciągał się w swojej długiej na 190 cm postaci, zarzucając jeszcze ręce za głowę. — Przesiedzieliśmy noc, przeszedł następny dzień — znów trzy ciężarówki zabrały część wygnańców. Wśród nich panią Stasię z dziećmi i teściową. Konwojenci troskliwie wybrali jej rzeczy spomiędzy naszych. Na następną noc zostało nas już tylko 30 osób. Znów ognisko, znów łamanie płotów — dzieci i starsze osoby drugą noc spędziły w szkole, gdzie matki ugotowały nawet jakiś posiłek dla wszystkich. Dopiero rano 1 maja przyjechały ciężarówki po ostatnich wygnańców. Nas załadowano razem z panią Myślińską i jej dziećmi oraz z jeszcze dwiema rodzinami — razem 16 osób. Rozjechaliśmy się, żegnając się wzajemnie życzeniami spotkania i zdrowia oraz opieki Bożej. Droga wiodła przez zupełnie płaski kraj, pustym o tej porze roku szaro-żółtym stepem. Co pewien czas na horyzoncie ukazywały się rzadkie zabudowania, potęgując jeszcze wrażenie pustki. Droga była tzw. „gruntowa”, toteż wzbijane przez samochód tumany kurzu wkrótce pokryły dokładnie wszystkie nasze pakunki i nas samych. Mieliśmy czarne twarze, w których tylko czerwieniły się zmęczone oczy. Po trzech godzinach jazdy dotarliśmy do kołchozu im. Czkałowa w rejonie lenińskim, który był miejscem naszego przeznaczenia. Kierowca zatrzymał się przed biurem kołchozu i wraz z konwojentem weszli do środka. Naszą ciężarówkę natychmiast otoczyła gromada mieszkańców, przypatrując się „panom z Polski” z wrogą ciekawością. Kierowca i konwojent wrócili i okazało się, że mamy jechać do posesiłka Poputnia, oddalonego od głównej wsi o 4 km.

POPUTNIA

W Poputni wyładowano nas przed stojącą na uboczu chatą. Przyjechał sam *predsiedatiel* kołchozu im. Czkałowa, Grigorij

Siemionowicz Łucenko, pijaniuteńki z okazji pierwszego maja, i „osobiście” pomógł nam znieść nasze toboły do chaty, która miała być naszym domem. Pozostałych Polaków odwieziono do innego domu. Nasza chata przeszła najsmielsze marzenia. Przez dwa tygodnie podróży układaliśmy sobie plany, jak też zagospodarujemy się na Syberii w malutkim domku, nawet jeżeli to będzie tylko kuchnia i pokój, z podłogą z surowych, niemalowanych desek, którą przecież można utrzymać w czystości. Dom, do którego nas przywieziono zbudowany był z cegieł wykonanych z gliny zmieszanej ze słomą. Składał się z chlewika, w którym stała krowa i prosiak, dość obszernej sieni z jednym malutkim okienkiem, i z jednej izby mieszkalnej, w której było okno naprzeciwko drzwi. Na prawo przy drzwiach stał wielki piec chlebowy. Między nim i ścianą z oknem był duży zasiek na pszenicę, wypełniony ziarnem. Leżały na nim derki i płachetki, na których sypiała rodzina Pawła Osipowa, właściciela domu. Sam gospodarz był „w podróży służbowej” do rejonu. W domu była gospodyni i jej dwie córeczki: 5-letnia Rajka i półtoraroczna Nusia, która, jak zwykle dzieci w jej wieku, śpiąc na tej pszenicy, siusiła beztrudnie pod siebie. Gospodyni pokazała nam fotografię męża, na której wyglądał on przerażająco. — Podłogę izby stanowiło ubite gliniane klepisko. Na kawałku klepiska o powierzchni 6-7 m² musieliśmy się zmieścić w dzień i w nocy. Ułożyliśmy pakunki pod ścianą, w sieni urządziliśmy kąpielnicę, sami zasiadaliśmy nieruchomym rządkiem na ławeczce wzdłuż ściany naprzeciwko pieca. Trzeba było jednak jakoś zorganizować życie. Wyjęliśmy z paki wiadra, jakieś garnki. Do studni było blisko. Trudności wynikły przy gotowaniu: do tego celu służył tu wielki, żeliwny garnek o egzotycznym dla nas kształcie, rozdęty w części środkowej, zwężający się ku górze i z bardzo wąskim dnem — tzw. *czugun*, wpuszczony i wmurowany w palenisko malutkiej kuchni — tzw. *gatanki*. Garnek ten służył do gotowania jedzenia dla prosiaka, potem myło się go dokładnie wybierając wodę szmatką i gotowało się jedzenie dla ludzi. My oczywiście nie mogliśmy jeszcze wtedy obejść się bez herbaty przy jedzeniu kupionego we wsi chleba (jeszcze wtedy był tu wspaniały, wysoki, wyrosnięty pszenny chleb o znakomitym smaku), ale ta „herbata” miała odrażający zapach i pełna była tłustych ok. Piliśmy ją z jedynie dostępnych tutaj kubków z grubej gliny, szorstkich i kaleczących nam usta. Na noc rozłożyliśmy na klepisku tobołki z zaszytymi w nich rzeczami, wydobywając tylko koce, poduszki i dresy, i tak spaliśmy z głowami przy ścianie, a nogami oparci o ten zasiek i piec. O czwartej rano Osipowa

wstała do krowy i w ciemności deptała nam po nogach. Zaczął się dzień — drugi dzień naszego pobytu w Poputni. Oczywiście rano złożył nam kurtuazyjną wizytę Grigorij Siemionowicz, aby się dowiedzieć, jak się też urządziliśmy. Na pytanie Mamy, czy nie miałby dla nas jakiegoś większego pomieszczenia — wybuchnął beztrudnym śmiechem i oświadczył rozbijająco: Nie oczekujcie tu wygod, jesteście przecież *wragi naroda i was na to zdies przywieźli sztab' wy podochli*. Po tej szczerzej wypowiedzi nie mieliśmy już złudzeń co do przyszłego układu stosunków. — Trzeciego maja spadł wielki śnieg! Poprzedniego dnia wieczorem Alina z namowy Osipowej — rozczyniła ciasto na chleb z mąki kupionej na wsi, żebyśmy mieli co jeść, ale od rana śnieg uniemożliwił nam zebranie na stepie tak zwanego paliwa, na które składała się, jak nas oświeciła nasza gospodyni, suchy nawóz, patyki, korzenie oraz kępki suchej trawy. Póki to zaczęliśmy spozstrzegać pod nogami — wracaliśmy ze stepu z pustymi torbami, ale Osipowa pokazała nam te „skarby” i nauczyła je dostrzegać⁴. Teraz jednak step był grupo pokryty śniegiem i groziło nam zmarnowanie wielkiej ilości ciasta chlebowego. I wtedy okazała się wielkoduszność Emilki Osipowej: oddała nam swój „żelazny zapas” drzewa brzoźowego, trzymany na wypadek katastrofy zimna. Gospodyni sama napaliła w piecu, rozgarnęła żar i pomogła nam upiec pierwsze bochenki syberyjskiego chleba. Drzewo było tu po prostu skarbem, gdyż las był oddalony o 30 km. Otaczał widoczną na horyzoncie „sopkę” — górę o idealnym kształcie stożka wulkanicznego. Od pierwszego dnia fascynował nas ten widok. Był jedynym urozmaiceniem płaskiego krajobrazu i przyciągał „nieznany” i obietnicą jakiejś ciekawej przygody. Ale obecnie nasza uwaga i wysiłki skierowane były na przystosowanie się do nowych warunków życia. Przez to, że spadł wielki śnieg, nie było prawie mowy o wychodzeniu z izby i nasza ósemka oraz trzy osoby rodziny gospodarza siedziały w izbie, wykonawszy niezbędne czynności. Przez cały dzień izba pełna była ciekawych, którzy przychodzili oglądać *panow z Polszy*. Mężczyźni i kobiety z dziećmi na rękach ładowali się do tej ciasnoty i godzinami przyglądali się nam, cisnącym się pod ścianą na ławeczce. Bezczywność na dłuższy czas była dla nas niemożliwa, toteż wydobyliśmy książki, jakieś roboty na drutach,

4. Nauczylismy się wtedy używać torby, tzw. *a-woški*, którą trzeba było stale nosić ze sobą, bo „a-nuż” (*a-woś*) trafi się coś wartościowego, jakaś zdobycz: suchy patyk, kłapeć suchego nawozu, dobry gwóźdź, kawałek drewna lub skóry — wszystko może się przydać i wszystko trzeba ze sobą zabierać.

cerowanie skarpetek — wszystko było komentowane i kwitowane śmiechem lub uwagami w niezrozumiałym dla nas wówczas, okropnym języku. Wszyscy goście gryzli pestki słonecznikowe, wrzucane do ust zręcznym ruchem. Wyplute łupiny wisiały im fantazyjnymi festonami na brodach (była to „sztuka”, której nigdy nie zdołaliśmy opanować). W tym dniu wrócił gospodarz, Paweł Osipow. Obawialiśmy się go bardzo, gdyż na fotografii, wykonanej przez jakiegoś „artystę” z rejonu, miał odstraszący wygląd i był dla nas uosobieniem bolszewika. Okazało się jednak, że był to całkiem porządny i łagodny człowiek. Miał ponure życie — jak wszyscy w tym kraju — i rysy twarzy układały mu się w posępny grymas. Zaskoczony trochę „gości” pogodził się szybko z losem. Na drugi dzień wyгнаł ciekawskich, mówiąc do nich: *Szto eto, ludiej nie widieli?* Baby, wynoście się do domów, popatrzcie, te przyjechały i zaraz coś robią. A wy co — nic do roboty nie macie? Nie wnoście nam tu błota i zimna. — I wszyscy się wynieśli. Do naszej Mamy Paweł mówił początkowo *tiotka*, potem: *choziajka*, w końcu zapytał ją: *Kak wasze imia i otcziestwo?* — i zwracał się do niej „Marta Antonowna”. Mama go uczyła rachunków i pisania, bo dotychczas tę sztukę miał opanowaną w minimalnym stopniu. Urządzała mu więc Mama dyktanda wieczorem przy świetle tzw. *kopciłki*, do której niestety musieliśmy zacząć się przyzwyczajać. Miało to być jedyne źródło światła dla nas przez wszystkie nadchodzące lata, w długie zimowe wieczory i noce. Była to zwykle mała buteleczka po jakimś lekarstwie o pojemności około 200 gramów. Napełniało się ją *kierosinem*, tj. brudną mieszkanką ropy naftowej z naftą, czyli paliwem z traktorów. Na otworze szyjki tej butelki umieszczano się kółko z blachy o średnicy 25 mm z wprawioną w środek krótką rurką grubości ołówka. W tę rurkę wpychało się pasemko skręconej waty lub nici bawełnianych. Zanurzony w tym smarze knot palił się nad buteleczką, dając światło czterokrotnie mniejsze niż zwykła świeca.

Czas płynął, śnieg leżał na stepie, mieszkanie w tych warunkach stało się koszmarem, ani o myciu, ani o praniu mowy nie było. Nasza przedsiębiorcza Mama wyruszyła na wieś szukać polepszenia naszego losu — i znalazła dla nas mieszkanie. 8 maja przeprowadziliśmy się do chaty babuszki Łondarki i jej córki Nastii Nazimowej. Mieszkały one przy głównej drodze, na końcu wsi, w miejscu gdzie był lekki zakręt i zaczynała się droga do Awierjanowki — głównego osiedla kołchozu im. Czkałowa. Dom babuszki był duży, o stromym dachu krytym strzechą, z dwóch stron domu była przyzba i rosły przy nim cztery

wysokie „włoskie” topole. Z powodu tych drzew — jedyne w całym kołchozie, tzn. w obu wsiach — dom babuszki Łondarki nazywano „domem z sadem”. Przy zakręcie drogi była wielka studnia z żurawiem, przy której pojono bydło kołchozowe wracające wieczorem z pastwiska.

Do domu wchodziło się po ułożonych na kształt stopni, dwóch dużych kamieniach i przez wysoki próg — do przestronnej sieni, oświetlonej oknem. Z sieni na prawo było wejście do obórki, a na lewo — do kuchni, w której był wielki piec chlebowy i stało łóżko. Z kuchni drzwi prowadziły do małej izdebki z jednym oknem, wychodzącym na drogę. Właśnie tę izdebkę babuszka Łondarka odnajęła Mamie. Powód był — jak nam powiedziała Osipowa — następujący. Nastia, córka Łondarki, gruba, ospowata baba, jedyna w Poputni traktorzystka — a więc rodzaj „pozytywnej bohaterki” — pobiła się z mężem i obie z matką wyrzuciły go z domu. On odgrażał się, że wróci je pozabijając. Babuszka wynajęła więc nam tę izbę dla zapewnienia sobie większego bezpieczeństwa. Nad nami zaś zawisła groźba uczestniczenia w rodzinnych porachunkach. Na szczęście — póki tam mieszkaliśmy — do niczego takiego nie doszło. Po załatwieniu „formalności” z nową naszą gospodynią przeprowadziliśmy się do naszego nowego mieszkania wozem, zaprzężonym w woły, którego nam użyczył łaskawie Grigorij Siemionowicz. Nastia lizała rany i blizny siedząc na piecu. Oczywiście miała podbite, czerwone białka i fioletowe obwódki, sińce na policzkach i brodzie. Myśleliśmy, że ona ma te czerwone białka od pracy na traktorze, jako że pierwszy raz w życiu widzieliśmy kobietę-traktorzystkę. Nastia była zaiste postacią imponującą. Głos miała donośny, sama była wielka, gruba i silna jak koń. Zeszła z legowiska, wyniosła z obórki kilka brzoźowych okrągłaków i pomogła nam zbić prymitywne prycze dla pięciu osób. Dla jednej mieliśmy przywiezione z domu składane letniskowe łóżko. Dwie pozostałe musiały sypiać wprost na klepisku. Rozpakowaliśmy wreszcie toboły i z Nastią poszliśmy napychać sienniki słomą do sterty na polu. Męczyliśmy się potem z tymi wielkimi siennikami — a ona jednym ruchem zarzucała sobie taki siennik na głowę i szła do domu swobodnie, jakby nic na głowie nie niosła! — Nareszcie mieliśmy wygodne spanie. Wyjęliśmy prześcieradła, kołdry i koce włożyliśmy do pokrowców z koronkami. I tak też spały te dwie osoby na klepisku. Wieczorem zamknęliśmy drzwi i byliśmy znów sami w czterech ścianach.

Rano odwiedził nas Grigorij Siemionowicz i chodząc w zabłoconych butach między naszą białą pościelą rozłożoną na klepisku

— trącał nas trzonkiem bata, „zapraszając” do roboty w polu: *Ajda, dziewczki, na robotu!* — Gdy tylko śnieg stopniał, do pracy w polu poszedł 12-letni wówczas Staś. Zaczął od razu orać i bronować wołami. Marysia, Zosia i Jasia chodziły wraz z kobietami z kołchozu i z innymi Polkami pleć pszenicę na kołchozowe pola. Do pracy wychodziły rano o godzinie 6 i musiały przejść w jedną stronę dziesięć kilometrów. Gleba w Kazachstanie jest wspólna, niezwykle urodzajna, dobrze uprawiana całymi dziesiątkami lat rodzi bez nawożenia, dając bardzo obfite plony. Każda ziemia wymaga jednak starannej uprawy. Tu zaś, celem wypracowania większej normy dziennej, oracze kołchozowi wymyślili i stosowali oranie „co drugą bruzdę”: orano pierwszą, opuszczano drugą, orano trzecią — ziemia, odłożona lemieszem przy oraniu trzeciej bruzdy, pokrywała pas nie zaoranej ziemi drugiej bruzdy, opuszczano czwartą, orano piątą — i w ten sposób całe pole! Z odległości trudno było zorientować się, czy pole jest zaorane prawidłowo, gdyż całe było pokryte poruszoną ziemią. Pod wieczór przychodził *uczotczik* z wysokim trójkątem zbitym z listewek — tzw. „sążniem” — szybko przebiegał pole, mierząc ilość zaoranych hektarów, i nie sprawdzając jakości wykonanej pracy szybko biegł dalej. Pszenica, siana potem w tę niechlujnie uprawioną ziemię, ginęła zaraz po wykiełkowaniu w morzu chwastów. „Pielenie” jej polegało na szybkim przebieganiu przez pole i zrywaniu górnej części ostów i innego zielska, zasłaniającego zboże.

Kiedy majowy śnieg stopniał, powiały wysuszające wiatry, w ślad za nimi przyszły upalne dni i cały step pokrył się różnobarwnymi kwiatami. Najwcześniej zakwitły białe sasanki, kryjące się przed chłodem w puszystych listkach jak w kozuszkach. Potem rozwinęły się cudowne, ogromne jak gwiazdy białe zawilce, których drobniejszą odmianę znaleźliśmy z naszych lasów. Potem zakwitła trawa, zwana tu „kawyl”, podobna do trawy z puszy węgierskiej: kwiaty jej tworzyły źdźbła, pokryte na całej długości wiotkimi, srebrzystymi włoskami. Wiatr poruszał trawę — i step falował jak bezkresne, srebrzyste morze. Potem kwitły białoróżowe dzikie róże i całe mnóstwo większych i mniejszych różnobarwnych kwiatów. Nad tym kwitnącym stepem rozpinano się bezkresne, błękitne, czyste niebo i zanosiły się śpiewem skowronki. Wszystko to budziło w nas fale ogromnej tęsknoty i napełniało poczuciem przytłaczającej krzywdy. W pierwszych tygodniach przynosił nam ulgę płacz — łzy, wypłakiwane głośno w tę falującą, srebrzystą trawę... Ale trzeba było żyć. Stopniowo zaczynaliśmy twarzenie. Trzeba było zdobywać żywność. Tro-

chę ubrań wymieniliśmy w sąsiednich wsiach na mąkę, jakies drobiazgi na mleko i masło. Ten maj był trudny i piękny zarazem. Zaatakowała nas febra syberyjska: wysoka gorączka, szalony ból głowy, objawy grypy, połączone z wielkim osłabieniem i depresją psychiczną. Mieliśmy ze sobą trochę lekarstw z Polski, ale ani proszki od bólu głowy nie przynosiły ulgi, ani aspiryna nie skutkowała w zwalczaniu tej choroby. O pomocy lekarskiej oczywiście mowy nie było. Można było liczyć tylko na opiekę Bożą i na czas. W maju wszyscy kolejno chorowaliśmy na tę męczącą gorączkę. Najbardziej jednak wymęczyła ona Mamę i Antka. W czasie tej serii chorób błogosławiliśmy Mamę za ten ciasny, ale nasz osobny kąt do mieszkania!

Posiłki gotowaliśmy w dużej i wygodnej sieni, gdzie był również wielki sząsek na zapasy żywności. Babuszka Łondarka przez cały czas bez żadnych skrupułów podbierała nam mąkę z naszego worka, stojącego w tym sąsięku. Nastia przy pomocy Marysi zbudowała w sieni letnią kuchnię z cegieł, kamieni polnych i gliny. Płytę kuchenną i fajerki zastąpiły na niej oblepione gliną sztabki żelazne i zęby od starych maszyn żniwnych. Normalna kuchenna płyta była tu wielką rzadkością. Ale i na tej glinianej kuchni Alina dokonywała cudów, aby nakarmić naszą liczną rodzinę. Przeważnie jadaliśmy dwa razy dziennie. Podstawowym jedzeniem była kasza jaglana z ziemniakami na mleku. Kaszę zdobywaliśmy drogą wymiany, a ziemniaki dostaliśmy jako zapłatę za pomoc przy ich sadzeniu w ogrodach mieszkańców kołchozu. Każda rodzina kołchozowa mogła uprawiać obok swego domu 0,33 ha ogrodu, oprócz tego hodować krowę i jednego prosiaka. Od krowy opłacano podatek 240 litrów mleka rocznie (ta ilość wahała się, zależnie od zawartości tłuszczu w mleku, badanej w mleczarni rejonowej), 48 kg mięsa i skórę z cielaka — jeżeli ktoś zostawiał sobie cielę na hodowanie, musiał opłacić ekwiwalent w rublach — oraz — czy kto miał kury czy nie — jeśli miał krowę — musiał oddać 100 jaj rocznie.

Przy sadzeniu kartofli — ponieważ nosiliśmy dość krótkie sukienki — wyszło na jaw, że nosimy majtki. Był to powód do ogólnej radości kobiet w kołchozie. Początkowo mówiły, że majtki noszą tylko ładacznice, w końcu przekonały się do nas, poznawszy nasz tryb życia, wciąż jednak oglądały szczegółowo naszą bieliznę, a cudowaniom się i dziwieniom nie było końca.

Zarobione kartofle pozwoliły nam przeżyć kilka tygodni. Prace w ogrodach miały jeszcze tę dobrą stronę, że gospodynie nie najgorzej karmiły wynajętych „robotników”. Poznawaliśmy też

ludzi, warunki życia, a także stopniowo uczyliśmy się rosyjskiego. Z wolna też zaczęła ustępować niechęć mieszkańców Poputni do nas. Przekonali się, że nie jesteśmy ich wrogami, ani nie stonimy od pracy. Wyprawy na kopanie kartofli do Awierjanowki pozwoliły nam zawrzeć znajomości z tamtejszymi mieszkańcami. Byli to przeważnie Rosjanie, potomkowie zesłańców z carskich czasów, czy też dobrowolnych przesiedleńców — kolonizatorów. Oprócz nich mieszkało tu kilka rodzin — potomków dawnych rdzennych sybiraków z plemienia Mordwa. Mówili oni po rosyjsku, lecz pozostała im z dawnych czasów odrębność akcentowania i wymawiania niektórych wyrazów: akcentowali szczególnie „o”. — Jedna z tych Mordwinek, babuszka Radiwonowa, u której w ogrodzie sadyły kartofle Jasia i Marysia, zaprosiła nas na „wypominki zmarłych” — miejscowe Zaduszki, które odbywały się tu w którąś niedzielę po Wielkiejnocy. W sąsiedztwie uboższego cmentarzyka, na którym między małymi, porośniętymi trawą pagóreczkami mogli tkwiły gdzieś niskie, krzywe drewniane krzyżyki — kobiety rozłożyły na zeschniętej zeszłorocznej trawie białe ręczniki, jeden za drugim, jakby długi obrus, i po obu jego stronach ustawiły się ze smakołykami, specjalnie przygotowanymi na tę okazję. Były tam bliny ze śmietaną, kilka rodzajów pierożków, chleb, twarog, jajka na twardo, kawałki kury gotowanej i w glinianych dzbankach kwas do popijania. Przed rozpoczęciem „uczty” wszyscy uczestnicy bili pokłony, zegnali się skośnym krzyżem i śpiewali smutne i przeciągłe wezwania: „*Hospodi, pomituju duszu raba twojewe Iwana — Hospodi, pomituju, Hospodi, pomituju, Hospodi, pomituju*”. Modlitwy te, bardzo melodyjne, inaczej brzmiały tu, śpiewane cienkimi i drżącymi głosami kobiet, w porównaniu ze wspinałym chórem prawosławnych kleryków, którego śpiewów Alina z Marysią chodziły słuchać do cerkwi przy ulicy Ostrobramskiej podczas pobytów w Wilnie.

Potem rozpoczęła się uczta, przy której gospodynie bardzo zwracały uwagę, aby nikt nie był głodny. W czasie spożywania posiłku kilkakrotnie następowały przerwy na modlitwę i śpiewy. Kiedy wszyscy „raby boże” byli już wspomniani i większość smakołyków zjedzona — resztę jaj, blinów i pierożków porozdzielano między gości. Nam dostała się też duża porcja, tak że do Poputni wróciliśmy z zapasami żywności.

Stale kontaktowaliśmy się z Emilką Osipową, której byliśmy zawsze wdzięczni za pierwsze „lekcje” syberyjskiego życia i ludzki do nas stosunek. Mama uszyła małej Rajce czerwoną sukieneczkę z jakichś resztek i chodziła czasem do nich uczyć Pawła, za co

dostawała dla nas mleko. Kuzynka Osipowych, ciocia Tania i jej córka Marusia pozwoliły nam posadzić w swoim ogrodzie parę rządków kartofli i posiać trochę nasion jarzyn przywiezionych z domu, ale uprzejmy Grigorij Siemionowicz, kiedy mu ktoś doniósł o tym geście cioci Tani, przyszedł do niej, skrzyczał ją ordynarnie i cały ten nasz nędzny ogródek rozdeptał własnymi buciorami. Groził przy tym najgorszymi karami wszystkim, którzy by odważyli się okazać nam życzliwość.

Któregoś dnia zawitało do wsi czarnym samochodem NKWD z rejonu. Stale byliśmy w ich ewidencji i pod ich opieką. Pod pretekstem wręczania sowieckich paszportów zapraszali nas na nocne rozmowy. Wezwali najpierw Mamę, potem Alinę i Marysię. Spisali dane personalne, zapytali o zawód, obiecali zatrudnić „według specjalności” i przysłać fotografa do porobienia zdjęć do paszportów. Wszystkie rozmowy odbywały się w kancelarii kołchozu, tzw. „kantorze”. Marysia tak się rozzuchwiała, że od tego czasu po kilka razy w tygodniu chodziła do tej „kantory” czytać gazety. Starła się wyłowić z nich jakieś wiadomości o wojnie i o Polsce.

Terenia miała jasne warkoczyki i niebieskie oczy. Miała też śliczne letnie sukienki i kokardy do włosów, i myśmy ją wbrew wszystkiemu w to ubierały. Wybiegała więc przed dom w majowe i czerwcowe dni, ubrana w kolorowe sukieneczki, drażniąc swoim wyglądem „z innej planety” nieszczęsne, szare istoty w kołchozie. Wciąż jeszcze mieliśmy z domu zapas mydła, proszek i szczoteczki do zębów, zapałki, a nawet trochę świec, które już zaczęliśmy oszczędzać na rzecz kopciłki. Staś i Antek nosili jeszcze swoje harcerskie spodniki i koszule. Wszystkie nasze ubrania, bielizna i buty okazały się skarbem na tym pustkowiu, gdzie nic nie można było kupić. Czasem przyjeżdżał wóz z rejonu i za jajka wymieniano sztuczki perkalu, sól, noże i różne drobiazgi. W sklepiku wiejskim bywały zapałki, landrynki o dźwięcznej miejscowej nazwie „łampasje”, oraz w 1940 roku bardzo rzadko zjawiał się cukier. Czasami sprzedawano też miski i dziezki gliniane. My obywaliśmy się naczyniami przywiezionymi z domu, ale na przykład nie wzięliśmy łyżek i talerzy. Kupiliśmy tu więc pięknie malowane drewniane łyżki, a zamiast talerzy używaliśmy małych garnczków i miseczek od menażek. Ten nasz sposób jedzenia drażnił Grigorija Siemionowicza, który jadąc z Poputni do Awierjanowki nigdy nie omieszkał nas odwiedzić. Czasem przyjeżdżał z nim pełnomocnik z rejonowego komitetu partii i obydwa usiadłszy w kucki pod ścianą w sieni obserwowali nasze życie przez całe kwadransy, opatrując je uwagami

i wybuchami śmiechu. Dziwiło ich to, że jadamy każdy ze swojego naczynia zamiast wszyscy z jednej miski, intrygował sposób gotowania, nawet robienie zacierek było obiektem gorącego zainteresowania. Najbardziej drażniły ich nasze rozmowy prowadzone po polsku oraz to, że nauczyliśmy się już nie zwracać na nich najmniejszej uwagi. W końcu, w czasie jednej z wizyt, pełnomocnik powiedział do Mamy: „Ciotko, dlaczego ty mówisz do dzieci po polsku? Przecież mieszkasz w Związku Sowieckim i powinnaś mówić po rosyjsku. Bo my nic nie rozumiemy”. Mama nasza na to: „Dziwny jesteś, przecież wasza stalinowska konstytucja w paragrafie tym-i-tym, na stronie takiej-i-takiej wyraźnie powiada, że każda narodowość ma zagwarantowane prawo do rozwijania własnej kultury i tradycji oraz używania własnego języka. A my jesteśmy Polacy i mówimy po swojemu”. Na to pełnomocnik zaśmiał się dobrodusznie i powiedział: „Durna jesteś, ciotka. Wierzysz w konstytucję? Konstytucja jest dla nas, a dla was są przepisy”. — Nie zmieniliśmy jednak obyczajów, a pomimo to wciąż stanowiliśmy dla nich ciekawy obiekt obserwacji, gdyż póki mieszkaliśmy w Poputni, póty nas odwiedzali. Grigorij Siemionowicz lubił rano przyjść do naszego pokoju i zachęcać nas do pracy mówiąc: „No i co, ciotka, ja skończyłem tylko dwie klasy i ja, cham, muzyk, was inteligentów gonię do pracy!” — (Potem pochwaliła się nam jego żona, że ojciec Grigorija był parobkiem w polskim dworze na Ukrainie. Córkę swoją, Marusię, bardzo ładną dziewczynę, Łucenkowie wychowywali całkiem „po pańsku”: uczyła się ona w szkole w Petropawłowsku — stolicy województwa, i w czasie wakacji nawet chleba sobie sama nie kroїła).

Kiedyś Grigorij Siemionowicz powiedział do Aliny: „Słuchaj, jak ty mówisz do mnie, to czemu nie zwracasz się do mnie 'pan'? Przecież taki jest u was zwyczaj”. Na to Alina: „Sam powiedziałeś, że jesteś cham i muzyk. Jak ja do ciebie mogę mówić 'pan'?”.

Pewnego dnia odwiedził nas dziwny gość. Linijką, zaprzężoną w zadbanego konia, przyjechał do wsi nieznajomy człowiek, wysoki, siwiejący, z czarnymi oczami i wąsami. Przeszedł do nas, przedstawił się: „Artaszest Tigranowicz z Iranu. Inżynier budowlany”. Zesłany na Syberię na 10 lat za posiadanie irańskiego paszportu. Żona, profesor uniwersytetu, mieszka w Leningradzie. Ma prawo raz w miesiącu napisać do niego list. Właśnie niedawno mu doniosła, że przeżyła wielki dzień: kupiła kilka jaj i z dwóch usmażyła sobie jajecznicę! — Sam Artaszest mieszkał w Jawlence, stolicy lenińskiego rejonu i nadzorował wszyst-

kie budowy, prowadzone na tym terenie. W związku z tym bywał we wszystkich okolicznych kołchozach, gdzie spotykał Polaków. Miał przy sobie kartki z ich nazwiskami i wśród nich adres pani Stasi, która mieszkała o 16 km od nas we wsi Nowouzinka, w kołchozie zamieszkałym przez kolonistów niemieckich. Artaszest powiedział nam, że córeczka pani Stasi choruje i że teściowa coraz bardziej dziecinnieje. Od niego także usłyszeliśmy następującą historię: do Nowouzinki przywieziono żonę burmistrza z Wołkowyska z 16-letnim synem. Chłopiec dostał silnego ataku bólów brzucha, wskazujących na zapalenie ślepej kiszki. Matka błagała przewodniczącego kołchozu o konie do szpitala w Jawlence, oddalonej o 65 km od tej wsi. Przewodniczący odmówił, tłumacząc, że nie da koni, gdyż są potrzebne do pracy w polu, a zresztą — *was wragow naroda na to zdies' priwiezli, szto' wy podochli..* Matka klękała przed nim i całowała jego buty. Koni jednak nie dostała. Chłopiec skończył w okropnych bólach na kolanach odchodzącej od zmysłów matki...

Artaszest Tigranowicz dołączył nasz adres do swojego zbioru, powiedział nam sporo miłych rzeczy o Polsce, Polakach, Warszawie, którą znał sprzed pierwszej wojny światowej i nazywał Paryżem Północy, obiecał odwiedzać — i pojechał. Wiele razy potem nas jeszcze odnajdywał, przywoząc wieści o Polakach, którym ile mógł — pomagał.

Przyjechał fotograf z rejonu i porobił nam „błyskawiczne” fotografie, na których twarze były wielkości paznokcia. Choć tak małe, widoczne były na nich przygnębienie i smutek. Po paru tygodniach towarzysze z NKWD przywieźli i wręczyli nam paszporty, opatrzone pieczęciami i podpisami, z zastrzeżeniem, że swobodnie poruszać się możemy tylko w obrębie rejonu lenińskiego.

Ludność Poputni była pochodzenia ukraińskiego, przesiedlona tu przed 40-50 laty, karnie lub dobrowolnie, ale już przywiązana do ziemi, klimatu i życia w tych warunkach. Mówili oni po rosyjsku, z wielką domieszką ukraińskiego, co się szczególnie uwidaczniało w piosenkach. Tu nauczyliśmy się pięknej ukraińskiej dumki:

*Rewe taj stobne Dnibr szyrokiij,
serdytyj witer zawewa...
Do nyzu werby hne wysoooki,
Horami piłu pidyma...*

i wielu innych piosenek, jak *Rozprehajte, chłopci, koni, Skakał Kozak czerez dolinu, Tam pid bajem, bajem, bajem zeleneńkim*

— a przede wszystkim — syberyjskiej „ballady” wędrownych rozbójników:

*Jesli ty mienia spolubisz,
Nie pobrezgiwajesz mnoj,
Tak pojdiem, moja czułdanoczka,
Po dorożkie stołbowoj.*

*Wozmiom pałki dlinnyje, wostryje,
Na zaszcztu złych sobak,
I pojdiem, moja czułdanoczka,
Po Sibirie worowat’.*

*Gdzie ukradiem, gdzie zwojujem,
Gdzie wozmiem na wierniaka,
Gdzie kupca w łapti obujem,
Gdzie prichwatim czudaka.*

Jej dzika melodia i w jakimś niebywałym żargonie ułożone słowa do dziś przejmują nas dreszczem — tak są związane z tamtymi realiami:

*Na Sibiri kapitału
Sorok tys’czy ja ukrał,
A s tobój, moja czułdanoczka,
W odnu noczku probulał.*

*Ej, wy pticzki, kanariejki,
Nie lietajtie wysoko,
Ja sama pro eto znaju,
Sztó moj miłyj daleko.*

*Ej, wy pticzki, kanariejki,
Nie lietajtie wysze wsiech —
Ja sama pro eto znaju,
Sztó moj miłyj łuczszé wsiech.*

*Ej, wy pticzki, kanariejki,
Nie lietajtie nad oknom —
Ja sama pro eto znaju,
Sztó moj miłyj pod kliuczom.*

Wszystkie te piosenki przynosił Staś z pracy w brygadach polowych, oddalonych od domu o 10-15 km, gdzie spędzał po kilka dni z parą *prikreplionnych* do niego wołów, na których pracował.

Któregoś dnia pod koniec maja, w jakiś dzień świąteczny, kiedy jedliśmy nasze „święteczne” śniadanie — kluski na mleku — i byliśmy mocno przygnębieni z powodu ciężkiej febrы Antka — otworzyły się drzwi naszej izdebki u babuszki Łondarki i weszło do nas dwoje ludzi: wysoki mężczyzna z jasnymi włosami, wąsami i niebieskimi oczami, i dosyć tęga, uśmiechnięta kobieta. Ich ubiór nie budził wątpliwości — byli to miejscowi Sybiracy — lecz odwieczne powitanie Polaków wypowiedzieli najczystszą polszczyzną: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” — Ogromne zaskoczenie i osłupienie — a potem wielkie wzruszenie znalazło swój wyraz w naszych łzach! Usłyszeć te słowa tak daleko od kraju wydawało się zupełnym nieprawdopodobieństwem. Potem, w rozmowie, dowiedzieliśmy się historii tych ludzi. Byli oni mieszkańcami dużej wsi, odległej od Poputni o 12 km. Kupili od nas kilka kuponów materiału na męskie koszule i na spodnie i obiecali przywieźć za to deski na prycze oraz mąki i kaszy jaglanej. Cztery szerokie, grube deski, przywiezione w przeciągu kilku dni, przypilowane i zestawione jak należy przez fachowców — stworzyły wspaniałe łóżko-pryczę, narzeczcie prawdziwe, wysoko nad ziemią, na koziołkach, oraz dość długą ławkę i stołek. Na tym łóżku i na dwóch wielkich sieniach sypiały wygodnie cztery, mniej wygodnie — pięć osób. Był to jeden z najwspanialszych i najmądrzejszych zakupów naszej Mamy. Prycze służyły nam przez cały czas naszego pobytu na Syberii i jeszcze przed wyjazdem wymieniliśmy je na chleb na drogę. — Z tą parą ludzi umówiliśmy się — i w niedługim czasie wybrały się do nich Alina z Marysią. Wieś, do której przyszły była duża, porządnie rozplanowana, z obszernym placem i skwerem pośrodku. Przy placu duży budynek szkoły z wysokim dachem, urzędy kołchozowe, siedziba rady gminnej, tzw. *sielsowietu*, i niewielki budynek przedszkola. Za domami — stajnie, obory, chlewy, spichrze, mleczarnia i wiatrak. Domy mieszkalne, zestawiane po dwa — wprawdzie z samanu, ale bardzo starannie wykonane, obęjścia czyste i celowo zagospodarowane. Nawet ogródki przydomowe utrzymane porządnie. Łazienka, piekarnia chleba, drogi, a także konie i bydło — wszystko nosiło piętno dobrej i celowej gospodarki. Różnice między tą wsią a Poputnią czy Awierjanówką były tak rzucające się w oczy, jakby ta wieś leżała nie tylko w innym rejonie, ale i w innym kraju.

Kołchoz ten — było to siewo Južnoje, kellerowskij rejon, kokczetawszkaja obłast’, kołchoz imienia Kirowa, pn. „Tropinka Iljicza” — zamieszkiwali Polacy, stanowiący część wywiezionych

na Syberię w 1936 roku, w liczbie 600.000, mieszkańców sowieckiej Ukrainy, z rejonów graniczących z Polską: znad Zbrucza, z okolic Kamieńca Podolskiego, Winnicy, Żytomierza. Wywiezieni zostali w ramach akcji „zapewnienia bezpieczeństwa na obszarach przygranicznych” w razie ewentualnych pertraktacji Hitlera z rządem Polski o przepuszczenie wojsk niemieckich na sowiecką Ukrainę. Ludzi tych wywożono latem, po żniwach. Każda rodzina dostała wagon towarowy. Mogli zabrać konie, bydło, wozy, mniejsze maszyny rolnicze, żarna i cały ruchomy dobytek. Wywieziono ich do Północnego Kazachstanu i zostawiono na pustym stepie, z wytyczonym planem kołchozu. Na teren przyszłej wsi Južnoje przyjechało, oczywiście, kilkaset osób; pozostałych rozmieszczono na innych obszarach Kazachstanu. Dano im namioty i polecono budować domy z cegieł, wykonanych własnoręcznie z gliny, zmieszanej z siewką i wodą i wysuszonej na słońcu. Takie cegły zwano tu „saman”. — Po drzewo na konstrukcje dachowe i stolarkę trzeba było jeździć wołami do lasu, oddalonego o 50-70 km. Budynki mieszkalne i pomieszczenia dla bydła ukończyli jako tako do listopada. Zima rozpoczyna się w tym kraju zwykle w połowie października, w listopadzie są już mrozy i zawsze pada śnieg. W namiotach lub w jamach, wykpanych w ziemi i przykrytych darniną, w których mieszkaly rodziny w ciągu lata i jesieni, wymarły dzieci i starzy ludzie — została młodzież i ludzie w średnim wieku. Zmarłych chowano na cmentarzu założonym opodal wsi, na którym kobiety stoczyły milczącą, tępą, udręczającą walkę z władzami rejonowymi o ustawienie krzyża z Pasyjką, wyrzeźbioną w drzewie przez jednego z przesiedleńców. Krzyż, stawiany w nocy, wykopywany był za dnia — i tak przez wiele tygodni — aż w końcu władze ustąpiły i krzyż został.

Do kołchozu na wiosnę 1940 roku przywieziono kilka rodzin polskich. Ludzie „miejscowi” zetknęli się po raz pierwszy od długiego czasu z Polakami z Polski, do której modlili się i tęsknili całymimi latami. Los wygnańców z 1940 roku był we wsi Južnoje o wiele lepszy niż we wsiach ukraińskich czy rosyjskich.

Alina i Marysia przyszły do domu tej kobiety, która nas odwiedziła tego pamiętnego dnia. Nazywała się ona Zofia Bogucka, jej mąż był brygadierem polowym w kołchozie, a 15-letni syn Zygmunt uczył się w mieście. Była to sympatyczna rodzina. Pani Bogucka była pogodna, dość powolna, zawsze uśmiechnięta i znakomicie gospodarowała razem z mężem na swoim niewielkim gospodarstwie. Mieli nienajgorzej urządzonej dom, oczywiście z klepiskiem zamiast podłogi, przyzwoite — jak na owe moż-

liwości — użyteczne meble, ładną pościel; rozbudowana część gospodarza chroniła dom od wiatrów w zimie i tak była pomyślana, że zapewniała łatwy dostęp do pomieszczeń dla bydła i urządzeń gospodarczych bez konieczności wychodzenia zimą na zewnątrz. Boguccy mieli dwie krowy, prosiaka, kilkanaście kur, dobrze zagospodarowany ogród i doskonałe żarna. To urządzenie było tu w każdym gospodarstwie, uniezależniając mieszkańców od kaprysów wiatru i umożliwiając zawsze zmielenie nawet niewielkiej ilości ziarna. — Alina i Marysia wymieniły trochę ubrań na produkty i poszły zobaczyć wieś oraz poszukać przesiedlonych Polaków. Poznały wtedy panią Halę Garbarczykową, żonę kapitana z pułku, stacjonującego w Łucku czy może w Równem na Wołyniu. Pani Hala była szczupłą, średniego wzrostu, bardzo zgrabną, o mocno opalonej teraz twarzy i uśmiechniętych oczach, w kącikach których potworzyły się zmarszczki, biegnące na skronie. Ubierała się stosownie do okoliczności — w jakieś spodnice i bluzki, wiązała chustkę, chroniącą włosy i głowę przed nadmiarem słońca — ale nawet w tym „zgrzebnym”, roboczym ubraniu jej ruchy, sposób chodzenia, pochylenie głowy — zachowały wdzięk i elegancję, podkreślone jeszcze miłym sposobem bycia i uśmiechem. Przywieziono ją tu razem z matką, przerażoną, zatroskaną starszą panią, z 10-letnią córeczką Irenką i 7-letnim synem Jurkiem. Rodzina ta mieszkała w typowej dla Jużnego chacie u samotnej kobiety — i na ścianie glinianej izby, z jednym oknem i klepiskiem zamiast podłogi — panoszył się po królewsku przywieziony przez panią Halę rodzinny skarb — XVIII-wieczny gobelin. W pięknych, stonowanych zieleniach, szarościach i brązach przedstawiał on jakąś pogodną, sielską scenę parkowo-łąkową, z wdzięcznymi postaciami ludzi w wytwornych strojach, z łaskawymi zwierzętami i prawie rajska roślinnością. Gobelin miał wymiary około 2 m na 1,50 i obszyty był długą, jedwabistą frędzlą. Przetrwał szczęśliwie całe 6 lat, troskliwie chroniony przez właścicielkę przed wilgocią i kurzem — i wrócił z nią potem do kraju. Jedynie frędzlę wymieniła pani Hala na pszenicę, w jakimś tragicznym momencie ratując rodzinę od głodu. Którejś letniej niedzieli Alina z Marysią odbyły inną atrakcyjną wycieczkę — w okolicy kuszącej na horyzoncie sopki. Dzięki Artaszestowi Tigranowiczowi odnaleźli nas Witek i Władek i przyszli nas odwiedzić. Zaprosili nas do swojej wsi — Zagradowka — leżącej nad słonym jeziorem, w malowniczym otoczeniu u stóp góry. „Na oko” było do Zagradowki około 25 km, siostry wyszły więc przed wschodem słońca, aby dojść na miejsce przed największym upałem — i widziały niesamowite zjawisko

— „podnoszenie się horyzontu”! Liliowe światło wstającego dnia nasycalo się coraz bardziej różowością. Horyzont miał o tej porze kształt wklęsłej miski z podniesionymi brzegami. Przedmioty, znajdujące się w ciągu dnia poza linią widnokregu — ukazywały się nagle na jego krawędziach. W taki sposób wyłoniła się właśnie wieś Zagradowka z jej pięcioma wiatrakami i matową taflą jeziora, w tym złoto-różowo-liliowym świetle. Znikło to wszystko natychmiast po wschodzie słońca — i dookoła roztoczył się niezmierny step, pokryty trawą i barwnymi kwiatami, których kolory coraz wyraźniej wydobywało światło podnoszącego się na niebie słońca. Takie zjawisko widoczności przedmiotów zza linii horyzontu przed wschodem słońca obserwowaliśmy na Syberii jeszcze wielokrotnie. Widywaliśmy tu również odbijanie się w drgającym w czasie upału powietrzu oddalonych przedmiotów — domów i drzew — które przy zbliżaniu się do nich wracały do normalnej pozycji i wymiarów.

Wyprawa do Zagradowki była wspaniała. Matka Witka i Władka była gościnną i serdeczną, obaj chłopcy zaprowadzili Alinę i Marysię we wszystkie ciekawe, godne obejrzenia miejsca. Sopka — góra pochodzenia wulkanicznego — utworzona była u podstawy z doskonale widocznych warstw lawy, porośniętych bujną, piękną roślinnością: między innymi rosły tu ogromne rozchodniki. U stóp góry leżało jezioro — tak słone, że w czasie letnich upałów sól zbierała się na przybrzeżnych kamieniach. Okoliczni mieszkańcy polewali kamienie wodą z jeziora i po jej wyparowaniu zbierali pozostałą sól. Na brzegach występował też rodzaj bardzo białej, o niebieskawym odcieniu glinki, którą mieszkańcy wydobywali, lepili z niej duże kule, suszyli na słońcu i sprzedawali w pobliskich wsiach do bielienia domów. — Po drugiej stronie sopki wznosiła się druga góra, z naszej Poputni niewidoczna. Obie góry i ich podnóża porośnięte były laskami sosnowymi i brzoźowymi gajami. W bardzo zielonym krajobrazie pomiędzy górami leżał Bajskłan — autentyczna wieś Kirgizów, nazywanych tu teraz Kazachami. Witek i Władek pracowali tu przy jakichś budowach i mieli dużo przyjaciół. Ponieważ było lato, wszyscy Kazachowie mieszkali w jurtach. Jurt tych było wiele. Starannie uplecione z gałązek ścianki o wysokości 2 do 2,5 m, ustawione w kształt koła, nakryte były przemyślną, stożkową konstrukcją z żerdzi i gałęzi. Sylwetki jurt pozostawały w doskonałej harmonii z krajobrazem i zarysami niedalekich gór. Chodzące pomiędzy jurtami białe postacie mieszkańców potęgowały jeszcze egzotyczny nastrój obrazu, który idealnie odpowiadał encyklopedycznym opisom osiedli kirgizkich w sercu Azji. Ko-

biety i mężczyźni ubierali się podobnie. Nosili szerokie białe szarawary i na nie długą, białą koszulę, której przód dla wygody i swobody ruchów zapychany był za pasek spodni. Na to kładli długą, zwykle czarną kamizelę, u kobiet zapinaną na wielką ilość sprzączek i błyszczących guzików — często pieniążków, których dużo naszytych było również dla ozdoby. Wśród tych pieniążków trafiały się polskie przedwojenne srebrne 2-, 5- i 10-złotówki. Małe dzieci umieszczane były na plecach matek, i podwiązywane płócienną płachetką, a ich czarnowłose główki z płaskimi noskami i bystrymi oczkami wзираły zza pleców rodziców. Na głowach nosiły kobiety wymyślne nakrycie: rodzaj welonu, połączonego ze średniowieczną „podwiką”. Ten strój głowy był bardzo korzystny, ukazywał bowiem jedynie równo rozczesane na boki pasma czarnych włosów nad czołem i ciasno objętą przez welon twarz. Wszystkie kobiety trzymały w rękach wrzeczona, za pasek miały zatknięty kłak waty lub wełny i chodząc, siedząc i mówiąc kręciły grubsze lub cieńsze nitki. Tkąły z nich potem wąskie paski materiału o pięknych wzorach na prymitywnych, ale precyzyjnie wykonanych małych warsztatach tkackich, których kilka stało między jurtami. — Mężczyźni nosili na głowach turbany, a na koszulach — także czarne kamizelki, dłuższe jednak z mniejszą ilością ozdób niż u kobiet. Wszyscy Kazachowie palili fajki na długich cybuchach. Mieli bardzo wystające kości policzkowe, skórę o odcieniu żółtawo-brązowym, bystre oczy patrzące spod turbanu i śmieszny, rzadki zarost: wąsy zaczynały im się na poziomie kącików ust i cienkie ich pasemka zwisały po obu stronach brody, tworząc wraz z jej zarostem rzadką kitkę włosów. Pomimo to starzy Kazachowie wywierali wrażenie dostojeństwa i powagi. Zarówno kobiety jak i mężczyźni mieli delikatne i smukłe dłonie.

Witek i Władek byli w Bajskłanie bardzo zadomowieni. Znając już trochę wyrażeń w tubylczym języku porozumiewali się nawet z kobietami. Z mężczyznami byli „za pan brat”. Największego ich przyjaciela — Kindzibułata — o zabawnym zarostie i kaczym chodzie na pałkowatych nogach — przywoływali przeraźliwym gwizdem. On przybiegał z wyrazem szczęścia malującym się na żółtawym obliczu, a ciągnąc go za brodę i wąsy przyjmował jak najmiłszą pieśczętę. Ze strony chłopców były to zresztą wyłącznie wyrazy uczucia i gesty przyjaźni. Witek, Władek, Alina i Marysia zostali zaproszeni do jurty Kindzibułata na *czaj s mastom*. Wnętrze jurty wywierało wielkie wrażenie: ściany, plecione z gałęzi, wewnątrz wyłożone były pięknymi wołokami koloru beżowego lub szarego, z aplikacjami z czerwonego

sukna, tworzącymi przedziwną plecionkę o zawiłym, abstrakcyjnym rysunku. Dach jurty nakryty był skórą zwierząt w ten sposób, że w środku pozostał otwór. Na ziemi leżały grube wołoki, poduszki i pęki skór, służące do siadania i do spania. Pod otworem na środku jurty paliło się stale podsycane, małe ognisko, i cienka stróżka dymu unosiła się do góry, podsuszając i przydymiając kawały baraniego mięsa, wiszące na żerdziach i drażkach pokrycia dachowego. Pod ścianą jurty, obok stosu poduszek i wołoków stało malutkie, drewniane łóżeczko, przemyślnie wykonane i — sądząc z wyglądu — liczące sobie co najmniej pół wieku. Leżał w nim mały synek Kindzibułata — duma i nadzieja rodziny. Matka przewijała właśnie dziecko, goście mieli więc możliwość zobaczenia tej jedynej w swoim rodzaju ceremonii. Niemowlę, zupełnie nagie, było owijane od stóp do głowy w pieluszki, z wyciągniętymi rączkami i nóżkami — na kształt mumii. Wysoko pomiędzy nóżki wkładano mu kostkę szpikową w kształcie rurki. Był to rodzaj „kanalizacji”, gdyż koniec tej rurki wychodził na zewnątrz przez siano, ułożone w łóżeczku i odprowadzał nadmiar wilgoci, odejmując wiele pracy matce. Kostka owa była zbrązowiała od wieloletniego używania. Owinięte w pieluszki dziecko było następnie ciasno okręcane rodzajem bandaży i układane równo w swoim wąskim łóżeczku, przykryte miękkim kawałkiem wołoku i jedyne co mu pozostawało — to spać.

W środku jurty stał okrągły, niski stolik z samowarem i małymi, porcelanowymi miseczkami, ozdobionymi pięknym rysunkiem. Teraz stolik wysunięto, dla gości przygotowano wołoki i skóry. Żona Kindzibułata nastawiła samowar i po wymianie obowiązujących ukłonów i gestów grzeczności goście usadowili się dookoła stolika. *Czaj kirpicznyj*, sprasowany w cegiełki gospodni porąbała na drobne kawałki i włożone do porcelanowego czajniczka zalała wrzącą wodą. Potem lała nam ten aromatyczny napój o mocnym, czerwono-brązowym kolorze do porcelanowych miseczek i dokładała do każdej po kawałku masła, biorąc je palcami. Do herbaty podała pieczone w żarze ogniska płaskie placki z pszennej mąki oraz kawałki dziwnego, szaro-różowego sera z koziego mleka. Kindzibułat mówił po rosyjsku, z jego żoną wymienialiśmy jedynie gesty i uśmiechy uprzejmości i podziękowań. Potem poszliśmy do innych jurt zobaczyć, jak robią *ajran* — rodzaj jogurtu o ostrym, szczypiącym smaku, oraz zostaliśmy zaproszeni na prawdziwy kumys, który tu nosi nazwę „szampan”, jest robiony z mleka kłaczy i przechowywany w skórzanych workach, w których dojrzewa. Wizyta w Bajszkłanie

przeciągnęła się do późnego popołudnia, toteż mowy nie było o powrocie do domu tego samego dnia. Alina i Marysia przemocowały u przyjaciół i o wschodzie słońca wyszły, odprowadzone przez Witka, Władka i ich matkę do ostatnich domów wsi. Zagradówka ze swoimi wiatrakami, drzewami i płotkami przy białych domach przypominała polską wieś — i serca im ścisnęła tęsknota i poczucie oddalenia. Droga wiodła przez piękny, wiosenny step, pełen kwiatów i śpiewu skowronków.

Pewnego popołudnia przyszła do nas — a właściwie przywlokła się — pani Stasia z Rysiem na ręku. Oddała Rysia w ręce któregoś z nas i ze szlochaniem rzuciła się w objęcia Mamy. Wracając z Jawlenki, gdzie pochowała swoją malutką córeczkę! Opowiedziała nam, że — kiedy choroba się nasiliła — wzięła dzieci na ręce i poszła z nimi 65 kilometrów na piechotę, przez step, do lekarza. Dowlokła się tam, ale ratunku dla córeczki nie znalazła. Pani Stasia pracowała w kuchni szpitalnej, zmywając naczynia i podłogi, aby być bliżej dziecka. W pierwszą rocznicę swoich urodzin i w dzień swoich imienin, 26 lipca, Ania otworzyła oczki, powiedziała: „Mama!” — i opuściła świat, który ją zdążył tak wymęczyć. Matka zdobyła gdzieś drewnianą skrzynkę, włożyła do niej swoją malutką męczenniczkę i pochowała ją sama na miejscowym cmentarzu. Po kilku dniach, ochłonawszy trochę, wzięła Rysia na ręce i wracała do teściowej i do pozostawionych rzeczy. Miała zamiar przenieść się do Jawlenki, gdzie był szpital, lekarze i więcej możliwości znalezienia pracy. Po tej morderczej wyprawie nogi i ręce miała strasznie umęczone. Ta młoda kobieta, lekarz-dentysta, wychowana i żyjąca w dobrobycie — teraz załamana i wychudła, z nogami pokrytymi węzłami potwornych żyłaków, z trudem mogła przypominać elegancką panią doktor, jaką znaleźliśmy przed wrześniem 1939. Odprowadziliśmy ją do Nowouzienki, do jej domu, niosąc Rysia, kiedy mu się nóżki zmęczyły. Przed jej przeprowadzką do Jawlenki Alina odwiedziła ją kilkakrotnie i pomogła jej w pakowaniu rzeczy przed wyjazdem.

Lato było w pełni i rozpoczynało się „robienie kiziaku”. Był to bardzo ważny okres w życiu tutejszych ludzi. Ziemia nie potrzebowała nawożenia, więc nawóz spod krów i świń wraz z ludzkimi ekskrementami z całej zimy, zmieszany ze słomą podścielaną krowom, wyrzucano na stertę i polewano wodą. W czasie największych upałów rozrzucono ten nawóz, aż utworzył płaski krąg, lano na niego wodę, mieszano dokładnie nogami i widłami wrzucano do zmoczonej drewnianej formy, kształtującej tę masę w dwie duże cegły o wymiarach około 40×20×12 cm. Układano

je na trawie dookoła domu. Suszyło je słońce i wiatr. Trzeba było je przewracać i układać w przewiewne sterty. Kiedy wyschły — znoszono je pod dach. Czym więcej ich było koło domu — tym większa pewność ciepła w zimie. Był to w tutejszych warunkach bardzo dobry opał. Po wysuszeniu nie wydzielali w czasie palenia przykrego zapachu, a wartości ogrzewcze miały zbliżone do torfu. Ogarniało nas przerażenie na myśl, że mamy wykonywać tę obrzydliwą pracę. Już w jakiś sposób byliśmy uodpornieni, gdyż głównym opałem w tym kraju był szybko wysychający nawóz bydłocy, zbierany na pastwisku, ale drętwiała nam skóra na myśl o wejściu nogami w to paskudztwo... i potem o uklepywaniu rękami tej masy w formach... i znowu przyszła nam z pomocą nieoceniona Osipowa: zaproponowała nam, żebyśmy jej pomogli przygotować „kiziak” na zimę. Poszły więc Marysia, Jasia i Zosia. Osipowa była tak wyrozumiała, że nie śmiała się ani z ich łez, ani z objawów odrazy, jaka napełniała je — szczególnie w czasie jedzenia posiłków rękami, cuchnącymi pomimo długiego mycia. Potem i do tego przyzwyczailiśmy się i tego lata w Poputni stanowiącym ekipę wykwalifikowanych producentów „kiziaku”. Podczas tych prac zarobiliśmy kilka setek drogocennych cegiełek. Doświadczenia „kiziakowe” przysłużyły nam się, kiedy dostaliśmy propozycję pracy przy produkcji samanu. Przedsiębiorcą był Zawadzki ze wsi Južnoje, który nie wstąpił do kołchozu i będąc w tym społeczeństwie parszywą owcą, jako indywidualista — *odinolicznik* — angażował się do różnych prac w okolicy: kopał studnie, robił saman, budował chlewy, budował domy, nakuwał kamienie młyńskie itp. W domu swoim przechowywał papiery szlacheckie od króla Władysława IV, miał obraz Matki Boskiej z Kalwarii Zebrzydowskiej i polską książkę do nabożeństwa z XIX wieku. W naszym kołchozie zawarł umowę na wykonanie samanu do budowy nowej obory i szukał ludzi do pomocy, obiecując nieźle zapłacić. Ponieważ „poligon produkcyjny” zakładano przy „naszej” studni z żurawiem — wynajęliśmy się — Jasia (15), Zosia (15), i Marysia (18) do tej pracy. Wbito wielki pał w ziemię, obrysowano krąg, usunięto z niego darninę. Do pała na przegubie zaprzęgnięto dwa woły ciągnące pług i cały ten krąg ziemi zaorano na głębokość lemiesza. Teraz lano wodę ze studni wielkimi, ciężkimi wiadrami. 600 wiader. Cały czas wodę z zaoraną ziemią miesiły woły. Następnie wsypano w to dwa wozy sieczki i znów miesiły to woły, ciągnąc teraz tzw. „rak”, czyli krótką belkę z nabitymi na niej łokciowej długości drewnianymi kolcami. Wciąż w tę mieszaninę lało się wodę. Ręce nas od tych okutych

wiader bolały i marzły, gdyż mimo lipca i wielkich upałów woda w studni była lodowato zimna. Kiedy już mieszanina była jednolita, widłami narzucało się ją na wózek, którym wół rozwoził ją „na stanowiska produkcyjne”, gdzie kobiety wrzucały tę glinę do mokrych form ułożonych na trawie, dokładnie udeptywały nogami i podnosiły formę. Na trawie zostawały dwie cegły wielkości około 50×25×13 cm. Wysuszone układało się w sterty. Najcięższymi pracami w całym tym procesie wytwórczym było: wydobywanie ze studni i wylewanie wody, wyrwanie widłami wymieszanej gliny ze słomą z masy, szczególnie, kiedy warstwy zeszyły na niższe poziomy jamy, wyrzucanie gliny z jamy na wózek oraz układanie cegieł w sterty. Zwykle wykonywali te prace mężczyźni, ale my — nie mając żadnego doświadczenia i w perspektywie niezły zarobek — zgodziłyśmy się do tej roboty. Niestety, Zawadzki okazał się zwykłym oszustem, mimo swoich „szlacheckich papierów”, i za taką ciężką, wielotygodniową pracę trzech dziewcząt nie zapłacił nam ani grosza. Nie pomogły żadne upominania się ani chodzenia do niego — po prostu nie zapłacił! Myśmy natomiast przypłaciły to zdrowiem. Wszystkie dostałyśmy na rękach i nogach bolesnych wrzodów, które nas potem nękały całymi miesiącami, a biedną naszą Zosię przykuły do łóżka na pięć lat.

Zbliżała się jesień. Przed nami była perspektywa spędzenia zimy w malutkiej izdebce, bez pieca, w wielkiej ciasnocie. Trzeba było pomyśleć o nauce chociaż dla Tereni i Antka. Toteż Mama zaczęła myśleć o przeprowadzce. Najbardziej odpowiadałoby nam przeniesienie się do Jużnego, ale kołchoz ten leżał w innej *obłasti* i nawet wyprawy w celach handlowych były nielegalne. Pozostanie w Poputni było też niemożliwe. Mama wyprawiła się do Awierjanowki — głównej wsi naszego kołchozu, i znalazła tu dla nas „przestrzeń życiową”. Była to letnia kuchnia u towarzyski Paraski Barabanowej, *zaw-choza Me-Te-Fie*, czyli *zawiedujszczej choziajstwem mołoczno-towarnej fiermy*, lub też dyrektora obory i przyległości.

A W I E R J A N O W K A

Wieś Awierjanowka liczyła około czterdziestu domów, stojących w szeregu po obu stronach szerokiej ulicy. Kiedyś była

to dosyć zamożna wieś syberyjska, o czym świadczyło kilka gospodarstw, jakie pozostały niezniszczone po okresie walki z „kułakami”. Takie gospodarstwo (u nas na wsi mówi się „obejście”, tu nazywali *dwor*) — składało się z domu mieszkalnego, wewnętrznego podwórka i zabudowań gospodarczych. Dom gospodarzy był duży, miał grube ściany z samanu, stał na wysokiej podmurówce, miał wysoki dach kryty strzechą, a frontem z czterema oknami zwrócony był do ulicy. Wchodziło się do niego z podwórza, po schodkach do niewielkiej sieni, stąd do obszernej kuchni z wielkim piecem chlebowym, stołem i łóżkiem. Z kuchni drzwi prowadziły do izby *gornicznej*, lub wprost *komnaty*, gdzie stały dwa łóżka z poduszkami, szafa, u zamożniejszych gospodarzy — rodzaj kredensu z naczyńiami, stół, skrzynia, oraz *gałanka* — piec kuchenny z małą płytą i ze ścianką ogrzewczą. Całą jedną ścianę podwórka — od ogrodu do ulicy — tworzył wąski budynek, w którym kolejno mieściły się: obórka dla krowy i świni, zagroda dla owieczek, spichlerzyk i letnia kuchnia. Okienko obórki wychodziło na ogród, letniej kuchni — na ulicę. Do tych pomieszczeń wchodziło się wprost z podwórka. Pozostałe jego ściany tworzyła gruba, szczelna plecionka z gałęzi, pod którą stały narzędzia gospodarcze, wózek, oraz składało się zapasy opału na zimę: kiziak, słomę, piołuny. Była tam również buda dla psa. Podwórko pokryte było belkami, leżącymi na słupach. Ta konstrukcja, przykryta na zimę gałęziami i słomą, tworzyła dach nad całym „dworem”. Zima w tym klimacie trwa od połowy października do maja. Kiedyś takie *dwory*, połączone wewnętrznymi przejściami, tworzyły zwarte ciągi po dwóch stronach ulicy i uniezależniały życie wsi od burz śnieżnych i mrozów, gdyż nawet studnie znajdowały się pod dachami. Do takiego *dworu* wchodziło się pomiędzy domem mieszkalnym a letnią kuchnią, przez ciężkie, drewniane wrota, zamykane na solidną, także drewnianą zasuwę i bronione przez psy.

Obecnie zabudowa wsi była bardzo różnorodna: wyróżniało się kilka *dworów*; reszta — były to niskie, nędzne domki, a nawet kilka rodzin — między nimi listonosz Osobin — mieszkało w glinianych chatkach, do połowy wkopanych w ziemię. Ulica wiejska była bardzo szeroka, prowadząca ze wschodu na zachód. Były na niej trzy studnie z drewnianą obudową i solidnymi kołowrotami, z mocnym łańcuchem i żelazną korbą. Za domami rozciągały się ogrody. Przy północnej stronie ulicy, mniej więcej pośrodku, przy drodze do Poputni, stał główny „urząd” kołchozu. Naprzeciwko niego znajdował się budynek czteroklasowej szkoły. Za wsią, przy drodze wiodącej na południe do pocztowej wsi

Korniejewka, w odległości około 1,5 km stały budynki stajni kołchozowych dla krów, wołów, świń i kilku koni — królestwo Barabanowej. Między tymi zabudowaniami a wsią, przy samej drodze, były trzy głębokie jamy, pozostałe tu po wyrobie samanu. Drzew we wsi nie było zupełnie, latem dookoła zieleńiły się ogrody warzywne. Dalej rozciągały się pola uprawne kołchozu — a za nimi ogromny, nieobjęty okiem step. Na północnym wschodzie na horyzoncie majaczyła Sopka, odległa od tej wsi o około 30 km.

Nasz nowy dom, do którego przeprowadziliśmy się w sierpniu 1940 roku, oczywiście za zgodą Grigorija Siemionowicza, był właśnie letnią kuchnią we *dworze* Praskowii Iwanowny Barabanowej. Sama gospodyni z mężem Gawriło — zarośniętym po oczy dziadem, który dla nas był uosobieniem Zbója Madeja — z matką, chudą, chytrą staruszką z chorymi oczyma, i z siostrzenicą, 16-letnią Niurką, mieszkała w dużym domu. Do „naszej” letniej kuchni wchodziło się przez drzwi wprost z podwórza. Miała ona grube ściany z samanu — około 60 cm — klepisko zamiast podłogi i jedno małe okno, wychodzące na ulicę. Cały kąt naprzeciw drzwi zajmował wielki, chlebowy piec. Na środku pomieszczenia stał drewniany słup, podpierający konstrukcję stropodachu. W kącie, przy ścianie z oknem, stało duże łóżko, które gospodyni wypożyczyła nam razem z małym stolikiem i stołkiem. Przed wprowadzeniem się wybieliliśmy izbę białą gliną, wyszorowaliśmy drewniane sprzęty i piec, a klepisko wysmarowaliśmy rozcieńczonym wodą świeżym krowim nawozem. Zabieg ten, powtarzany co parę dni, zapobiegał ścieraniu się wierzchniej warstwy klepiska i powstawaniu kurzu. Nad drzwiami izby powiesiliśmy drewniany krzyżyk, zabrany z domu. Naprzeciwko drzwi umieściliśmy wizerunek Białego Orła, wyszyty na jedwabiu i mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Na małej półeczce w rogu pokoju, na której zwykle w rosyjskich domach umieszczane są ikony, znalazło swoje miejsce małe popiersie Marszałka Piłsudskiego. Całe pomieszczenie miało około 14-15 m² powierzchni. Odliczając od tego 3 m² zajęte przez piec — reszta przestrzeni stanowiła miejsce do życia dla 8 osób. Byliśmy jednak szczęśliwi, gdyż izba była o wiele większa od izdebki u babuszki Łondarki, miała piec z kominem, drzwi można było zamknąć od wewnątrz na solidny, żelazny hak — i nikt nie musiał spać na podłodze: Jasia spała na piecu, Antek, Zosia, Tereska i Staś na pryczach, Mama i Marysia na łóżku, a Alina — na skrzynce z ubraniami, z dostawianą na noc przemysłną konstrukcją pod nogi. Rozpoczął się nowy okres naszego życia.

Najważniejszym zadaniem było przygotowanie się do zimy, o której tutejsi mieszkańcy mówili: klimat mamy wspaniały, dziewięć miesięcy zimy, a potem lato i lato!... — Był upalny sierpień. Na kołchozowych polach trwały żniwa. Staś pracował w brygadzie polowej, wożąc na wozie, zaprzężonym w parę wołów, słomę i ziarno od kombajnu, Antek chodził pasać woły na step, a Alina zajmowała się gotowaniem, co w tych warunkach graniczyło z akrobacją. W sierpniu Jasia zjadła coś w kuchni polowej, czy może napiła się zanieczyszczonej wody — dość, że dostała potwornej biegunki. Jadała suchary, piła herbatę i opadała z sił. Nie mieliśmy na to żadnego skutecznego lekarstwa! W końcu pomogły jej... jajka pieczone w popiele, za poradą którejś z miejscowych kobiet. Marysia, Zosia i Jasia zajęły się łamaniem i noszeniem piołunów ze stepu. Mama kupiła ręczną maszynę do szycia za pieniądze, przysłane nam przez władzę sowiecką, jako ekwiwalent za pozostawione w naszym domu meble i urządzenia domowe, oraz za należności „za niewykorzystany urlop wypoczynkowy”, jakie Mamie i Alinie przysłał inspektorat szkolny. Pewną sumę przysłał nam też ksiądz Dziekan, nasz ukochany sąsiad. Mając już maszynę, Mama szykowała się do zarabiania szyciem.

Przychodziły do nas listy od Cioci i Babcy oraz przyjaciół, kolegów szkolnych, a nawet od rodziny z Wilna — w terminie jednego miesiąca od dnia wysłania. Ciocia przysyłała nam też czasem paczki żywnościowe z uciulanych przez siebie produktów, które stanowiły dla nas ogromne podtrzymanie. Dostawaliśmy paczki z mąką, z kaszą jęczmienną, przychodziły czasem kawałki słoniny wędzonej lub boczku, raz nawet przysłała nam Ciocia lampę naftową ze szkłem, przysypaną kaszą i zapakowaną do wiadra. Dzięki listom Cioci nawiązaliśmy kontakt z żoną stryja i jej dziećmi. Mieszkali oni w akmolińskim obwodzie Północnego Kazachstanu. Wywieziono razem z nimi rodziną siostrę Jasi — dziesięcioletnią Jadzię, którą stryjenka — podobnie jak my Jasię — zabrała z Wołynia w październiku 1939 roku, aby ich mamie i starszemu rodzeństwu umożliwić przejście wpływ przez Bug do ojca do Hrubieszowa, kiedy im na osadzie wojskowej pod Włodzimierzem Wołyńskim grunt zaczął palić się pod nogami. Oni — ci na Wołyniu — uniknęli w ten sposób wywiezienia na Syberię, ale obie dziewczynki odcierpiały za całą rodzinę. Mowy nie było, oczywiście, o odwiedzeniu stryjenki, ale chociaż wymienialiśmy rzadkie listy i cośkolwiek wiedzieliśmy wzajemnie o sobie.

Cały rok 1940 i miesiące od stycznia do czerwca 1941 —

był to okres dużej miłości między Związkiem Sowieckim i Niemcami, co znajdowało swoje odbicie w wywożeniu do Niemiec wszystkich możliwych do zgromadzenia zapasów zboża, skór i żywności. W okresie wojny we Francji wiosną 1940 roku i w czasie bitwy o Anglię armia niemiecka w pełni korzystała z zasobów Związku Sowieckiego.

Mama zapisała Terenię i Antka do miejscowej szkoły, a sama zaczęła intensywnie szyć, wykorzystując przy tym wiadomości nabyte w latach wczesnej młodości w „szkole rzemiosł” w Mińsku Litewskim, która była tajnym seminarium nauczycielskim, prowadzonym przez Polską Macierz Szkolną — a także doświadczenia, zdobyte przez długie lata szycia ubranek i sukienek dla swoich dzieci. I czego też teraz nasza Mama nie szyła! Sukienki, kurtki watawone, czapki męskie, spodnie „pełny klosz z przydepem”, jak nazywaliśmy te „modele”, szyte na wzór spodni marynarzy z okresu rewolucji 1917, marynarki męskie, płaszcze, i nawet... watawane kołdry, które z trudem mieściły się w naszej ciasnej izdebce. „Klienci” Mamy zaczęli nam przynosić wszy, których dotychczas nie mieliśmy zupełnie i wciąż wydawało nam się, że przez pranie i gotowanie bielizny uda nam się ich uniknąć. Ale już skończył się nam zapas mydła, przywieziony z domu. Miejscowe kobiety nauczyły nas gotować ług do prania z popiołu, pozostałego po spalaniu piołunu. Piołuny te, rosnące na pewnych obszarach stepu, dochodziły do 1,5-2 m wysokości, a średnica ich łodyg wynosiła 7-10 mm. Kiedy wyschły w jesieni — dawały się względnie łatwo łamać i można było w ciągu dnia nałamać i przynieść do domu na plecach dwie solidne wiązki, każda o średnicy około 80 cm, po uprzednim mocnym ściśnięciu sznurkiem. Była to bardzo ciężka praca, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że 300 cegiełek kiziaku, jakie mieliśmy, na zimę nie starczy, toteż kto mógł — biegał łamać piołuny. Znosiliśmy je i układaliśmy przy ścianie naszej izby w podwórku, ciesząc się z każdej przyniesionej wiązki i z każdego worka suchego nawozu, zebranego na pastwisku. Tymczasem wielkimi krokami zbliżała się zima. Dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze, noce były już bardzo zimne. Zosia przeziębila się przy łamaniu piołunów i po serii drobnych wrzodów, które nekowały ją od czasu pracy przy produkcji samanu — uformował się jej ogromny wrzód na kolanie. Musiała leżeć. Kolano puchło coraz bardziej. Miała mocno podwyższoną temperaturę. Mama wyprosiła konie u Gorijskiego Siemionowicza i zawiozła Zosię do Jawlenki do szpitala. Obejrzał jej nogę miejscowy chirurg, zalecił leżenie i dobre odżywianie i powiedział, że jest to gruźlica kości! Ogarnęło nas

przerażenie. W tych warunkach! Oczywiście Zosia leżała nadal. Po miesiącach zrobił się w kolanie wysięk, wyciekło mnóstwo ropy, kolano przestało być tak spuchnięte, ale o chodzeniu mowy nie było.

Zaczął się sezon kopania kartofli w ogrodach. Marysia i Jasia chodzą kopać je nawet do Poputni, chcąc zgromadzić pewien ich zapas. Trudną, karkołomną bez mała sztuką było gotowanie jedzenia. Zajmowała się tym Alina, tracąc przy tym zdrowie i szarpiąc nerwy. Matka gospodyni obiecała nam co prawda zbudować małą kuchenkę w naszej izbie, podłączoną do komina pieca chlebowego. Ale nie kwapiła się ze zrealizowaniem obietnicy. Miejscowe kobiety paliły rano w piecu chlebowym i przy tym ogniu gotowały w większych i mniejszych żeliwnych garnkach, przystawiając je do ognia za pomocą specjalnych widełek umieszczonych na kiju. Gotowały mleko, barszcz, kapuśniak, kaszę jaglaną na mleku, ustawiały ponakrywane garnki w nagrzanym piecu i rodzina miała gorące jedzenie przez cały dzień. Ale tak gotowały zamożne gospodynie. Nędzarze, do jakich i myśmy się zaliczali, musieli gotować co najmniej dwa razy dziennie. Nie mieliśmy ani opału, żeby napalić w piecu, ani garnków, ani produktów. Alina gotowała więc wielki garnek kaszy jaglanej z kartoflami, ustawiając go na dwóch ceglach pod wylotem komina od pieca chlebowego i między te cegły podkładając płonące patyczki i kawałki suchego nawozu. Była to „krwawa” praca, gdyż ten garnek był wielki, ciężki, bez uszu, zdejść go z tych cegieł było niezmiernie trudno i zdarzało się, że się garnek wywracał — i cały nasz obiad przepadał! W tych warunkach — zbudowanie czegoś, co przypominałoby kuchnię, było dla nas bardzo istotne. Robiło się coraz zimniej i taka kuchenka stwarzałaby również możliwość zatrzymania ciepła, wytwarzanego przez tak trudno zdobywany opał. Matka Barabanowej wciąż nie dotrzymywała obietnicy. Pomimo, że za jej poradą kupiliśmy z Mamą 100 cegieł piaskowych i Mama jako wynagrodzenie za szycie dostała gdzieś ruszt i zasuwkę do komina — babuszka wciąż wykręcała się brakiem czasu. W połowie października Mama z Marysią postanowiły same tę kuchenkę wymurować. Marysia naznosiła gliny, przypomniała wszystkie sztuczki jakie podpatrzyła u Nastii Nazimowej, kiedy ona kleciła kuchenkę w swojej sieni w Poputni — i zaczęło się murowanie. Trwało cały dzień. I cały dzień czekaliśmy na jedzenie. Była to bardzo prymitywna kuchenka. Oprócz paleniska z rusztem trzeba było zrobić coś w rodzaju „płyty” z gliny i kawałków żelaza, z otworami dopasowanymi do garnków; zbudować kanał ogrzewczy i przewód dy-

mowy, przyklejony do pieca; wprawić w niego zasuwkę, umożliwiającą zatrzymanie ciepła i wyprowadzić ten przewód. Głównym murarzem była Marysia, lecz przychodziły na nią momenty bezradności — i w każdej „beznadziejnej” sytuacji Mama swoim optymizmem i pomocą w poszukiwaniu rozwiązań mobilizowała ją znowu. Budowę tej kuchenki Marysia kończyła już przy świetle kopciki. Nareszcie późnym wieczorem kuchnia była gotowa: cała rodzina w miarę wolnego miejsca asystowała przy zapalaniu pierwszego ognia; Kuchnia nie miała drzwiczek ani płyty, ale równocześnie grały się dwa garnki, wpuszczone w te pracowicie wyrobione otwory, mokre, oblepione gliną cegły wysychały, nagrzewały się — i dawały nadzieję ciepła. Można też było wreszcie zagrzać wodę do mycia. Przestała wisieć nad nami groza całkowitego zamarznięcia, bo jednak widok żywego, buzującego ognia, roztaczającego ciepło, budził uczucia optymistyczne.

W drugiej połowie października spadły wielkie deszcze — zjawisko prawie nie notowane w tym super-kontynentalnym klimacie. Na stepie było tak mokro, że nawet musieliśmy przerwać wyprawy po piołuny. Bezpośrednio po okresie tych deszczów przyszły duże mrozy — w granicach -15° — ziemia zamarzła i spadł śnieg. Doświadczeni Sybiracy przepowiadali nadzwyczajnie ciężką zimę. *Wtedy* nie wyobrażaliśmy sobie w najmniejszym stopniu, jaka ona może być naprawdę. Zosia w dalszym ciągu leżała chora. Gorączka jej spadła, ale noga bolała ją bardzo i wciąż nie goił się wysięk w kolanie.

W listopadzie rozpadł się nam od deszczów i mrozu komin na dachu. Trzeba go było koniecznie zreperować, gdyż groziło niebezpieczeństwo pożaru. Wiatr wiewał dym z powrotem do izby i każdej chwili mogła się zawalić górna część pieca. Pomimo mrozu i lodowatego wiatru Marysia zdecydowała się komin postawić. Zabrała stare wiadro bez dna, kilka kawałków cegieł, glinę rozmieszaną z wodą i sieczką — i poszła na dach. Wiatr ją przewiewał na wskroś i z trudem utrzymywała się na nogach. Reperacja komina zajęła jej przeszło godzinę. Z domu podawano jej wciąż gorącą wodę do moczenia rąk i marznącej gliny. Wróciła z dachu przemarznięta do kości. Na drugi dzień miała już gorączkę i bolały ją całe nogi, które w ciągu kilku dni pokryły się płaskimi, czerwonymi guzami. Z czasem postępująca choroba uniemożliwiła jej chodzenie, tak że nawet wstanie do mycia było męczarnią. Najgorsze w tych warunkach były sprawy potrzeb fizjologicznych. W tej ciasnocie — dwie osoby obłożnie chore. W momentach wyjątkowo drastycznych zdrowi wnosili się na podwórko, które dziad Gawriło nakrył na zimę grubym dachem.

Ratowały nas także grube, samanowe ściany izby. Przy drzwiach tworzyły one rodzaj sioneczki, głębokiej na 65-70 cm. Od wewnątrz zawiesiliśmy drzwi starym kocem, który zatrzymywał trochę ciepła, a od strony izby wytworzył się dzięki temu „intymny” kąt. Mycie odbywało się między piecem, kuchenką i łóżkiem Mamy i Marysi. Myliśmy się codziennie, rano i wieczorem, niezależnie od temperatury wody. Wiele godzin zajmowało nam mielenie pszenicy na żarnach, niezdarnych i ciężkich, kupionych od Zawadzkiego ze wsi Južnoje. Przypominał nam się Żmudzin z „Potopu”, obracający żarna w Wodoktach, ale on miał lżejszą pracę, gdyż tamte żarna z pewnością były zrobione znakomicie i meły lekko.

Od chwili, kiedy skończyły się prace polowe Staś był w domu, Terenia i Antek chodzili do szkoły, a wieczorami Mama przerabiała z nimi, ile mogła, lekcji z podręczników i książek, zabranych z Polski. Najważniejszą „edukację” stanowiły jednak opowieści z historii i z życia, które snuliśmy w zimne wieczory, leżąc po ciemku pod kołdrami — dla oszukania głodu i przez brak *kierosinu* do kopciki kładąc się wcześniej do łóżek. Terenia i Antek — zapisani do szkoły — wrócili po kilku dniach i orzekli, że prędzej nie pójdą, aż się nauczą czytać, bo dzieci w szkole z nich się śmieją. W ciągu tygodnia nauczyli się czytać z podręczników szkolnych i pisać litery. Wtedy wrócili na lekcje. Po kilku tygodniach nauczycielka poleciła Tereni głośno czytanie w jej zastępstwie, gdyż ta „praca” męczyła ją bardzo — po prostu nie dawała sobie rady z tą trudną sztuką. Terenia zaś, czytając codziennie głośno w domu kontrolowana przez Mamę — po pewnym czasie czytała płynniej niż nauczycielka. 8 grudnia, w dzień Mamy imienin, obudziliśmy się rano w lodowato zimnej izbie i z przerażeniem spostrzegliśmy biały szron na ścianach i na suficie. Przestrzeń między drzwiami i osłaniającym je kocem zasnuta była śniegiem, powstałym w nocy z naszych oddechów. Takie „zjawiska” oglądać już mieliśmy codziennie od tego dnia aż do wiosny. Wstawaliśmy jednak, myliśmy się, nosiliśmy wodę, mełliśmy na żarnach, Mama szyła, dzieci szły do szkoły. Alina miała cały dzień zajęty gotowaniem i opieką nad chorymi.

Dwunastego grudnia Alina wyprawiła się do wsi Južnoje z jednym z Mamy „klientów” celem wymienienia jakichś ubrań na produkty przed świętami Bożego Narodzenia. Wyjeżdżając ubrała się ciepło, włożyła na nogi grube skarpety i narciarskie buty. Kiedy wróciła po trzech dniach z innym „klientem”, który przyjechał odebrać uszyte ubrania — nie mogła zejść z sanek!

W tych narciarskich butach miała tak okropnie odmrożone nogi. Mama, Staś i Jasia znieśli ją prawie z sanek i po zdjęciu butów i skarpet okazało się, że nogi miała białe i sztywne. Mama pobiegła po śnieg, przyniosła pełną miskę, włożyła w nią te biedne nogi i zaczęła je szybko i ostrożnie rozcierać. Pomagał, kto mógł — śnieg był zimny i marzły ręce, ale to był jedyny sposób ratunku. Po dwóch godzinach rozcierania Alina przestała płakać z bólu, a roztarte śniegiem nogi odzyskały normalny kolor. Tak oto, naocznie i na własnej skórze dowiedzieliśmy się, że jedynym, odpowiednim na ten klimat obuwiem, są walonki, zwane tu *pimy* — wysokie buty z filcowanej na gorąco owczej wełny. I natychmiast musieliśmy sobie takie *pimy* sprawić.

Trudne i beznadziejnie smutne zbliżały się pierwsze święta Bożego Narodzenia. Ciocia przysłała nam opłatek, trochę grzybów suszonych i białej maki, więc tego roku mieliśmy na Wigilię nawet barszcz z uszkami i kapustę z grzybami. Alina upiekła nawet u którejś z sąsiadek chleb i coś w rodzaju makownika. Łamaliśmy się opłatkiem przy zachowanej na tę okazję świecy. Mama była opanowana do tego stopnia, że nie uroniła ani jednej łzy i potrafiła nas, drżących i zrozpaczonych, zachęcić przykładem tak, że nawet śpiewaliśmy kolędy. Było nas ośmioro. Mama miała silny i piękny głos, wszyscy mieli niezły słuch, więc to śpiewanie kolęd a potem pieśni patriotycznych i wojskowych, było zupełnie miłe dla ucha. Zauważyliśmy z przerażeniem, że ginie nam piółun z podwórka. Co raz to ktoś z nas widział babuszkę, niosącą sporą garść piółunu przez podwórze. A oni mieli przecież mnóstwo kiziaku! Nasza gospodyni jako „dyrektor” fermy hodowlanej kołchozu — mogła mieć ile by tylko chciała doskonałych cegieł kiziakowych, rąbanych wprost spod owieczek. Jednakże piółun był opałem wygodnym, rozpalał się szybko pod płytą kuchni, przy paleniu wydawał miły trzask, światło i przyjemnie, gorzko pachniał. Babuszka więc z całym spokojem ograbiła nas z tego nędznego, z takim trudem zdobytego opału. I nie mieliśmy sposobu, aby temu zapobiec. Każda zgłoszona do Barabanowej skarga mogła się dla nas zakończyć wyrzuceniem nas z mieszkania — a gdzie byśmy wówczas poszli — tyle osób, z dwoma obłożnie chorymi i w środku zimy!

Któregoś dnia Barabanowa wydawała u siebie przyjęcie. Miał wziąć w nim udział Grigorij Siemionowicz z bratem Aleksiejem, kuzyn gospodyni Aloszka Barabanow z żoną Niurką, miłą, młodą kobietą, oboje kierowcy ciężarówek, i Paraska, w drodze wielkiego wyróżnienia, zaprosiła na tę „uczte” naszą Mamę! Oczywiście głównym i podstawowym daniem i napojem była wódka,

do której picia Praskowia Iwanowna przymuszała Mamę, klękając przed nią i całując ją po rękach! Toteż Mama — kiedy towarzystwo po licznych kolejkach rozochociło się mocno — skorzastała z pierwszej nadarzającej się okazji i wymknęła się do domu. Po chwili cała *wierchuszka* kołchozowa, z Paraską na czele, wtoczyła się do naszej izby. Mama uciekła na prycze, wymawiając się bólem głowy. Paraska wczołgała się tam za nią ze szklanką wódki w ręce, za Praskowią podążył Grigorij Siemionowicz — to wszystko działo się obok leżącej na pryczach Zosi. Mama nie chciała jednak pić wódki. Paraska ciężko obrażona zasnęła. Obydwaj pijani towarzysze z trudem staszcyli ją z tych prycz i klnąc, śmiejąc się i tarmosząc wzajemnie nareszcie się wynieśli. Na szczęście — nie zostawili nam „pijackich pamiątek”, ale Praskowia Iwanowna była ciężko urażona już właściwie do końca naszego u niej mieszkania.

W ramach zapłaty za szycie Mama dostawała mleko, mąkę (tej mieliśmy jednak najwięcej z wymiany naszych ubrań), jaja, a także *kierosin* do kopciki, której nędzny płomyczek pozwalał nam cośkolwiek robić w długie, zimowe wieczory. Czytaliśmy głośno „Trylogię”, *Płomyczki*, podręczniki do historii, „Mówią wieki” — nasz wspaniale zredagowany podręcznik szkolny do języka polskiego — dzieci pisały dyktanda, uczyły się wierszy. Mama zdobyła skądś piękne, stare wydanie „Wojny i pokoju” Tołstoja, oprawne w czerwone płótno ze złoconymi napisami, i zmusiła nas do głośnego czytania tej książki wieczorami. Początkowo, z nienawiści do języka, szło nam to czytanie bardzo opornie. Potem wspaniała książka i ciekawe losy jej bohaterów tak nas zafascynowały, że czytaliśmy chętnie. Porobiliśmy kredkami karty do gry na pociętych i posklejanych kartkach pocztowych, które wtedy jeszcze sprzedawał listonosz. Grywaliśmy w „duraka”, „tysiąca”, „sześćdziesiąt sześć” i „kierki”. Staś wyrzeźbił z patyczków małe szachy, a także — nie mając nigdy przed wywiezieniem nas na Syberię do czynienia z pracą na roli — zrobił teraz z patyczków i kawałków drutu mały, około 30 cm, długi model wozu drabiniastego z całym urządzeniem do zaprzęgnięcia koni lub wołów w jarzma. Staś, Terenia i Antek „wydawali” na małych kartkach papieru małe „Dzienniki Rodziny”, pisząc w nim zabawne teksty i anegdoty, dotyczące naszego życia i pracy, ilustrowane „satyrycznymi” w ich pojęciu rysunkami.

W sam dzień nowego, 1941 roku Marysia wstała z łóżka i spróbowała chodzić, przy pomocy Mamy i Stasia. Pierwsza próba się powiodła: rumień guzowaty minął, pomogło wygrze-

wanie go w łóżku przez sześć tygodni. Każdego dnia widać było teraz poprawę. Do lutego Marysia wyzdrowiała zupełnie i z czasem zapomniała się o tej chorobie, w obliczu nowych chorób i nowych zmartwień. Krótkie dni zimowe i niezmiernie długie wieczory trzeba było czymś wypełniać. Przywieźliśmy ze sobą dużo kolorowych nici i teraz zaczęliśmy wyszywać chusteczki na głowę, tzw. *kosynki*. Z jednej poszewki na poduszkę wychodziły cztery chusteczki. Wzory rysowała Marysia. Wymienialiśmy te *kosynki* na produkty, pobieraliśmy też zapłatę w naturze za roboty na drutach i wszelkie inne „usługi”, ale dochody z tego były znikome i stale topniały zapasy naszych ubrań, wymieniane na żywność. Na domiar złego topniał w oczach zapas paliwa, do czego bez skrupułów przyczyniała się babuszka. Staraliśmy się zdobyć trochę kiziaaku, czasem ktoś nam za naszą pracę ofiarował parę cennych cegiełek, ale były to krople w morzu potrzeb. W styczniu mrozy przekraczały już —25°, dochodząc czasem do —35°, a silne burze śnieżne zwane tu *buran*, połączone z szalonymi wiatrami, wywiewały resztki ciepła z naszej nędznej i źle przystosowanej do zimy izdebki. Próbowaliśmy zaślaniać komin na dachu, na który łatwo było teraz wejść po górach śniegu, nawianych przy ścianach *dworu*, ale skończyło się to prawie tragicznie. Po pierwszej nocy, spędzonej przy szczelnie zakrytym od góry kominie, obudziliśmy się wszyscy z zaciżnieniem. Byliśmy jak nieżywi, wszyscy mieli okropny ból głowy i prawie stracili przytomność. Marysia wczołgała się z łóżka, otworzyła drzwi, potem odetkała komin. Ból głowy i torsje ustąpiły po kilku godzinach i po łyknięciu proszków „z krzyżykiem”. Noce, spędzane przy otwartym kominie, groziły nam jednak zamrożeniem. Było tak zimno, że dygotaliśmy, ponakrywani kołdrami, kocami, kożuszkami i wszystkim, co mogło zapewnić choć trochę ciepła. Musieliśmy zakrywać komin, ale już teraz sprawdzaliśmy bardzo dokładnie palenisko i wszystkie niewypalone do końca resztki starannie usuwaliśmy.

Dowiedzieliśmy się na wsi, że podobno w tzw. *zaimce* — letnim stanowisku fermy hodowlanej na stepie, odległym od wsi o 8 km — można dostać kiziaaku. Staś wyprosił u brygadzysty sianie z parą wołów, pożyczylimy od sąsiadów drugą parę *pimów* i Alina ze Stasiem, z samego rana, wyprawili się do tej *toczki* — *zaimki*. Mróz był wielki, słońce wzeszło „potrójnie” — po obu stronach prawdziwego słońca wschodziły dwa jego złoto-czerwone odbicia w powietrzu, pełnym śnieżnych, kłujących igieł. Wróżyło to zjawisko wielki mróz i *buran*. Po południu wzmógł się wiatr, słońce skryło się za tumany lodowatego śniegu, pędzone

przez wichurę z niebywałą siłą i wijące się jak nieskończenie długie, białe węże po twardym śniegu, grubą warstwą pokrywającym ziemię. Alina i Staś nie wracali. Nie wrócili też na noc. Burza śnieżna nie ustawała. Drugiego dnia wydawało się nawet, że przybrała na sile. Śniegu było coraz więcej. Wichurę kręciła nim we wszystkich kierunkach. Wchodziło się w ten śnieg i traciło się poczucie kierunku. Przed południem wróciły woły z jarzmem, bez sań, z pokaleczonymi nogami. Ludzie we wsi mówili, że musiały je pokaleczyć wilki. Dziad Gawriło opatrzył to wydarzenie komentarzem: *A waszych nawierno wołki roztrzeźwiali*, ale potem obejrzał woły i osądził, że nogi mają pokaleczone, gdyż idąc przez zmarznięty i twardy śnieg na stepie, zapadały się głęboko i raniły nogi o zlodowaciałą skorupę na powierzchni. Mama szukała odważnych, żeby zechcieli pójść do tej *zaimki* przyprowadzić Alinę i Stasia, lecz, pomimo, że w nagrodę obiecywała zegarek Ojca, nikt nie odważył się pójść w taką pogodę poza wieś. Odchodziliśmy od zmysłów z rozpacz i przerażenia. Widoczność zmalała do tego stopnia, że listonosz, który codziennie, od lat, jeździł do Korniejewki po pocztę tą drogą, do zmierzchu nie wrócił i jego żona mówiła, że został na noc we wsi pocztowej, nie chcąc ryzykować zabłądzenia w taką pogodę. Traciliśmy już nadzieję, że oni wrócą — i tuż przed zapadnięciem ciemności Marysia i Antek, którzy z grzbietu śnieżnego wznoszącego się pośrodku wsi wypatrywali do łez oczy chcąc nimi przebić kotłujący się śnieg — najpierw posłyszeli, że ktoś gwizdże „Warszawiankę”, a potem zobaczyli dwie ciemne figurki, poruszające się wolno po drodze pocztowej! Wybiegli im naprzeciw! Było już blisko do wsi i nareszcie, wymęczeni, głodni, przerażeni i zmarznięci „podróźnicy” wrócili do domu! Nawet dziad Gawriło przyszedł ich obejrzyć, a Praskowia Iwanowna przysłała dzbanek gorącego mleka. Rozebrani, wytarci, ogrzani, zawinięci w koce, napojeni gorącym mlekiem — nareszcie zasnęli. Na zawsze odechciało nam się zimowych wypraw poza wieś. Alina i Staś opowiedzieli nam, że póki pierwszego dnia dobrnęli przez śnieg sięgający kolan do *zaimki* — zapadł zmierzch. Nikogo tam nie zastali, o żadnym kiziaku mowy nie było, wszystko było grubo zasypane śniegiem. Spędzili noc w wagonie brygady polowej, zatarasowali drzwi czym się dało przeciw wilkom. Upzednio woły wyprzęgli z sań i puścili wolno, żeby same wróciły do wsi. Sami biegali całą noc po wagonie ze strachu przed wilkami i zaśnięciem, które groziło w tych warunkach zmarznięciem na śmierć. Rano zadymka się nasiliła. Czekali, aż się trochę uspokoi. Wybrali się w końcu wracać w ten *buran*, bojąc się pozos-

tania w wagonie na drugą noc. Szli, kierując się instynktem, nie bardzo zdając sobie sprawę z kierunku drogi. W pewnym momencie zobaczyli szereg patyków, wystających ze śniegu: były to wyschnięte łodygi słoneczników, wetknięte w śnieg przez listonosza wzdłuż drogi pocztowej! Teraz już wiedzieli, że trafiają do domu.

Śnieg padał wciąż. Goniony wiatrem, usypywał we wsi coraz wyższe góry śniegowe. Przy trzech studniach na głównej drodze ustawiono wysokie żerdzie, żeby rano było wiadomo, gdzie szukać studni. Przychodzili mężczyźni, rozkopywali górę nawianego przez noc śniegu, odkopywali studnię i z wielkim rozmachem spuszczały na łańcuchu obciążone żelastwem wiadro, które dopiero po kilku uderzeniach rozbijało lód i śnieg na powierzchni wody. Teraz można było naciągnąć wody, ale bez przerwy trzeba było toczyć walkę z zasypującym studnię śniegiem, a także z wiatrem, żeby tej z trudem wydobytej wody nie wylać w drodze do domu, przeprawiając się przez śniegowe góry.

Opału nie mieliśmy już zupełnie. 15 lutego spaliliśmy ostatnią garść piołunu i ostatnie kawałki pokruszonego kiziaku. Już nie mieliśmy na czym zagotować wody. Rano 16 lutego przyszedł do nas Edmuś Grzędziak, 19-letni syn kolejarza z Wołkowyska, mieszkający z rodzicami i z dwoma braćmi w podobnej do naszej letniej kuchni u Aloszki Barabanowa. Edmuś przyszedł do nas często, np. napić się wody w czasie *buranu*, bo — jak mówił — „U was same dziewczyny, to woda zawsze jest”. Edmuś, jego ojciec — czterdziestokilkuletni majster z warsztatów kolejowych w Wołkowysku — i 16-letni brat Staś, epileptyk, pracowali całe lato w lasach koło Sopki przy tzw. *lesozagotowce*, czyli przy ścinaniu i piłowaniu drzewa dla urzędów, wyższych urzędników kołchozu, szkoły, i cielętnika — i mogli zrobić sobie zapas drzewa. Ale — jak się okazało — nawet mężczyźni nie przewidzieli takich mrozów i śnieżyc! Podobnie jak i nam — „samym dziewczynom” — skończył im się opał w połowie lutego. Teraz Edmuś trzymał w ręku widły i długą linkę i powiedział: „Dzindobry. Właśnie idę za topką, może dziewczyny chcą iść ze mną?” — Od mieszkańców naszej wsi dowiedział się, że najpewniejszym miejscem na zdobycie opału są sterty słomy, pozostałe po żniwach na polach wsi Južnoje, oddalonych od Awierjanowki o 5 do 8 km, i stamtąd można przynieść słomy na paszę dla bydła lub na opał, jeśli się ma szczęście i nie wpadnie się w ręce *bojexszczika*. Z Edmusem i Stasiem poszły Marysia i Jasia. Wzięły mocne sznurki i widły. Wiał silny wiatr ze

śniegiem, szli mocno pochyleni do przodu, jedno za drugim, żeby nie stracić się z oczu. Dotarli do sterty. Trzeba było odkopać śnieg. Ponieważ był zmarznięty, twardy i wywiany przez wiatr, dawał się widłami rozbijać na bryły i odrzucać na bok. Potem trzeba było widłami wyrywać ze sterty zmarzniętą słomę. Następnie sprytnie ułożyć ją na sznurkach, żeby w drodze powrotnej wiatr jej nie rozwał. Tego już się nauczył Edmuś i teraz bardzo nam pomagał. Potem trzeba było związać wiązkę sznurem w wielu miejscach. Potem zarzucić na plecy i z tym przewracającym do tyłu ciężarem, pod wiatr, w śnieżycę, wracać do domu. Najgorsze były pierwsze kroki. Trzeba było pokonać opór wiatru, ciężar olbrzymiej wiązki, odpowiednio rozłożyć siły, doposażać krok. Po pewnym czasie — aczkolwiek z krwią nabiegającą do oczu z wysiłku, ledwo łapiąc oddech — można już było iść. Tak te dwie pierwsze wiązki „opału” zostały przyniesione do domu. Teraz trzeba było odplątać sznury zakręcone na rękach. Okazało się, że ściśnięte sznurami ręce zmarzły strasznie pomimo rękawic, z zahamowanym przepływem krwi! Teraz wracało normalne krążenie z towarzyszeniem okropnych bólów rąk. Znowu Mama wybiegła po śnieg i rozcierała ręce płaczącym Jasi i Marysi. Krwawo opłaczaliśmy te doświadczenia syberyjskie!

Wyprawy po słomę musiały zostać włączone do programu dnia, gdyż jednej wiązki wystarczało zaledwie na przygotowanie jednego posiłku. Słomę trzymaliśmy w piecu, mocno upchaną, z obawy przed wypalaniem nam i tego nędznego opału przez babuszkę. Czasem, jeżeli na polu złapał nas, wlokących się pod wiatr z tym drogocennym ciężarem, konny stróż, *objezszczik*, z wielkimi krzykami i przekleństwami gonił nas i kazał słomę z powrotem odnieść do sterty! Wtedy płacząc łzami bezsilnej rozpaczki wracaliśmy do domu z pustymi rękami. Kiedy już zdobyliśmy niejaki doświadczenie i znaleźliśmy w przybliżeniu godziny jego „wizytacji” — kluczyliśmy po stepie lub szybko ładowaliśmy cenne wiązki i gnaliśmy do domu, o ile nam wiatr, nieustający *buran*, mróz hamujący oddech i zapadające się w śnieg nogi pozwalały. Najgorsze były dni, kiedy ukryci w stercie czekaliśmy, aż stróż zniknie z horyzontu. Na tym przeźliwie białym i pustym stepie — kiedy śnieg nie padał — wszystko było niezwykle wyraźnie widoczne. Do domu wracaliśmy przy kończącym się dniu, z dławiącym strachem, żeby nie zabłądzić — szukając własnych zawianych przez *buran* śladów na śniegu. Grozę w nas budził widok białych, śniegowych węży, z cichym szelestem wijących się po zaróżowionej od wieczornej zorzy powierzchni śniegu. Miejscami śnieg był ubity przez

wiatr i szło się po wierzchu, miejscami był miękki i syпки — i wtedy zapadaliśmy się po kolana i wyżej, z trudem wyciągając potem coraz bardziej zmęczone nogi.

Pod koniec lutego Grigorij Siemionowicz zażądał wychodzenia do pracy przy tzw. *śniegozadzieraniu*. Mróz w dzień dochodził na wietrze do -40° , świeciło blade słońce, powietrze pełne było świecących igieł śnieżnych. Praca polegała na cięciu łopatami prostopadłościaków zmarzniętego śniegu i układaniu ich w sterty, które miały zatrzymywać śnieg gnany wiatrem i zapewnić w ten sposób większe nawilżenie pola w czasie wiosennych roztopów i wiatrów. Z tej pracy w polu, pomimo fizycznego wysiłku, uciekaliśmy po dwóch godzinach z odmrożonymi policzkami, na których mróz malował sinoczerwone „ameryki południowe”. Znowu ratowała nas Mama, cierpliwie i delikatnie rozcierając nam policzki śniegiem.

W lutym w zarządzie kołchozu miało miejsce wydarzenie, charakterystyczne dla panujących tu stosunków. Żyła we wsi rodzina Emilianowych, kobieta z siedmiorgiem drobnych dzieci. Mąż jej był w wojsku i ona sama musiała dbać o wyżywienie rodziny. W czasie wielkich mrozów tej okrutnej zimy wyczerpały się jej wszystkie możliwości nakarmienia dzieci i poszła do zarządu kołchozu prosić Grigorija Siemionowicza o wypisanie jej kilku kilogramów pszenicy czy chociaż kartofli, z należnych jej przydziałów za przepracowane „trudodni” jej męża. Grigorij Siemionowicz oświadczył: „Pszenicy ci nie wypiszę — bo nie mam. Ale patrz: tu w kącie stoi sześciopudowy worek ziarna (1 pud = około 16 kg). Jeżeli zaniesiesz ten worek do domu — pszenica twoja”. — Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem! Emilianowa — niewysoka, wygłodzona i wyniszczona porodem i pracą kobieta — podsadziła się pod ten wór — i przy akompaniamencie śmiechu i grubych żartów władców kołchozu — podniosła go z jękiem na plecy i poniosła do domu! Cała gromada roześmianych i rozbawionych towarzyszy szła za nią. Kiedy ona ze stęknieniem zwała go z pleców na klepisko swojej izby — Grigorij Siemionowicz schwycił ten wór za górny węzeł i powiedział do towarzyszy: „No, zabierajcie go z powrotem!” — Nieszczęsna, zmordowana kobieta podniosła krzyk i z płaczem wołała: „Co ty, Grigorij Siemionowicz, przecież mi go obiecałeś, przyniosłam, nie dam, czym nakarmię dzieci!” — Grigorij Siemionowicz ze śmiechem odrzekł: „Zgłupiałaś, durna? Na żartach się nie znasz, babo?” — Kobieta przykrywała wór sobą, padała do nóg *prezesa*, on jednak odtrącił ją butem i wraz

z innymi towarzyszami zabrali wór z powrotem do biura kołchozu. Było to przecież ziarno przeznaczone do wymiany na wódkę. Emilianowa zeszywniała ze zgrozy na swoim klepisku — tak, jak ją rozbawieni towarzysze zostawili. Takie bywały zabawy panów na Awierjanowce!

Mróz trzymał, śniegu przybywało. Wieś wyglądała tak, jakby ją przeniesiono w górski krajobraz. Przez środek głównej ulicy ciągnął się grzbiet wzgórza śniegowego tak wysoki, że z jednej strony ulicy nie było widać drugiej. Z tego wzgórza sterczały żerdzie, znaczące położenie studzien, do których schodziło się po schodach, wyrąbanych w zaspach. Wrota do naszego „dworu” dziad Gawriło zostawił otwarte jeszcze przed wielkimi śnieżycami. Teraz wchodziło w nie wielkie zbocze śniegowej góry, w którym wyrąbaliśmy razem z dziadem stopnie, odnawiane po każdej nocy, umożliwiające wydostanie się z podwórza na główny grzbiet i wyprawy po wodę. Nocne zamiecie śnieżne zasypywały nasz domek doszczętnie. Było nam cieplej, bo siedział on jakby w środku śniegowej góry, ale często budziliśmy się rano w zupełnej ciemności, gdyż mieliśmy zasypane okno. Z góry śniegu wystawał jedynie nasz komin. Mieszkała w tej wsi, wysiedlona z okolic Nowogródka, rodzina żydowska: dwaj bracia, Grzegorz i Beniamin Bogumińscy, i ich siostra z małą córeczką. Grzegorz miał ukończone studia handlowe, Beniamin studiował przed wojną prawo w Warszawie i w Wiedniu. Uważali oni za swój obowiązek opiekować się nami dyskretnie, nie narzucając swojej obecności. W czasie wielkich zamieci przychodził na przykład któryś z nich na nasz dach, otwierał nam komin i wołał: „Dzień dobry! może coś pomóc? jak się państwu spało?” — a my, zamknięci w śniegowej skorupie, budziliśmy się właśnie w zupełnej ciemności i usiłowaliśmy rozniecić ogień. Nasze zapalniczki dawno się skończyły, a w tutejszym sklepie już dawno nie słyszano o takim towarze. Staś skonstruował „maszynę do wywoływania ognia”: kawałek metalu, kamień oraz kłaczek nadpalonej waty wyszarpanej z kołdry. Siedział teraz Staś w mroku na pryczach i krzeszał iskry. Co najmniej połowa rodziny otaczała go z gotowymi do dmuchania twarzami i kiedy wreszcie jakaś iskra szczęśliwie padła na kłaczek waty — rozpoczynało się rozpaczliwe dmuchanie, żeby nie stracić tej życiodanej iskierej. Ktoś wyciągał pęczek suchszej słomy z siennika, owijało się w nią tłącą watę, teraz należało szybkimi ruchami wywołać powstanie płomienia i szybko włożyć to pod kuchnię wraz z przygotowaną wiązką słomy. Zdarzało się, że rozpaliliśmy ogień od pierwszego razu. Teraz można było zapalić kopcikę, ktoś, kto był „na cho-

dzie” — ubierał się, brał łopatę i szedł odkopać okno, tzn. w górze śniegu wykopać skośny tunel do naszego okna, aby wpuścić trochę światła. Jeszcze w jesieni wstawiliśmy drugie okno, żeby i tą drogą bronić się przed wywiewaniem ciepła. Teraz szyby zewnętrzne okna pokryte były od środka taflami białego, mlecznego lodu grubości kilku centymetrów, którego nawet nie mogliśmy usunąć, gdyż w tym celu musielibyśmy wyjąć wewnętrzne okno, z trudem wmurowane w ścianę. Tak więc mieszkaliśmy całą zimę w półmroku. Skośny tunel przed oknem w dni szczególnie uporczywych *buranów* trzeba było odkopywać kilkakrotnie w ciągu dnia, gdyż stale był zasypywany.

Zaczynał się dzień. Myśliśmy się w lodowatej wodzie, Alina gotowała nasz codzienny posiłek — garnek krupniku z kaszy jaglanej z kartoflami na wodzie osolony, ale bez odrobiny tłuszczu, i zabieraliśmy się do codziennych zajęć. Terenia i Antek szli do szkoły do czasu, aż ją zamknięto z braku opału. Mama rozpoczynała swoje szycia. Alina zmywała naczynia, pomagała umyć się Zosi, wyprawiała się po wodę i szykowała się do drugiego gotowania. Marysia i Jasia szły po słomę na step, lub do jakiejś dorywczej pracy. Staś szedł „opatrywać” bydło do tzw. bazy. Bywały jednak takie dni, że wstawała tylko jedna osoba, odkopywała okno, gotowała, przynosiła wodę. Reszta rodziny siedziała pod kołdrami, gdyż kładące i dotkliwie zimno w oszronionej izbie było wprost paraliżujące. Unikaliśmy jednak takiego spędzania dni — przeważnie cała rodzina była na nogach i wykonywaliśmy żmudne i otepiające, ale niezbędne czynności, jak np. mielenie na żarnach. Obydwaj Bogumińscy przychodzili do nas czasem wieczorami. Bardzo rzadko korzystaliśmy z ich pomocy, ale sama chęć jej niesienia była jak powiew z innego, dawnego życia. Oni też w jakiś sposób korzystali z naszej obecności w tym strasznym kraju. Grywaliśmy z nimi w „duraka” lub „tysiaca”, snuliśmy opowieści, czytywaliśmy głośno. Mogli u nas posiedzieć, znajdując tu inną atmosferę, pościąć się z nami, porozmawiać. Czasami, gdy któryś z nich zachorował, gotowałyśmy im posiłki. Mówili oni, że na progu naszego domu kończy się Sowiecki Sojuz. I to była prawda. Na widocznym miejscu wisiał jagielloński orzeł haftowany na jedwabiu. Na półeczce bieleła figurka Marszałka Piłsudskiego — dowody naszej przynależności narodowej. Do coraz bardziej matowiejącego od wilgoci obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej szły nasze wieczorne modlitwy. W psalm „Kto się w opiekę odda Panu swemu” wkładaliśmy wszystkie nasze żarliwe nadzieje i wiarę w odmianą losu... Mama okazała się niezwykle przewidująca. Kiedy my

wszyscy — doprowadzeni do rozpaczki brakiem jedzenia i opału — chcieliśmy wymieniać na jedno lub drugie kołdry, koce lub futro, utrzymując, że przecież zaraz wojna się skończy i wrócimy do domu — Mama oparła się stanowczo takim pomysłom twierdząc, że nikt nie może przewidzieć ile my tu lat spędzimy i w jakich znajdziemy się kłopotach. Ile było słuszności w takim postawieniu sprawy — przekonaliśmy się już w czasie tej pierwszej, najstraszniejszej zimy, kiedy koce, kołdry i futra ratowały nas przed zamarznięciem lub jeszcze cięższymi, niż nas dotknęły — chorobami.

Niustające mrozy i zamiecie powodowały nowe klęski: zaczęli ginąć i zamarzać ludzie. We wsi Nowouzinka zamarzło dwoje młodych Polaków: szesnastoletnia dziewczynka i jej czternastoletni brat. Wybrali się we troje z kolegą w odwiedzin do sąsiadów z trzeciego domu. Wieczorem, wracając do siebie w czasie śnieżycy, zamiast do domu skręcili w boczną ulicę i wyszli w step. Szli, szli coraz dalej. Pierwszy został czternastolatek, potem dziewczynka. Trzeci chłopiec włókł się przed siebie, aż przed świtem oparł się o coś wystającego ze śniegu. I zasnął. Na szczęście dla niego — oparł się o zasypaną śniegiem studnię i za kilka kwadransów przyszli ludzie po wodę dla bydła. Odkopali to na wpół zasypane, zmarznięte ciało, wnieśli do izby, roztarli śniegiem, odratowali. Chorował całą zimę, ale wyżył. Tamtych dwoje — po daremnym poszukiwaniu dookoła wsi — znaleźli dopiero po trzech tygodniach, gdy wiatr odwiał zaspy na inne miejsca.

W naszej wsi zamarzył Kostanecki. Był to Polak wywieziony w 1936 roku z Ukrainy, podobnie jak mieszkańcy wsi Južnoje. Mieszkał on z żoną i trojgiem małych dzieci przy końcu naszej ulicy. Znałyśmy ich, chodziłyśmy czasem jej pomagać, po ostatnim porodzie nie bardzo mogła dojść do zdrowia. Była szczupła, miała jasne włosy i zawsze wystraszone niebieskie oczy. Jej mąż był wysoki, małomówny, łagodny, często się uśmiechał, był dla niej dobry i nosił wodę dla krowy i do podlewania ogrodu, co było powodem do wyśmiewania, gdyż wśród Rosjan i Ukraińców — mieszkańców Awierjanowki — nie uchodziło to za „męskie” zajęcie. Kostanecki pracował na fermie hodowlanej, oddalonej od wsi o 1,5 km. Poszedł do pracy jednego dnia — i nie wrócił rano do domu. Żona myślała, że został na fermie, gdyż był silny *buran*. Ale wieczorem przyszedł jego „zmiennik”, dowiedzieć się, czemu Kostanecki nie wrócił do pracy. Wtedy zaczęło się wielkie poszukiwanie — ale bez skutku: padający wciąż śnieg zawiął wszystkie ślady! Znalaziono go dopiero w marcu,

kiedy śnieg zaczął topnieć. Siedział oparty plecami o stertę słomy, bez czapki i bez rękawiczek, w rozpiętej kurtce — o 5 km w bok od fermy i od głównej drogi. Ta wielka lodówka konserwowała wszystko.

Od mrozów, śniegu, braku paszy i chorób zaczęło masowo padać bydło. Ludzie wróżyli z tego dalsze nieszczęścia. Nie było dnia, żeby z obór i stajni końchozowych nie wywożono padłych sztuk. Zaczęły też zdychać ludziom krowy w oborach. Rozbierano strzechy domów na paszę i wieś wyglądała jak po wielkim pożarze: na dachach sterczały nagie krokwie. Zima nie ustępowała pomimo marca. Śnieg wciąż padał i walka z nim trwała niustannie. Któregoś dnia odwiedził nas Grigorij Siemionowicz i uprzejmym zapytaniem: *Nu sztoż, jeszcze nie podochli?* — dał dowód swojej troski i pamięci o nas.

Pod koniec marca mrozy zelżały i nie było już kłujących igieł w powietrzu. Wyprawy po słomę — chociaż coraz dalsze i coraz bardziej niebezpieczne, gdyż wszystkie bliższe sterty rozebraliśmy doszczętnie — były mniej męczące, bo wiatry nie były już tak mroźne i tak silne.

Wreszcie przysła pierwsza odwilż. Za nią nastąpiły dalsze. Słońce wschodziło i zachodziło już bez swoich złowrogich, czerwono-złotych „satelitów”. Poziom śniegu znacznie się obniżył, wieś jednak wciąż robiła wrażenie górskiej krainy. Zima nie dawała za wygraną — trwały zamiecie i *burany*, zdarzały się bardzo mroźne dni. Okno nam zasypywały zwały białego puchu i trzeba było stale odkopywać śnieżne stopnie przy wyjściu z naszych wrót i schody przy studniach. Czuło się już jednak cieplejsze podmuchy i w południe promienie słoneczne troszkę grzały. Któregoś dnia w marcu spadły lodowe płyty z naszych szyb. Dopiero teraz zobaczyliśmy jakie były grube! Musieliśmy wyjąć drugie okno, żeby usunąć te solidnych wymiarów kawały lodu. Widzieliśmy teraz przez okno wąską, skośny tunel śniegowy, przez który wpadało do nas światło. 17 marca wiatr i śnieg przywiał przed nasze okno łasiczkę gronostaja. Nieszczęsne, małe zwierzątko miało się przez kilka minut w kłębach śniegu, wirujących w naszym tunelu, aż w końcu udało mu się wdrapać na jego ścianę — i mignął nam tylko na pożegnanie biały ogonek z czarnym końcem.

Kończyła się zima. Trzeba było myśleć o praniu pościeli po zimie. W obronie przed inwazją wszy — trzeba było tę pościel wygotować. Było to niemożliwe przy paleniu słomą. Wraz

z Edmusem wymyśliliśmy wyprawę po drzewo na „cementarz” bydłęcy w Poputni. Wzięli sanki, łopaty, piłę, siekiere, sznury i płachtę do obwiązania drzewa i wyruszyli: Marysia ze Stasiem i Edmuś. Do cementarza było około 8 km. Poputnię obeszlili z daleka, żeby ich nikt nie zobaczył. Pogoda była odpowiednia: chmury wisiały nisko nad ziemią, czasem polatywał śnieg i pomimo wczesnego popołudnia — zapadał szary zmierzch. Przed zmrokiem grupa dotarła na miejsce. Przysypane śniegiem, zmarznęte piramidy padłych zwierząt wyglądały niesamowicie, ale nie było czasu ani na przyglądanie się im, ani — tym bardziej — na analizowanie wrażeń. Na szczęście mróz utrzymywał się na tyle duży, że rozkład tej padliny nie posunął się zbyt daleko. Wiatr odwiewał odór w inną stronę tak, że łatwiej było im „pracować”. Wykopali rowy w śniegu wzdłuż ogrodzenia. Następnie odgrąbowali końce belki, wyciągali ją i piłowali na mniejsze kawałki — takie, żeby zmieściły się na sankach. W ten sposób wyciągnęli 6 żerdzi spod 1,5-2-metrowej warstwy śniegu. Zapadł wieczór. Z daleka majaczyły na śniegu cienie wilków, czyhających na możliwość rozpoczęcia wieczornej uczy. Chociaż ogromne ilości padliny eliminowały wilcze niebezpieczeństwo — sam widok ich czających się sylwetek budził wstręt i grozę. „Drwale” opakowali drzewo w płachty, obwiązali starannie sznurami i wyruszyli w drogę powrotną. Mieli szczęście — nie spotkali żywej duszy — pogoda nie sprzyjała spacerom ani odwiedzinom! Droga powrotna przeszła spokojnie — mieliśmy drzewo na wielkie pranie! Po upływie tygodnia mieliśmy już je za sobą, zostało nawet trochę drzewa na opał do kuchni.

Grzędziakowie byli głodni. Ich rodzina składała się z pięciu osób — w tym trzech dorosłych mężczyzn, dwunastoletni, szczuplutki Rysio i chuda, zabiedzona, wiecznie umorusana matka, patrząca lękliwie ogromnymi, niebieskimi oczami spod naciągniętej na czoło chustki. Edmuś zakradł się którejś nocy do śpichrza gospodarzy i wyniósł wiadro pszenicy. Nie zauważył, że wiadro było dziurawe i na klepisku podwórka ścieżka, usypana z ziarna prowadziła wprost do drzwi Grzędziaków. Gospodarz ich — Aloszka Barabanow — wpadł we wściekłość. Przyszedł do nich rano i kazał im natychmiast się wynosić. Rozpętało się istne piekło! Grzędziak tłukł synów, groził, że ich pozabija, krzyczał na żonę, rozpędzał całą rodzinę na cztery wiatry!

Najpierw przyszedł do nas Staś Grzędziak — epileptyk z tłumaczkiem swoich rzeczy, i powiedział do Mamy: „A pani wie co, ja się do pani sprowadzam, bo mnie ojciec chce zabić!” — Posadziliśmy Stasia, dostał herbaty. Potem przyszedł Edmuś,

ponury jak noc, nie mówił nawet swoich zwykłych wierszyków: „A pani wie, co mi się śniło, że mi oko wygniło, ja tu sobie zaz’i, baz’i, patrzę — aż tu drugie wyłaz’i” — był zły i miał złość i rozpacz w oczach. Stał przy drzwiach, i nawet usiąść nie chciał. Potem przyszła ich matka, płacząca i przerażona. Prosiła synów, żeby wrócili do domu, bo ją ojciec zbija. Edmuś w swojej rozpacz i zawziętości — ani słuchać nie chciał o powrocie do domu i powtarzał: „Wy mnie, matka, nie straszcie, bo ja się strachów nie boję! Ja was do mogiły zapędzę!” — i tym podobne głupstwa. Wreszcie Grzędziakowa na tyle przyszła do siebie, że opowiedziała Mamie, co się wydarzyło. Mama włożyła kożuszek i poszła do Aloszki Barabanowa. On naszą Mamę lubił, jemu i jego żonie Mama szyła różne rzeczy, które im się podobaly — a znając dobrze rosyjski, Mama zawsze znajdowała temat do rozmowy i żartów z nimi. Teraz oboje byli w kuchni, Aniutka Barabanowa siedziała na ławce, trzymała czarną, kędzierzawą głowę męża na kolanach i nożem iskała mu we włosach wszy. Nie przerywając zajęcia, rozmawiali z Mamą. Nasza Mama prosiła Aloszkę, żeby okazał się wielkoduszny i nie wyrzucał Grzędziaków w zimie z domu, szczególnie, że skłonny do przeziębienia Rysio miał bronchit i podwyższoną temperaturę. Aloszka na to powiedział: „*Smotri*, Maria Antonowna. Ja dla nich jestem dobry. Nie płacą mi nic za mieszkanie. Widzę, że są biedni. Niurka im od czasu do czasu daje garnek mleka, bo żałuje tego dzieciaka i tej wystraszonej matki. Latem im na wódkę starczało — a teraz tak mi się odwdzięczają i kradną?” — Mama mu na to: „Słuchaj, Aloszka, czy ty myślisz, że ten nieszczęśliwy Grzędziak musiałby kraść u ciebie, czy u kogokolwiek wiadro pszenicy, żeby nakarmić rodzinę, gdyby go nie ruszyli z domu? On miał przecież własny dom, ogród, krowę, jest bardzo dobrym majstrem — ślusarzem, na państwowej posiadzie nieźle zarabiał i razem z żoną wychowywali synów. A teraz — co? Zabrali ich w nocy, wszystko musieli zostawić i przyjechali tu na poniewierkę i nędzę! Czy ty myślisz, że co innego niż głód i całkowita niemożność zarobienia na życie zmusiła ich do tego, że wzięli ci tę pszenicę? Pomyśl — co oni zrobią ze sobą, gdzie się podzieją, jeżeli ty ich teraz wyrzucisz?” — Aloszka podniósł głowę z kolan żony, przegarnął włosy ręką, strząsnął pobite wszy i powiedział: *No, tiepier, Maria Antonowna, zapiom dieto i Grzędziaki ostanutsia u mienia*. Powiedzcie im, żeby więcej nie kradli, a za to wiadro pszenicy — niech mi wyrzucą nawóz spod krów i przez miesiąc będą nosić wodę dla bydła!” — tak się ta sprawa skończyła u Barabanowych. Jeszcze musiała nasza

biedna Mama przekonać Grzędziaka, żeby nie łośił skóry Edmusa — jak mu był obiecał — a z kolei Edmusa namówić, żeby przeprosił matkę i Barabanowa. Jak również namówić Stasia Grzędziaka, żeby wrócił do domu, bo u nas jest ciasno, same dziewczyny, i mieszkać u nas nie może.

Dni były coraz dłuższe, coraz rzadziej słońce wschodziło ze swoimi tęczowymi odbiciami, mróz powoli się zmniejszał i rzadziej śnieg zasypywał studnie. Ze ścian naszej izby zniknął szron i szyby w oknie nie pokrywały się lodem. Ale wciąż na głównej drodze ciągnął się grzbiet górski i do *dworów* schodziło się po stopniach, wyrąbanych w śniegu. Po słomę chodziliśmy wciąż, tylko coraz dalej — i już tak nie marziliśmy. Zbliżanie się wiosny budziło nieuzasadnione nadzieje. Śnieg na stepie zaczynał topnieć i pokrywał się pod wieczór cienką skorupą lodu, która w dzień, w słońcu, oślepiająco błyszczała. Któregoś dnia wracając ze szkoły Terenię spotkał dziad Gawriło i zabrał ze sobą na poszukiwanie dwóch prosiaków, które im uciekły w step. Póki je znaleźli — spędzili kilka godzin na stepie, chodząc po lśniącej, śniegowej pustyni. Terenia wróciła do domu z silnym zapaleniem oczu — były czerwone, spuchnięte i bardzo ją bolały. Okłady z kwasu bornego i naparu rumianku, przywiezionych z domu, przyniosły jej ulgę, tak że po trzech dniach mogła pójść do szkoły. — Biedna Zosia leżała wciąż. Wszystkie próby chodzenia kończyły się płaczem i bólem. Pomimo dezynfekowania rany i czystych opatrunków — przetoka w kolanie nie goiła się. Wciąż jeszcze — w zimie z wielkimi przerwami — przychodziły do nas listy z Polski. Pisały Babcia i Ciocia, pisali kuzynowie z Wilna, koleżanki i koledzy ze szkoły. Raz nawet przyszedł list do Jasi od jej mamy z Hrubieszowa! — Ktoś nam przysłał w liście przepisany wiersz Or-Ota „List z Sybiru”. Przeczytaliśmy go ze ściśniętymi sercami. Teraz nabrał on dla nas właściwego znaczenia! Ciocia przysłała nam w liście wzory podań do generalnej sowieckiej prokuratury i do Stalina w sprawie wyjaśnienia powodu uwięzienia Ojca oraz uzyskania informacji o Jego losie i miejscu pobytu, a także w sprawie wyjaśnienia powodu naszego zesłania i prośby o możliwość powrotu. Wzory tych podań napisał Cioci mieszkający u niej oficer sowiecki wojsk przygranicznych — Andriej Andriejewicz Andriejenko, który też zdobywał w swoich sklepach produkty do paczek dla nas: cukier, *czaj karpicznyj*, słoninę, świece — co nam Ciocia czasem przysyłała, dzieląc „zdobycze” sprawiedliwie pomiędzy nas i rodzinę swojego drugiego brata. Na zakup produktów do paczek sprzedała też Ciocia nasze rowery i Mamy maszynę do szycia — wspaniałego „Sin-

gera”. W czasie mrozów i zamieci śnieżnych urwało się przysyłanie paczek. Z rzadka przychodziły listy, przywożone przez listonosza Osobina. Kiedy droga była wyjątkowo trudna do przebycia i głęboko zasypana po kilkudniowych zamieciach, po pocztę do Korniejewki posyłano traktor. W marcu, kiedy drogi stały się przejezdne, spotkała nas wielka niespodzianka: jednego dnia listonosz Osobin przywiózł z poczty w Korniejewce — pełne sanki paczek żywnościowych dla naszej rodziny! Było ich około 30! Od Cioci i od przyjaciół, od naszych kolegów ze szkół, od dawnych uczniów naszych Rodziców — czasem musieliśmy szukać w pamięci skojarzeń z nazwiskiem nadawcy. Cały zapas przesyłek — „zamrożony” z powodu śniegów, dotarł teraz do nas, znakomicie uzupełniając nam spiżarnię. Mama — oczywiście — zaraz część produktów zaniósła Grzędziakom, wiedząc w jakiej są potrzebie. A i tak kaszy, mąki, słoniny i oleju, a nawet nafty do kopciki starczyło nam na parę tygodni.

Mama napisała podania i prośby pod przysłane przez Ciocię adresy, ale bardzo długo nie było na nie odpowiedzi. Dopiero w Wielki Piątek przyszło wezwanie od naczelnika NKWD z Jawlenki do Mamy w sprawie stawienia się osobiście u niego. Przeważaliśmy, że przysyłamy jakieś odpowiedzi na Mamy podania i że wreszcie dowiemy się czegoś o losie naszego Ojca. Oczekiwaliśmy także jakichś zmian w naszym położeniu po tej rozmowie. Tymczasem robiło się coraz cieplej i rozpoczęło się gwałtowne topnienie śniegu. Zmieniał się on w „kaszę” lodową (przez narciarzy nazywaną *firm*), która, zmieszana z wodą z topnienia, niezmiernie utrudniała chodzenie. Trzeba było spieszyć się z wyprawą do Jawlenki. W poniedziałek wielkanocny Mama i Marysia wyprawiły się w drogę. Mama włożyła kozuszek na opasach, ciepłą bieliznę, grube pończochy i sznurowane buty. Marysia ubrała się podobnie. Szkolny granatowy płaszcz sięgał jej za kolana. Zabrały do plecaków zmianę bielizny, zapasowe pończochy, ręczniki, trochę jedzenia i wyszły o świcie. Topniejący śnieg na drodze, usuwający się spod nóg, zmęczył je bardzo tak, że tego dnia z trudem przeszły 25 kilometrów. Minęły więc pocztową Korniejewkę i doszły do wsi Sowieckoje, gdzie przenocowały u rodziny Polaków — Nowialisów, wywiezionych w „naszym” transporcie. Wysuszyły jako-tako przemoknięte buty, odpočzęły, ogrzały się i o świcie wyruszyły dalej. Droga była coraz trudniejsza, śnieg coraz bardziej rozjeżdżał się pod nogami. Idąc drogą, widziały leżące na stepie sterty padłego zimą bydła, od których wiatr przynosił potworny, dławiący smród. Droga schodziła w dolinę Irtyszu, między brzozowe laski, gdzie było zacisz-

Jawlence i pracowała w szpitalu w swoim zawodzie. Przyjęto je tu, jak najbliższą rodzinę! Wymyły się, wysuszyły, odpoczęły i wygrzały. Czteroletni Rysio pełnił „godnie” rolę gospodarza domu. Pani Stasia nie mogła zapomnieć przeżytej tragedii i każde wspomnienie wywoływało nowe łzy. Na szczęście został jej synek i opieka nad coraz bardziej dziecinniejącą teściową. — Następnego dnia rano Mama i Marysia poszły do naczelnika NKWD. Mama weszła do gabinetu, Marysia czekała na nią w sekretariacie. Kiedy nieobecność Mamy przedłużała się — Marysi przychodziły do głowy zasłyszane opowieści o zapadającej się nagle podłódze w gabinetach naczelników i różne inne przypadki znikania ludzi, i myślała, czy chociaż jeszcze Mamę zobaczy... Na szczęście po upływie godziny Mama wyszła z gabinetu enkawudysty. Miała zmęczoną, zmienioną twarz i smutne oczy. Opowiedziała Marysi przebieg rozmowy z naczelnikiem NKWD: wyjął grubą teczkę z napisem: „*Siemija Januszkiewicz*”. Z tej teczki wydobyl Mamy podania do generalnego prokuratora i do Stalina, opatrzone na marginesach licznymi uwagami, i powiedział: „Mąż wasz został skazany na 25 lat obozu karnego za działalność kontrrewolucyjną i wrogłość w stosunku do Związku Radzieckiego. Do wszystkich zarzucanych mu win przyznał się. Nie otrzymał prawa do korespondencji z rodziną. Wy zostaliście przesiedleni zgodnie z prawem i z wyrokiem i nie ma podstaw do zmiany tej decyzji. Czy macie jakieś pytania?” — Mama zapytała go, czy istnieje możliwość przeniesienia się naszej rodziny do większego osiedla, gdyż — wobec perspektywy przebywania tu przez dłuższy czas — Mama chciałaby znaleźć pracę dla siebie i możliwość nauki dla dzieci. Naczelnik NKWD odpowiedział na to: „Chyba rozumiecie sami, że jako nauczycielka w sowieckiej szkole pracować nie możecie? Co jeszcze umiecie i moglibyście robić?” — Mama powiedziała, że umie szyć. On na to: „To i dobrze. Przeniesiecie się do Korniejewki i będziecie pracować jako kroczyni w spółdzielni krawieckiej. Zaraz wydaję wam kartkę do przewodniczącego Siel-Sowietu i tej spółdzielni. *Wsiawo choroszewo*”. — Mama i Marysia wróciły do pani Stasi i jeszcze tego samego dnia wyruszyły w drogę powrotną. Mamę wciąż nękały przeczucia, że coś niedobrego stanie się z resztą rodziny w czasie naszej nieobecności. — Do wieczora, po coraz bardziej zmieszonym z wodą i rozjeżdżającym się pod nogami śniegu, doszły do Tarangułu. Spędziły tu noc u znajomych już pań. Tak wtedy było między Polakami, że ktokolwiek znajdował się w potrzebie, mógł zawsze liczyć na nocleg, łyżkę ciepłej strawy i pomoc. Rano wyruszyły dalej, śpiesząc się bardzo, aby przed spodziewanym

nasileniem roztopów wrócić do domu. Tego dnia, pomagając sobie kijami wyłamany w łaskach brzoźowych koło Jawlenki, z trudem utrzymywały równowagę na przemoczonych i zeszywniałych z zimna nogach, ślizgających się po nie stawiającej oporu „kaszy śniegowej”. Przeszły w tym dniu 25 kilometrów i dobrnęły do Korniejewki. Zajęto się nimi bardzo serdecznie w domu kolejarza Ulikowskiego, wysiedlonego z tego samego miasta: dostały gorącej wody do mycia, gorącej zupy, buty i pończochy poszły do ciepłego pieca, a one same do łóżka. Rano wyszły o brzasku, o 4-tej godzinie, licząc na przymrozek, ścinający tę okropną miazgę śnieżną. Niestety — padał gęsty, drobny deszcz, niebo było zasnute chmurami i nawet przy pełnym świetle dziennym widoczność była bardzo słaba. Do Awierjanowki musiały przebyć 16 kilometrów! Pusto było dookoła, wiał porywisty wiatr, syjąc deszczem w oczy, stalowego koloru chmury na horyzoncie zlewały się w jedną całość z brudnoszarym śniegiem, porwijącym step. Droga była widoczna dzięki tyczkom, powbijanym w śnieg przez listonosza, z których część leżała już w śniegu, większość jednak, zachowując mniej więcej pionowy lub skośny kierunek, sterczała przy drodze. Znaczyły ją także dwa pasy twardego śniegu, ubitego przez gąsienice traktora, wożącego pocztę w czasie wielkich zamieci. Pierwszy odcinek drogi — pomimo lodowatego deszczu i silnego, przeciwnego wiatru — Mama i Marysia przebyły pomyślnie: śnieg topniał wprawdzie, ale „jeziorka” były względnie płytkie i niezbyt duże. Od połowy drogi warunki zaczęły się gwałtownie pogarszać. Deszcz przybrał na sile, poziom stepu jak gdyby obniżył się lekko, odcinki drogi pokryte mokrym śniegiem były coraz częściej ustępując miejsca coraz rozleglejszym „jeziorkom” — aż w pewnej chwili Mama z Marysią weszły w wodę — bez końca! Sięgała im do kolan, była lodowato zimna, poruszała się szybko, jakby spływając w jakimś kierunku, na powierzchni jej pływały płatki zlodowaciałego śniegu, uderzając boleśnie po nogach. Dookoła nic nie było widać poza tą rozlaną szeroko wodą, nad którą wystawały czubki zeszłorocznych, zmokniętych, brunatnych piołunów, poruszanych wiatrem. — Marysia szła pierwsza, szukając w wodzie kijem tych dwóch pasów ubitego przez traktor śniegu, gdyż tylko w ten sposób można było utrzymać prawidłowy kierunek. W pewnej chwili od strony Awierjanowki ukazały się dwa wozy. Zbliżyły się — i można było wtedy zobaczyć, że na tych wysokich wozach z ogromnymi kołami, zaprzęgniętych każdy w parę rosłych, czarnych koni, trzymanyh w stajni kołchozowej „na specjalne okazje” — jadą gospodarze z Awierjanowki. Coś nawet wołali i pokazy-

wali rękami — ale, ponieważ jechali przez step i byli dosyć daleko — nic nie doszło do umęczonych i otępiiałych umysłów Mamy i Marysi, zwłaszcza, że silny wiatr znosił słowa. Wozy przejechały i znikły za chwilę w gęstym deszczu. Poziom wody był coraz wyższy. Początkowo sięgała ona do kolan, podnosiła się powoli i zaczęła sięgać już do bioder. W jakiejś chwili Marysia usłyszała wołanie Mamy! Obejrzała się natychmiast — Mama pośliznęła się i upadła — na szczęście uklękła w wodzie, która sięgała jej teraz powyżej pasa. Marysia pomogła Mamie wstać i teraz przywiązały się do siebie sznurem, wydobytym z plecaka. Mama, bardzo mokra i przemarznięta, w przemoczonym, ciężkim kożuszku, zaczęła chwilami tracić świadomość. Zaczęły się obie głośno modlić, powtarzając słowa psalmu, „Kto się w opiekę odda Panu swemu” i „Pod Twoją obronę”. Szły wciąż naprzód, szukając drogi kijami. Nie zdawały już sobie sprawy z czasu, jaki upływa. Poruszały automatycznie nieczułymi ze zmarznięcia nogami. Nagle wróciły wozy! Podjechały do nich od strony Korniejewki tak, że zjawiły się z ich lewej strony nie zauważone. Zatrzymały się w odległości kilkunastu metrów od nich i siedzący na wozach ludzie wołali, żeby Mama i Marysia podeszły do nich. Teraz Marysia poznała ich — byli to znajomi gospodarze z Awierjanowki, z Grigorijem Siemionowiczem i jego bratem Aleksiejem. Mama i Marysia były się zejść z drogi na step, żeby nie wpaść w jakieś niewidoczne pod wodą rozpadliny — na drodze czuły się bezpieczniej, mogły pod wodą wyczuć owe pasy zmarzniętego, ubitego śniegu i powierzchnia drogi była względnie równa. Wozy podjechały więc bliżej, i wtedy Mama i Marysia podeszły do nich. Grigorij Siemionowicz pomógł wciągnąć je na wóz, wyjęto z plecaka ręczniki, ściągnięto im z nóg buty i pończochy, włożono na wytarte nogi suche walonki! Teraz zaczęły się pytania: „*Ki czort was ponios po tej drodze?* Myśmy jechali na komisję wojskową do Jawlenki i musieliśmy spod Korniejewki zawrócić — taka tam woda! Sięgała koniom pod brzuchy! Jak wyście tamtędy przeszły?” — Marysia odpowiedziała, że wracają z Jawlenki od naczelnika NKWD, który Mamę wezwał. Grigorij Siemionowicz na to: „Dobry czas i dobrą drogę sobie wybrałyście! W tych jamach, które są po drodze z fermy do wsi utonęły nam dziś trzy konie! Co by z wami się stało, gdybyśmy nie wrócili? Łazłyście wprost na te doły!” — Marysia na to: „Drogę do Awierjanowki wyszukiwałyśmy pod wodą kijami, a w step bałyśmy się zejść, żeby przy braku widoczności nie zgubić kierunku. A kłopotu wam byśmy nie sprawiły: paszporty mamy ze sobą i łatwo można by było ustalić, kto się utopił z waszego kołchozu!” — „Ty

durna, przestań żartować! Lepiej dziękuj waszemu Bogu, że ka-załem zawrócić na czas i że was zabraliśmy... A waszych w mieszkaniu woda zalała dziś w nocy!”...

Objężdżając wieś dokoła, żeby ominąć te jamy, dojechaliśmy do środka wsi od strony Poputni. Co się przez te sześć dni z Awierjanówką stało! Grzbiet górski ze środka drogi zniknął, zamiast niego środkiem wsi płynęła wartka rzeka, której woda wlewała się do *dworów* i do niżej położonych domów. Przez tę rzekę ludzie poustawiali kładki, które umożliwiały komunikację pomiędzy domami. Woda spływała na południowy zachód — widocznie w tym kierunku opadał teren. Wszystkie ogrody stały pod wodą. Ziemia, zamarznięta głęboko natychmiast po październikowych deszczach — nie roztajała jeszcze i nie wchłaniała masy wody, powstałej z ogromnych śniegów, jakie spadły tej zimy. Mama i Marysia zabrały swoje mokre rzeczy i po kładkach przedostały się do *dworu* Barabanowych. Wrota były otwarte, góra śniegowa przed nimi zginęła prawie zupełnie, tylko jej górna część wystawała z wody, która zalała całe podwórko. Drzwi do naszej izdebki były otwarte. Widać przez nie było puste łóżko i kupkę gruzów zamiast kuchenki. Mama i Marysia poszły do domu gospodarzy. Dzięki temu, że stał on na wysokiej podmurówce, woda go nie zalała. W sieni stały owieczki. W kuchni siedziała rodzina Barabanowych: Paraska, dziad Gawriło, babuszka i przerażona Niurka. Oba psy były tu również. Barbos powitał je radosnym skomleniem i wywijaniem ogona. Barabanowa powiedziała: „No i chwała Bogu, że wróciłyście zdrowo! Wasze dzieci woda w nocy zalała, to i zabraliśmy wszystkie do siebie. Teraz się suszą”. — W izbie *gornicznej* byli wszyscy. Na prowizorycznie zaślany łóżku leżała Zosia, przerażona i zamarznięta. Alina i Jasia, w płaszczach narzuconych na piżamy, usiłowały zaprowadzić ład w zwałonych na gromadę, częściowo zamokniętych rzeczach. Staś, Terenia i Antek siedzieli drżąc z zimna i z niewyspania, na leżących na podłodze siennikach, owinięci kocami. Widok Mamy i Marysi — zdrowych i całych wywołał ogólny płacz. Alina natychmiast poszła do gospodarzy po gorącą wodę. Jasia wydobyła ręczniki. Po upływie pół godziny — wymyte i całe wytarte spirytusem — leżały pod kołdrami i futrami. Alina dokopała się w stercie rzeczy do soku wiśniowego przywiezionego z domu i — głodne i przemarznięte — Mama i Marysia wypity po pół szklanki spirytusu, zmieszanego z pół szklanką soku — czyli klasycznego coctailu „taty z mamą”. Podziało to na nie błyskawicznie — i zasnęły prawie natychmiast. Przed zaśnięciem widziały jeszcze babuszkę, które przy-

szła z naręczem drzewa napalić w piecu i Niurkę, która przyniosła garnek gorącego mleka.

Mama i Marysia spały do wieczora jak zabite! Obudziły się, kiedy wszystkie rzeczy były jako tako rozłożone, rodzina rozlokowana w nowych warunkach — i był czas na opowiadania. Alina była już spokojna, gdyż cała rodzina była w komplecie i nikomu nic się nie stało. Dzieje tej dramatycznej nocy były takie: wieczorem, po kolacji, wszyscy razem — jak codziennie — zmówili pacierz i poszli spać. Alina szykowała się jeszcze umyć głowę, aby wykorzystać nagrzaną wodę i Staś coś „dłubał” w drzewie przy świetle kopciki. Nagle spostrzegli wyciekające spod prycz strumyczki wody, wypływające od ściany między naszą izbą i śpichrzem gospodarzy. A już w ciągu dnia wieś była pełna wody z gwałtownie topniejącego śniegu! — Staś, spostrzegłszy przerażenie Aliny, zawołał: „Nie bój się, Alinko, zaraz wodę spuścimy!” i małym toporkiem usiłował wyrąbać rowek w klepisku, aby ułatwić spłynięcie wody na podwórko. Otworzył drzwi — i wtedy woda chlusnęła z podwórza! Oboje szybko przetrzucili pościel Aliny i ubrania ze skrzynki na prycze. Woda wlewała się błyskawicznie. Po kilku minutach brodzili w niej już po kolana. Na tym poziomie woda stanęła — tak, że nie zamoczyła nawet sienników. Sięgała pod same deski prycz. — Była ciemna noc, wypełniona odgłosem przelewającej się wody i groźbą, że jej poziom za chwilę się podniesie. Staś brnąc w wodzie poszedł przez podwórko do gospodarzy po ratunek. Dziad Gawriło powiedział: „Nic wam pomóc nie mogę! Moje owieczki i krowa też w wodzie stoją — i co mogę zrobić? — Niurka wybuchnęła płaczem, gdyż już była zaprzyjaźniona z Jasią i Terenią i bardzo się lubiły. Staś wyprawił się w ciemności, przez wodę, w zalanej wsi szukać pomocy u Bogumińskich i Grzędziaków. Mieszkali oni po drugiej stronie drogi i okazało się, że tam poziom wody był niższy i na razie domy nie były zalane. Wrócił z Beniaminem i Edmusem w chwili, kiedy dziad Gawriło, ubłagany przez Niurkę, przyszedł do naszej izby z latarnią, aby biednych „topielców” zabrać do ich domu. Wszyscy przynosili przez wodę nasz nędzny dobytek. Najtrudniejszy był transport Zosi, toteż niezwykle przydała się męska pomoc. Gospodarze odstąpili nam jedno łóżko w swojej *komnacie*, zaraz też ułożono na nim Zosię, reszta usiłowała zasnąć na podłodze, na rozłożonych jako tako rzeczach. Woda na szczęście niczego nie zniszczyła, nawet sienniki były suche. Po „przeprowadzce” Alina wróciła do naszej zalanej izdebki, aby przy świetle kopciki... umyć głowę, gdyż żal jej było ciepłej wody! Stojąc po kolana

w wodzie umyła włosy, równocześnie obserwując rozpadanie się naszej kuchenki, która nam tak dobrze służyła przez całą zimę! Potem Alina wróciła do rodzeństwa — i drżąc z zimna i z lęku o Mamę i Marysię, pół śpiąc, doczekali ranka i ich powrotu. Wieść o uratowaniu Mamy i Marysi rozeszła się po wsi. Nikt nie wątpił, że utonęłyby w jamach przy drodze, gdyby jadący do Jawlenki nie zawrócili i nie zabrali ich na wóz. Mama i Marysia uważały swoje ocalenie za cudowne. Gdyby wozy pojechały jeszcze kilka kilometrów dalej w kierunku Korniejewki — trafiłyby na ten nieroztopiony jeszcze śnieg, przez który one rano przeszły — i pojechałyby dalej! Ponieważ jednak jechali przez step, a nie drogą, którą szły Mama z Marysią, gdyż uważali, że woda na drodze jest głębsza — trafili widocznie na niższe miejsca, gdzie roztopy sięgały koniom pod brzuchy — i, na szczęście — zawrócili! Teraz cała wieś przychodziła oglądać niedoszłe topielice. Niektórzy przynosili nawet drobne prezenty: parę jaj, litr mleka, kilka pierożków, pół bochenka chleba. Wszyscy we wsi byli już z nami zaprzyjaźnieni: Mama dużo szyła, pomagaliśmy na zamówienie swetry, wyszywaaliśmy chustki, pomagaliśmy w robotach ogrodowych, chodziliśmy razem z nimi do roboty w polu latem i na *śniegozadierzanie* w zimie, a także na wyprawy po słomę. Dużą rolę w ukształtowaniu się stosunku mieszkańców Awierjanowki do naszej rodziny odegrała również nasza stała walka z przeciwnościami i nie poddawanie się losowi. Ta niewielka społeczność, żyjąca w nieludzkich trudnych warunkach, pozbawiona sentymentów i uczuć miłosiernych, umiała docenić naszą nieustępliwość w poszukiwaniu wyjścia z trudnych sytuacji, nie opuszczającą nas — pomimo wszystko — pogodę ducha i niezwykłą życzliwość naszej Mamy w stosunku do ludzi. Przyszedł dowiedzieć się o nasze zdrowie nawet sam Grigorij Siemionowicz! Drugiego dnia po powrocie, z samego rana, Marysia poszła z dziadem Gawriło rąbać rów przez resztkę śniegowej góry we wrotach, aby umożliwić spłynięcie wody ze *dworu* do wielkiej rzeki na środku wsi. Mamę ubłagaliśmy, aby kilka dni została w łóżku, w cieple — z obawy o jej zdrowie. Kuracja „polskim coctaiłem” okazała się skuteczna — Marysia nie miała nawet kataru! Mamę bolały nogi i miała objawy lekkiego przeziębienia, które w ciągu kilku dni minęły. Na wiele lat zostało im tylko drętwienie skóry na nogach oraz wielka wrażliwość na zimno. W powietrzu odczuwało się coraz częściej cieplejsze podmuchy. Woda szybko spływała na południowy zachód i codziennie widać było jej duży ubytek. Po upływie tygodnia można już było „suchą nogą” chodzić po wsi, woda spływała z ogrodów

i „dworów”. W niższych miejscach stały jeszcze płytkie „jeziorka”, ale ciepły wiatr i słońce zrobiły swoje: nareszcie roztopiły lodową skorupę, która pokrywała ziemię od października i gleba — jak gąbka — wchłaniała teraz wodę. Zaczęły śpiewać skowronki i nawet przez pozostałe gdzieś resztki śniegu przebijają się świeża, zielona trawa, która dosłownie w oczach wyrastała na wszystkich podeschniętych i nasłonecznionych miejscach. Wiosna przyszła ciepła i gwałtowna! Na jeszcze mokre i grząskie pastwiska wypuszczano w południe ocalałe po głodnej i okrutnie długiej zimie bydłota. Wszystko ożyło. Dobroczynne słońce grzało i suszyło ziemię błyskawicznie, rozgrzewało serca i budziło nieuzasadnione nadzieje...

W maju orano już pola, siano pszenicę, pod koniec miesiąca sadzono kartofle.

W ostatnich dniach kwietnia uporządkowaliśmy „naszą” obeszniętą izdebkę u Barabanowych i przeprowadziliśmy się na przeciwko — do ziemianki listonosza Osobina. Jego rodzina jeszcze w zimie przeniosła się do matki ze względu na oszczędność opału. Wiele rodzin tej zimy zamieszkało wspólnie — i wtedy opuszczony dom zaraz ulegał częściowej rozbiórce: słomę ze strzechy zużywano na paszę dla bydła, krokwie i belki z dachu, ogrodzenie, a czasem i drzwi — na opał. Teraz te domy straszły wyglądem, jak po pożarze, ale kiedy tylko drogi obeszły — zaczęto je z powrotem przysposabiać do zamieszkania. Najgorszą klęską był pomór bydła: kołchoz stracił 1/3 pogłowia, a nałożone przez rząd kontyngenty nie zmalały! Wciąż szły do Niemiec transporty skóry, mięsa i zboża.

Chata Osobina była do połowy ścian zagłębiona w ziemi. Schodziło się do niej po kilku stopniach i dopiero wtedy otwierało się drzwi do dość obszernej izby z dwoma oknami, wychodzącymi na ulicę tuż nad poziomem ziemi. Przed schodkami rósł krzak, który pod wpływem słońca pokrył się listkami i zakwitł. Okazało się wtedy, że był to krzak dzikiej róży o pięknych, drobnych, bladoloróżowych kwiatach. Mieszkanie w chacie Osobina traktowaliśmy jako chwilowy „przystanek”, gdyż — zgodnie z obietnicą naczelnika NKWD — zamierzaliśmy zrealizować nasz zamiar przeniesienia się do Korniejewki.

Pierwszego maja 1941 roku, w pierwszą rocznicę naszego przyjazdu do kołchozu im. Czkałowa, Mama, Alina i Marysia poszły do Poputni odwiedzić rodzinę Pawła Osipowa, naszych pierwszych gospodarzy i nauczycieli trudnej sztuki życia na Syberii. Szczególnie dużo zawdzięczaliśmy Emilii Osipowej. Zaniós-

łyśmy im małe prezenty: sukieneczki dla córek, dla Emilii wyszytą chustkę, dla Pawła kilka liści tytoniu z paczki od Cioci. Byli nam bardzo radzi — a Pawło powiedział: „Maria Antonowna, zostawiliście nam po sobie pamiątkę. Ja lepiej piszę i liczę, co zaraz poprawiło moją sytuację w kołchozie i zostałem w Poputni brygadierem polowym. Rajka zażądała, żeby ją nauczyć żegnać się i mówić pacierz, a po jedzeniu całuje matkę w rękę i policzek”. To spotkanie było wzruszające i dla Osipowych i dla nas. Wiedzieliśmy, że już nie prędko — a może i nigdy nie zobaczymy się. Po kilku latach dowiedzieliśmy się, że Pawło poszedł na wojnę i nie wrócił do domu.

Wilgotna wiosna zamieniła step w cudownie kwitnącą łąkę. Rozkwitł, rozszumiał się i rozśpiewał i można było utonąć w nim, jak w pachnącym, różnobarwnym morzu. Terenia zakochała się w tym stepie bez pamięci — i wyprawy po suchy nawóz na opał były dla niej wciąż okazją do niezwykłych przeżyć i do spotkań z tą bujną, cudowną naturą, która wywierała kojący wpływ na najbardziej nawet udręczone serca. Terenia wracała z tych wypraw zmęczona, z naręczami traw i kwiatów i ze szczęściem w oczach. Czestym towarzyszem tych wędrowek Tereni był pies Gawriły, Barbos, postrach wsi. Ze złości gryzł wrota, kiedy mu je zatrzaśnięto przed nosem i nie mógł się dostać do nóg umykającego nieproszonego gościa. Otóż ten Barbos — pierwszego dnia, kiedy Mama z Marysią przyszły do Barabanowej z Poputni omówić z nią naszą przeprowadzkę — nasrożył się najpierw i groźnie warczał, ale kiedy Mama wyciągnęła do niego rękę i powiedziała: „Piesku, piesku, chodź no tutaj, mamy być przyjaciółmi”, podszedł do Mamy, obwąchał jej rękę i nogi — i chociaż miny nie zmienił — odszedł bez warczenia, a nawet parę razy machnął ogonem. Paraska była zaskoczona, że nie rzucił się na Mamę i Marysię z zębami! Od tego czasu minęło już wiele miesięcy — i Barbos, aczkolwiek nigdy nie mieliśmy czym go przywabić ani nakarmić — przywiązał się do nas nadzwyczajnie. Teraz sypiał pod naszymi drzwiami każdej nocy, tak że kto z nas pierwszy wychodził rano, z trudem otwierał drzwi, gdyż musiał nimi odsunąć najpierw to wielkie, żółtobiałe, kudłate cielsko. Barabanowie byli niezadowoleni i użalali się, że my psa zwabiamy i on im zaniedbuje stróżowanie gospodarstwa. Dziad Gawriło zamykał go nawet na noc w obórze, ale on zawsze któregoś się wydostał i przychodził wieczorem do nas, układał się między schodkami i drzwiami i tu spał, pilnując nas w nocy. Cenna to była opieka, szczególnie w te dni, kiedy Mamy z nami nie było, gdyż już od połowy maja praco-

wała w Korniejewce w spółdzielni krawieckiej jako krojczyni — zgodnie z zaleceniem naczelnika NKWD. Mieszkała chwilowo u polskiej rodziny, obiady jadała w stołówce kolchozowej i na niedziele wracała do domu. Szykowaliśmy się do przeprowadzki, która nastąpiła w pierwszej dekadzie czerwca. Kierownik spółdzielni, Karandaszow, wypożyczył Mamie wóz drabiniasty zaprzągnięty w parę wołów, który Mama i Staś przyprowadzili pod nasz dom. Upakowaliśmy nasz dobytek, Zosię umieściliśmy na wierzchu, pożegnaliśmy się z ludźmi i psami — i wyruszyliśmy na „nowe życie”. Mama i Marysia przed wyjazdem poszły pożegnać Grigorija Siemionowicza i podziękować mu jeszcze raz za ocalenie. On na pożegnanie powiedział: „Ot, i najgorszemu człowiekowi zdarzy się czasem zrobić coś dobrego. Idźcie z Bogiem!” — „Zostańcie z Bogiem!” — powiedziała nasza Mama. Paraska Barabanowa była wzruszona, nawet dziad Gawriło wyszedł pożegnać Terenię, którą bardzo lubił. Niurka miała zapłakane oczy i obiecywała nas odnaleźć i odwiedzić w Korniejewce. Barbos odprowadził nas daleko pocztową drogą, potem stał, biedny, skomlał, biegał tam i z powrotem — w końcu posłuchał naszych perswazji i ze zwieszonym smutnie ogonem poszedł do domu.

KORNIEJEWKA

Niełatwo było znaleźć mieszkanie takiej dużej rodziny jak nasza, nawet w tak ogromnej wsi. Obiecała Mamie przyjąć nas Aniutka, śliczna kobieta o pięknym owalu twarzy, z wielkimi, podłużnymi, ciemnymi oczyma i oliwkową cerą — jak z bizantyńskich malowideł. Mąż jej był w wojsku, ona mieszkała z córeczką w dużym domu. Podjechalśmy naszym wozem pod jej dom — a ona wtedy powiedziała, że się rozmyśliła i że nas nie przyjmie! Mama z Marysią wyprawiły się więc wzdłuż ulicy szukać dla nas mieszkania. Na szczęście był czerwiec, ciepłe i długie dni — ale byliśmy głodni, jadąc od świtu, i Zosię bardzo zmęczyła niewygodna podróż. Mieszkający przy końcu ulicy stary „dieduszka” Wdowuchin zgodził się nas przyjąć na dwa miesiące, póki sobie nie znajdziemy mieszkania. Wyładowaliśmy rzeczy, Staś odprowadził wóz z wołami do stajni, ustawiliśmy prycze i przede wszystkim ułożyliśmy wygodnie Zosię. Do gotowania

pożytków służyć nam miała nieduża, ulepiona z gliny kuchenka, na ziemi pod gołym niebem. Gotowanie w takich warunkach było niezwykle męczącym zajęciem dla Aliny, która była naszym „szefem kuchni”. Miejsce pracy Mamy — *szwiejnaja artiel* — znajdowało się na trzeciej ulicy, o dobre dwa kilometry od naszego obecnego domu. Toteż zaraz na drugi dzień rozpoczęliśmy intensywne poszukiwania wygodniejszego mieszkania. Przy okazji poszukiwań obejrzelśmy wieś, która teraz przedstawiała zupełnie inny obraz niż wtedy, kiedy Mama z Marysią widziały ją w czasie pamiętnej wyprawy, w deszczowe ponure dni, pełne roztopionego śniegu i wody. Była to duża osada, rozłożona między trzema długimi ulicami. Nosiły one nazwy: Kłapa, Sriedniaja i Nabierieżnaja. We wsi było około 500 domów, wszystkie z samanu, wiele z nich na wysokich podmurówkach, z drewnianymi podłogami i stromymi dachami, krytymi słomą. Centralne miejsce we wsi zajmował dość obszerny plac, przy którym mieściły się: biuro kolchozu i *siel-sowiet* (czyli urząd gminny), stołówka, sklep, szkoła, domek z pomieszczeniem aptekarki, spichrze i mieszkanie lekarza, apteka z mieszkaniem aptekarki, spichrze i świnia. Na placu resztkami ogrodu wyodrębniło się dawne otoczenie zburzonej w czasie rewolucji cerkwi, po której zostało trochę kamieni, porośniętych zielskiem i chaszczami. Na centralnym placu odbywały się w niedzielę targi, ściągające do Korniejewki ludzi ze wszystkich okolicznych miejscowości, nawet dość odległych. Korniejewka była bardzo rozległa, gdyż domy stojące wzdłuż ulic miały za sobą duże ogrody — 0,33 ha — które stykały się po dwa, tworząc obszerne przestrzenie zielone. Między ogrodami szły wąskie dróżki, skracające przejścia od domu do domu. Na północ od placu, przy drodze do Awierjanowki, 200 metrów od ostatnich domów wsi były warsztaty, garaże i place postojowe dla maszyn rolniczych — ośrodek MTS *Motorno-Traktornaja Stancja* wraz z osiedlem robotników, nazywanym *Kitajgorod*. Domki tego osiedla były małe, ale porządnie zbudowane i utrzymane, a nieduże (5,15 ha) ogrody przydomowe były dobrze uprawione. Warsztaty — były to wielkie murowane hale, bez wyrazu i porządku, kryte szarymi dachami. Otoczenie ich było brudne i ponure, nie było drzew, i tylko zieleń ogródków przy osiedlu robotników ożywiała nieco ten fragment wsi. Step w pobliżu warsztatów też był smutny i bezbarwny. Nie było na nim tak dla innych okolic charakterystycznej bujności. Od warsztatów, stojących w szczerym polu na lekkiej wyniosłości, było widać znaną nam już z Poputni Soplek, tylko z innej strony. Była ona stąd odległa o 35 kilometrów i w dni słoneczne, kiedy

widoczność była znakomita, można było zobaczyć jej płowy kolor, w odróżnieniu od pokrytej lasami zielonej strony góry, oglądanej z Poputni. Największą atrakcją Korniejewki było ogromne jezioro. Powstało ono w wielkim zagłębieniu terenu pomiędzy osadami Korniejewka, Sowieckoje, Taranguł i Oriechowka, na miejscu wyschniętego w ciągu ubiegłych czterdziestu lat zbiornika wodnego. Wiosną spłynęła do niego wszystka woda z okolicy, kiedy stopniały ogromne śniegi, które spadły w zimie 1940/41. Teraz to jezioro o średnicy około 10 kilometrów zmieniło zupełnie krajobraz. Zbiegały do niego wąwozy i podłużne rozpadliny terenu, nad którymi górowały stojące na wysokim brzegu dwa wielkie wiatraki. Lustro wody odbijało niebo, zmieniało kolor zależnie od pogody, zbliżało położone nad nim wieńcem osady. Wkrótce zabielały na wodzie stada gęsi, zjawily się gromady dzikich kaczek z prążkowanymi piskletami. Brzeg zaczął zarastać trzcina i sitowiem, których resztki przetrwały w wilgotnej glebie dawnego, wyschniętego zbiornika. W jeziorze pławiono konie, pono było — nie trzeba już było wyciągać tyle wody ze studzien. Kobiety przychodziły tu z praniem — miękka, śniegowa, nagrzana słońcem woda ułatwiała tę ciężką pracę: mydła nie było, prało się przy użyciu ługu i drewnianych kijanek. Łatwiej też było teraz podlewać ogrody, położone blisko jeziora, wymagające wielkiej ilości wody w czasie letnich upałów, przekraczających +40°C. Letnimi wieczorami mieszkańcy wsi przychodzili myć się w jeziorze, w dzień matki czasem kąpały w nim dzieci.

Tak wyglądała wieś, w której mieliśmy spędzić, jak się okazało, następne trzy lata życia.

Po kilku dniach poszukiwań znaleźliśmy domek, stojący prawie naprzeciwko spółdzielni, w której pracowała Mama. Ale nie darmo ulica nazywała się Kłapa: dom był tak zapluskwiony, że tylko ciężką, wielodniową pracą Alina, Jasia i Marysia doprowadziły go do stanu używalności. Paliły w nim siarkę, wstawiały we wszystkie kąty zioła jakoby bardzo skuteczne, o bardzo silnym zapachu, zatkały dziury w ścianach gliną z dodatkiem piasku, nawozu końskiego i soli, ściany wybieliły gliną z dużą domieszką soli. Wszystko to były półśrodki, które pomogły na pewien czas. Sprowadziliśmy się tam — mieliśmy izbę, sien i ogrodzone podwórko. Mama chodziła codziennie do pracy na drugą stronę ulicy. W tym domku po raz pierwszy zdarzyły się takie dni, że nie mieliśmy nic do jedzenia. W ogrodach u ludzi niewiele było do roboty: okopywanie kartofli, z którymi gospodynie same sobie radziły. Na robienie kiziaku jeszcze było za wcześnie. Straszliwa zima opróżniła ludziom spiżarnie, nie mieli

więc nawet czym karmić wynajętych robotników. W brygadach polowych też karmiono nędznie: miska wodnistej zupy z kilka kawałkami kartofli i 200-300 gramów chleba, a wszyscy byliśmy młodzi, rosnący, chcieliśmy jeść. Wymienić coś z pozostałych ubrań na produkty też nie było łatwo. Wtedy Staś skonstruował rodzaj sideł i łapaliśmy kury, zapędzając się niebacznie na nasze podwórko. W ten sposób oszukaliśmy głód kilka razy, ku wielkiej rozpaczy naszej Mamy. Potem Mama dostała pierwszy miesięczny przydział pszenicy za pracę — 8 kg — i trochę pieniędzy. Nawiązaliśmy znajomości, Mama zaczęła żyć w domu — nieoficjalnie, gdyż za pokątną pracę chałupniczą groziła kara. W lipcu przyszedł czas robienia kiziaku. Robotnicy — fachowcy byli poszukiwani. Za tę robotę gospodarze płacili nienajgorzej, dostawało się dobre jedzenie i można było do domu coś przynieść dla Zosi i młodszego rodzeństwa. Alina, Jasia i Marysia chadzały do tej „wonnej” pracy — już teraz prawie bez uprzedzeń — szczególnie, że zawsze dostawało się trochę cegieł i gromadził się zapas opału na zimę. Czasem chodziliśmy na obiady do stołówki. Można tu było wtedy dostać krupnik, zupę fasolową lub kartoflaną, a na drugie danie — kopiasty talerz kaszy jęczmiennej z łyżką oleju, wlanego w dołek na czubku stołka. Bywały tu także „lody”, wyrabiane w mleczarni kołchozowej, szumnie nazywanej *Masłozawod*. Do tego *Masłozawodu* Marysia chodziła piłować drzewo.

W połowie czerwca — mobilizacja! Wszyscy poborowi z kołchozów idą do wojska. Zabierają ze sobą część ciężarówek: ładują się na nie chłopcy z kilku wsi i taki samochód już nie wraca. Wydawało się, że kraj ten — dotychczas senny — cały się poruszył! Puste drogi, ciągnące się ciemnymi pasami przez zielone pola i step, zaroily się nagle od ciężarówek i wozów konnych. Od drugiej połowy czerwca wyjeżdżali na wojnę wszyscy młodzi mężczyźni. „Wielki przyjaciel” zamienił się nagle i niespodziewanie w największego wroga. Przez Korniejewkę szła droga do punktu zbornego, do rejonu — Jawlenki — i stamtąd do stolicy *oblasti* (województwa) — Petropawłowska, gdzie była stacja kolejowa. Wszystkie ciężarówki i furmanki z okolicy przejeżdżały przez naszą wieś. Pełno było pijanych wieczorów i nocy, kiedy cała wieś zataczała się w gorącym powietrzu, pod ogromnym, granatowym niebem ze srebrnym księżycem, śpiewając na całe gardło zawodzące, tęskne pieśni na zmianę z zawadiackimi *czastuszkami*:

*Ach, doswidania, kak miłyj skazet,
Tiażołyj kamień na sierdce lazet...*

Potem ucichło. Zostały opuszczone, posmutniałe dziewczyny i młode żony z mnóstwem dzieci i z całą robotą koło domu i w kołchozie. Zboże musiało rosnąć, bydło musiało być hodowane. Państwo żądało dostaw. Dzieci musiały jeść. Wszyscy wtedy zadzierzyście i odważnie „gonili Niemca” od granic sowieckiej ojczyzny. Klęski, osłupienie i ewakuacja całych połaci kraju przysły dopiero później.

Nasza gospodyni, kiedy spostrzegła, że pluskwy zostały wytępione, nagle zapragnęła wrócić do swojego domu. Musieliśmy ponownie zmienić mieszkanie. Tym razem nie szukaliśmy długo. Marusia Antimonowa wraz z mężem zbudowała sobie dom przy ulicy Nabierieżnoj, niedaleko studni, w ładnym miejscu, przy skrzyżowaniu ulicy z drogą pocztową do Tarangułu i Jawlenki, blisko jeziora i wiatraków. Domek ten, pokryty dachem, ze wstawionymi drzewiami i oknami, był niewykończony, kiedy Antimono-
now poszedł do wojska. Marusia spodziewała się dziecka. Nie miała ani sił, ani możliwości na wykończenie tego domu. Przeniosła się do matki, a domek wydzierżawiła nam. Obejrzeliśmy go — i byliśmy wprost szczęśliwi. Dom był nowy, a więc bez pluskw! Stał szczytem do ulicy, frontem zwrócony na południe. Przed nim był mały pagóreczek porośnięty niskimi piołunami, wydzielający rodzaj małego podwórka. Dom składał się z dość obszernej sieni, z której drzwi na lewo prowadziły do małej kuchni z piecem chlebowym i z jednym oknem. Z kuchni wchodziło się do dosyć dużej izby z dwoma oknami i z dziurą w dachu, czekającą na wybudowanie pieca z kominem. W obu izbach — klepisko. Robota nam się szykowała wielka, gdyż przezroczysta sień zrobiona była z żerdzi, stojących w odległości 5 cm jedna od drugiej i tworzących rodzaj „altany”, co w tym klimacie było niemożliwe do pozostawienia na zimę. Stropodach domu nie był ukończony. Na drewnianych belkach tworzących konstrukcję ułożone były gęsto brzoźowe gałęzie z liśćmi. Na nich leżały płaty darniny trawą do dołu, na to nasypano grubą warstwę popiołu, ziemi, suchego nawozu, znów ułożono darninę. Należało teraz dach wylepić samaniem, po wyschnięciu — gliną z piaskiem i nawozem końskim i dopiero tak wykończony dach byłby gotów na zimę. W izbie na całej powierzchni sufitu wisały gałązki, sypały się liście i ziemia. Głównym „majstrem” była Marysia, pomagała jej w pracach murarskich Jasia. Wykorzystując doświadczenia zdobyte w Poputni przy produkcji samanu, Marysia z Jasią przygotowały wielki dół gliny zmieszanej z wodą i sieczką, starannie udeptanej nogami. Tę glinę musiały potem narzucić na zmczony uprzednio sufit silnym rzutem ręki i narzuconą

gomułę natychmiast rozsmarować. Póki doszły do wprawy — glina wciąż im spadała na głowy i oczy. Po paru godzinach daremnych wysiłków opanowały w końcu tę sztukę i wylepienie sufitu poszło dalej sprawnie, chociaż sztywniały im karki i bolały głowy. W czasie, kiedy sufit sechł, wylepiły ściany i sięń. Na szczęście wciąż było gorące lato i wszystko schło błyskawicznie. Po tygodniu można było wykańczać sufit i ściany gliną wymieszaną z wodą, piaskiem i nawozem końskim. Po paru dniach wybieliły wysuszoną chatę i zrobiły ostatni szlif: „wyfroterowały” klepiska pastą z rozcieńczonego nawozu krowiego. Dom był gotów. Opuściliśmy chatę na Kłapie i rodzina urządziła się w nowym miejscu. Nad drzwiami znów wisił krzyżyk, naprzeciwko drzwi orzeł na jedwabiu, na małej półeczce stało popiersie Marszałka Piłsudskiego.

Pozostało jeszcze zbudowanie pieca, ale właśnie zaczęły się roboty w ogrodach, czego nie można było zaniedbać, gdyż dawały one możliwość zarobienia kartofli i przeżywienia się przez parę dni. Marysia zbudowała tylko małą kuchenkę przyklejoną do pieca chlebowego w kuchni. Miała ona tę zaletę, że nie rozgrzewała zbyt pomieszczenia i zużywała mało opału. Dostała więc Alina — nasz szef kuchni — nowy, wygodny warsztat pracy. Staś pracował stale z parą koni w polu, mieszkając w wozie brygady polowej przez tydzień. W domu zjawiał się w sobotę brudny zawsony i głodny. Mył się, wysypiał, był z nami przez niedzielę, a czasami, jeżeli były pilne prace przy żniwach, wyjeżdżał już w niedzielę o świcie z powrotem. Teraz przy braku mężczyzn w kołchozie liczyły się każde ręce. Trzeba było zebrać, wymłócić i odstawić ziarno do wielkich spichrzy w Petropawłowsku. Staś pracował przy żniwach — a myśmy głodowali! Mama jeszcze nie mogła pogodzić się z myślą, że mamy żywić się kradzionymi produktami. Bywały takie ciemne wieczory, kiedy Staś, jadąc z daleka od kombajnu, zmęczony, zajeżdżał do domu z pełnym wozem ziarna. Nikt go nie sprawdzał, nie ważył i nie zapisywał, i gdybyśmy wtedy odsypywali sobie tyle ziarna, żeby zrobić zapas na przeżycie zimy, nikt by tego nawet nie zauważył. Mama jednak wciąż sądziła, że nam zapłacą za pracę, że potrafiemy zarobić i że powinniśmy wyżej stawiać naszą uczciwość niż *predsedatiel* kołchozu Kijanow i przewodniczącą *sielsowietu* Szewczenko. Oni kradli bez skrępowania całe wozy ziarna, kierując je od razu na swoje potrzeby lub na wódkę. Kiedyś, jadąc od kombajnu z pełnym wozem pszenicy późnym wieczorem, śmiertelnie zmęczony i głodny Staś zasnął siedząc na wozie i spadł pod koła. Konie stanęły, ale koła wozu boleśnie uderzyły

miot ze swojej na nim letniej pracy narysował w swoim zeszycie ten wóz prawidłowo i z niezbędnymi szczegółami. Andriej Jefimowicz, chodząc pomiędzy ławkami, spostrzegł rysunek Antka i starannie poprawił prototyp na tablicy. Trudniejsze zadania matematyczne rozwiązywał jedynie nasz braciszek, i wszyscy od niego rano przepisywali. Chcąc ocalić zeszyt przed niszczeniem, Antek po przyjściu do szkoły wypisywał całe zadanie na tablicy i cała klasa spokojnie przepisywała. Terenia chodziła do starszej klasy, gdzie też „święciła podobne triumfy”. Uczyli się jednak regularnie literatury i gramatyki rosyjskiej, matematyki, fizyki i geografii, w której wszystkie kraje były przedstawiane z punktu widzenia Rosji sowieckiej — a także historii Rosji — przede wszystkim porewolucyjnej. W związku z ciągłymi zmianami w rządzie sowieckim, a szczególnie po „wielkiej czystce” z lat trzydziestych, następowały istotne „przesunięcia” w przedstawianiu historii. Trzeba było jednak używać dawniej wydrukowanych podręczników — toteż zmiany personalne przeprowadzali w nich sami uczniowie, wykreślając nazwiska dawnych bohaterów, a ich portrety opatrując dodatkami w postaci świńskich ryjów, rogów, oślich uszu oraz komentarzami w rodzaju: Bucharin — ten sk... syn!

Dbaliśmy bardzo o to, aby Terenia i Antek chodzili do szkoły czysto i możliwie porządnie ubrani. Kiedy skończyły się zeszyty zabrane z Polski, nasi „uczniowie” — podobnie jak ich miejscowi koledzy — zaczęli używać wycofanych podręczników, pisząc w nich na przestrzeniach między wierszami. W tym czasie zniesiono w szkołach Kazachstanu alfabet i język kazachski, a podręczników w tym języku było dużo i w szkole i w sklepach — zużytkowano więc wszystkie w tym celu.

Nasza Mama, która miała niezrealizowane zamiłowania medyczne i w czasie pierwszej wojny światowej pracowała przez pewien czas jako pielęgniarka, w późniejszych latach pogłębiwszy swoją praktykę pielęgnując nas w naszych chorobach wieku dziecięcego, uważała teraz za swój obowiązek zajmować się chorymi Polakami. W Korniejewce mieszkało kilka rodzin polskich, a także sporo Białorusinów z okolic Nieświeża, Nowogródka i Wołkowyska. Jeśli ktokolwiek zachorował — Mama do niego szła, znajdując przy tym okazję do mówienia po białorusku. Mama znała bardzo dobrze ten język, używała go bowiem w czasach dzieciństwa i wczesnej młodości, spędzonych w okolicach Mińska Litewskiego. — Po przeprowadzeniu się do Korniejewki nawiąaliśmy przyjacielskie kontakty z młodą i sympatyczną kierow-

niczką miejscowej apteki i mieliśmy zawsze w domu mały zapas spirytusu, środków opatrunkowych i podstawowych leków. Chodząc do domów Polaków, Mama poznała prawie wszystkich mieszkających tu zesłańców. Odkryła kiedyś dramatyczną sytuację samotnej kobiety: w jednej izbie mieszkały cztery rodziny — dwie żony podoficerów z Wołynia, każda z jednym dzieckiem, starsza kobieta — Białorusinka z niedorozwiniętą córką Walerką i z nimi razem — Iza T., młoda, chuda Żydówka, żona komisarza Policji Państwowej z Nieświeża, bardzo chora na nerki. Współlokatorki nie lubiły jej tak dalece, że nawet odmawiały jej zagotowania wody. Nie wolno jej było wstawać, miała mocno podwyższoną temperaturę, bóle — a mowy nie było o tym, żeby jej pomógł ktoś np. przy czynnościach fizjologicznych. Mama ją odwiedziła i po powrocie do domu oświadczyła, że na czas choroby musimy ją zabrać do naszego mieszkania, gdyż ona w tamtych warunkach po prostu powoli zemrze. Przeprowadziliśmy ją więc do nas. Poprzesuwaaliśmy nasze rzeczy i jej kółko — na szczęście o wymiarach dziecinnych — zmieściło się pod oknem. Ona — wymyta, w ciepłe, zadbane, na diecie, leżąca „plackiem” w kółku, zaczęła powoli dochodzić do zdrowia. Miała sporo rzeczy, przywiezionych z domu, wymieniała więc je sobie na produkty. Kiedy zaczęła już wstawać — Alinie ubył obowiązek gotowania jej posiłków. Mąż Izy, aresztowany po wejściu wojsk sowieckich, był w obozie w Ostaszkowie. Pisywał do niej listy, ostatni — pełen uczucia i troski o jej los, zapowiadający wyjazd w nieznanym kierunku — pochodził z marca 1940 roku i odnalazł ją na Syberii. Potem listy się urwały — mąż jej podzielił los wszystkich jeńców z osławionych trzech obozów.

Niedzielne bazyry ściągały do Korniejewki ludzi ze wszystkich okolicznych wsi. Przyjeżdżali nawet Kazachowie spod Sopki. Można było wymienić tu ubrania na niezbędne produkty, kupić jakieś drobiazgi, nawet dobić targu z Kazachami o drzewo. Bazyry były również okazją do spotkań towarzyskich. Przychodziły na bazar Polki z Tarangułu, z Oriechowki, nawet z Jużnego. Ponieważ odległości były duże — z Jużnego np. 25 km — trudno było w ciągu jednego dnia przyjść i wrócić do domu. Wobec tego wiele domów w Korniejewce — między innymi i nasz — w niedziele i soboty zamieniało się w „hotele”. Ktoś zwykle nocował u nas na stole, odstępowaliśmy czasem gościom prycze chłopców, najczęściej jednak parę osób spało na podłodze na rozłożonych piółkach. Czasami, jeżeli pogoda była bardzo dokuczliwa, sypiało u nas po sześć osób. Zawsze była gorąca „herbata”, oczywiście bez cukru, woda do mycia, w razie potrzeby — parę

kartofli lub kawałek placka z mąki zmieszanej z otrębami też musiał się znaleźć. Wymienialiśmy książki, wiadomości z listów, opowieści, przepowiednie, perspektywy na przyszłość...

We wrześniu 1941 roku dotarły do nas budzące nadzieje wiadomości o umowie między Generałem Władysławem Sikorskim i Stalinem o amnestii dla więźniów i dla nas, o tworzeniu się Polskiego Wojska, o możliwości nawiązania stosunków dyplomatycznych między naszym Rządem w Londynie i Sowietami. Liczyliśmy wszyscy na istotną zmianę naszego losu — marzyliśmy o spotkaniu z Ojcem! Wkrótce nasza Mama została zaproszona do Jawlenki, do mianowanego przez Polskiego Pośła Romera — przedstawiciela Delegatury Polskiej w Związku Sowieckim na rejon leniński — p. Szymanowskiego z Nieświeża. Wybrała się Mama do niego — z Korniejewki było „tylko” 44 km do Jawlenki i była teraz piękna, rześka, jesienna pogoda — z Aliną, która przy tej okazji mogła odwiedzić panią Stasię. Mama przyniosła z Jawlenki mnóstwo lekarstw i witamin, a dla siebie — nominację na „męża zaufania” Delegatury Rządu na region Korniejewki. Teraz przydały się nasze kontakty z bazarów: Mama miała obowiązek sporządzenia spisu wszystkich obywateli polskich, mieszkających w kolicy. Wyprawiała się więc do pobliskich wsi w poszukiwaniu Polaków. Spis objął 126 obywateli polskich, rozproszonych po okolicznych osiedlach. Wkrótce potem zaczęli przyjeżdżać do rodzin więźniowie, zwalniani z sowieckich łagrów w ramach amnestii. Ci, którzy trafili do Jawlenki i nie odnaleźli swoich bliskich w wykazach pana Szymanowskiego dostali adres Mamy, jako źródła wiadomości o rodzinach. Wtedy przeszło przez nasz dom blisko 20 byłych więźniów, poszukujących swoich rodzin. Nie było między nimi naszego Ojca, nikt też nam o Nim nie przyniósł wiadomości! Natomiast Mama często miała u siebie właściwy adres rodziny, której szukał ojciec albo syn — bądź też adres następnego „męża zaufania” z tej sieci organizacyjnej, która objęła Kazachstan i Polaków przesiedlonych. Do naszej wsi przyjechali do swoich żon trzej Białorusini i jeden Polak — księgowy z zarządu lasów ks. Radziwiłła spod Nieświeża.

W listopadzie leżał śnieg i były duże mrozy, ale ta zima nie była już tak okrutna: mieliśmy doświadczenie syberyjskie, ciepłe, wygodne mieszkanie, a także zgromadzony zapas opału, którym nikt z nami się nie dzielił. Przede wszystkim jednak przyświecała nam nadzieja odmiany naszego losu — i chociaż dłużyło się nam czekanie i stawaliśmy się niecierpliwi — obecność w Związku

Sowieckim oficjalnego przedstawicielstwa naszego Rządu i poczucie jego opieki sprawiały że wszystkie okrucieństwa i niewygody naszego tutejszego bytowania wydawały się łżejsze. Spółdzielnię krawiecką, w której pracowała nasza Mama, wkrótce zlikwidowano, gdyż w braku mężczyzn wszystkie kobiety zdolne do pracy musiały pracować w polu. Mama zresztą miała teraz dużo zajęcia w związku ze swoją funkcją. Wybrała się wkrótce do Jawlenki zanieść dokładne wykazy Polaków wraz z ich danymi personalnymi, a także przynieść znowu lekarstwa i szczepionkę przeciwko durowi. Po kilku dniach Mama wróciła, przyniosła szczepionkę chroniąc ją przed mrozem w zanadrzu, pod futrem, oraz dużo lekarstw i witamin, kilka numerów wydawanej przez Ambasadę w Kujbyszewie gazety *Polska*, wiadomość, że są dla wszystkich Polaków przydziały ubrań i żywności przysłane w ramach pomocy przez aliantów — oraz radosną nowinę, że otrzymamy polskie paszporty! W najbliższą niedzielę w czasie bazaru, oraz listownie, powiadomiła Mama wszystkich Polaków o szczepieniach przeciwko tyfusom. Pomimo mrozów — drzwi się u nas nie zamykały: wszyscy obywatele polscy — dorośli i dzieci powyżej lat 14 — mieli być zaszczepieni. Przydała się Mamie teraz umiejętność wykonywania zastrzyków i zabrana z domu strzykawka. Alina gotowała igły, Mama robiła zastrzyki, a czekający w kolejce „pacjenci” czytali gazetę *Polska* — pierwsze, wolne drukowane słowo polskie od dwóch lat! Chłoniliśmy każdą linijkę, każde słowo Xawerego Pruszyńskiego, Zygmunta Nowakowskiego i innych polskich publicystów i pisarzy, przemawiających do nas z łamów tej gazety. Wiersz Antoniego Słonimskiego „WSZYSTKO” powtarzaliśmy na pamięć ze łzami wzruszenia. Numery pisma, wycytane przez wszystkich, wracały do rąk Mamy w postaci pojedynczych listków papieru.

Trzeba było zorganizować środek transportu na przywiezienie przydziałów ubrań i żywności, które mieliśmy otrzymać. Teraz przydała się nam sytuacja naszego domu w pobliżu studni i znajomości, pozawierane przez nas przy okazji pożyczania wiadra z kierowcami ciężarówek, przyjeżdżających z Jawlenki i z Petropawłowska po ziarno do spichrzów naszego kołchozu. Któryś z zaprzyjaźnionych z nami kierowców zabrał Alinę do Jawlenki — i wkrótce pierwszy transport przyjechał. Cóż to były za bezcenne dla nas skarby! Ciepłe płaszcze — noszone, ale w znakomitym stanie, z grubego sukna na podszewce, mundury żołnierzy armii alianckich — *battle-dress'y* — wyreperowane i przebarbowane na ciemnozielony kolor (trudno było sobie potem wyobrazić wygodniejsze i cieplejsze ubranie do wszystkich zimo-

wych prac), koce z grubej, szarej flaneli, krótkie sznurowane buty ze wspinałej, miękkiej skóry z podeszwami nabijanymi gwoździ, miękkie, szare swetry, grube wełniane skarpety, rękawice, dzieciinne ciepłe ubranka i sweterki — i żywność: Wielka, metalowa paka tłuszczu roślinnego, pudło smalcu, biała mąka, kasha manna, nie oglądany już od półtora roku cukier! Wszystko to zostało komisyjnie spisane, sprawdzone (Mama powołała komisję złożoną z trzech mężczyzn, którzy wrócili z obozów) — i rozdzielone i rozważone, zależnie od ilości członków rodziny. Wszyscy dorośli dostali po ciepłym płaszczu, parze butów i po jednym „mundurze”. Dzieci — oprócz ubranek i żywności — otrzymywały witaminy przyniesione przez Mamę. Wywarły one wprost magiczny wpływ na rozwój małej dziewczynki, która urodziła się wkrótce po przyjeździe Polaków na Syberię — wiosną 1940 roku — i do zimy 1941 nie chodziła, nie mówiła i miała bardzo widoczne zaburzenia słuchu i wzroku. Po skonsultowaniu z lekarką, ostrożnym zastosowaniu witamin i lepszego odżywiania — zaczęła się normalniej rozwijać, lepiej spostrzegać, próbowała mówić i chodzić. — Wszyscy byli niezmiernie szczęśliwi otrzymując te pierwsze przydziały, na oczach wszystkich ważone, mierzone i liczone. Dopiero potem, gdy było ich więcej — dowiedzieliśmy się, że naszą Mamę posądzano o nadużycia!

Radosnym i uroczystym dla wszystkich Polaków był dzień, kiedy Mama przywiozła z Jawlenki polskie dokumenty, zastępujące paszporty. Wyprawiła się po nie z Marysią saniami, które w jakichś kołchozowych sprawach jechały do rejonu. Były to duże sanie, podobne do naszych „rozwałek”, wyładowane sianem dla koni, na którym siedział woźnica i czterech pasażerów. Na jakimś zakręcie sanie się wywróciły! Wszyscy spadli na śnieg, a siano na nich! Marysia wygrzebała się szybko i skoczyła do Mamy — ale na szczęście nic się nie stało. Mama była w futrze, które zamortyzowało upadek. Wszyscy pasażerowie wyszli z wypadku bez szwanku i dalsza podróż upłynęła bez większych przygód. Nocowaliśmy w jakiejś chacie po drodze. Mama spała na łożku gospodarzy, którzy wynieśli się na piec, reszta podróżnych ułożyła się pokotem na podłodze. Marysi wypadło miejsce pod wiszącą na sznurach od sufitu kolebką małego dziecka gospodarzy. Kolebka owa w kształcie płaskiej skrzynki była... nieszczelna i w czasie snu Marysia została obficie pokropiona niezbyt wonnym przeciekiem.

Polskie dokumenty zostały przez Mamę szczęśliwie przywiozione. Wielki to był dzień w życiu wygnańców, kiedy zwrócili

sowieckie paszporty i otrzymali polskie, wydane na pięknym papierze ze znakiem wodnym orła w koronie, pisane w trzech językach: polskim, francuskim i rosyjskim, z wielką pieczęcią z Orłem Polskiej Ambasady — stwierdzające naszą przynależność narodową i obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej! Wszyscy byli szczęśliwi i mieli łzy w oczach. Wszyscy byli pewni, że jest to pierwszy krok do powrotu do domu!

Tymczasem jednak trwała druga syberyjska zima. Słońce wschodziło wraz ze swoimi budzącymi trwożę złoto-czerwonymi „satelitami”, które zapowiadały mróz i *buran*. Mroźne dni były krótkie. Powietrze pełne było kłujących, śniegowych igieł, przysłaniających blask słońca. Mróz utrudniał oddychanie, przy którym wydzielają się kłęby pary, marznące błyskawicznie i osiadające szronem na brwiach, rzęsach i policzkach i czapkach. W czasie *buranów* szeleszczące, nieskończenie długie węże wiły się po ubitym śniegu na stepie. Ale tej zimy nasz dom nie przemarzał, mieliśmy duży zapas piołunów i kiziatu, a nawet parokrotnie zawieraliśmy transakcje z Kazachami ze wsi Bułak na zakup drzewa do pieczenia chleba. Kazachowie handlowali zbożem i drzewem, głównie kradzionym. Przyjeżdżali w nocy swoimi małymi sankami, zaprzężonymi w małe, żyłaste, myszate koniki. Sami w te mroźne noce nosili długie, sięgające za kolana futrzane buty, ciepłe spodnie — nierzadko futrzane — kozuchy i ogromne czapy z wielkim, futrzanym frontem nad czołem i opadającą aż do ramion futrzaną falbaną, otulającą uszy i kark. Czapy te były najczęściej szyte ze skór wilków syberyjskich i wtedy po raz pierwszy widzieliśmy to wspinałe, puszyste, żółto-szare futro. — Kazachowie stukali do okien i pytali: *Draba nada?* (drzewo potrzebne?) — lub: *Chleba nada?* Jeżeli to byli znajomi, a na dworze było te 30-40 stopni mrozu, wpuszczano się ich do domu, oni sobie przynosili piołunów z sieni, rozpalali ogień pod płytą i rozmrażali swoje zamrażnięte na kość placki i kawałki mięsa na rozgrzanej płycie kuchennej lub rozgrzewali w garnku lodowe bryłki mleka w kształcie misek, wydobywane z płociennych szmatek. Sprzedawali furkę drzewa za dwie paczki *czaju kirpicznego*, w który myśmy zaopatrywali się za każdorazowym pobylem w Jawlence lub Petropawłowsku.

W bazie kierowców w Jawlence, skąd przyjeżdżały samochody po zboże do Korniejewki, pracowali rekonwalescenci przed powrotem na front. Byli tam żołnierze różnych narodowości zamieszkujących Związek Sowiecki. Jednym z zaprzyjaźnionych z nami kierowców był Tatar, Borys Tatajew, który w 1939 roku

we wrześniu był w Białymstoku i opowiadał nam o rozstrzeliwaniach polskich oficerów, których znakiem rozpoznawczym były białe, czyste ręce. Był to przystojny i „wolnomyślny” młody człowiek, który specjalnie nie krył się ze swoimi poglądami na sowiecką sprawiedliwość i rzucił nawet kiedyś legitymację Komсомоłu na znak, że się wypisuje z tej organizacji. W krótkim czasie zabrano go z powrotem na front. Innym kierowcą, poznanym za pośrednictwem „wiadra na wodę”, a potem bardzo z nami zaprzyjaźnionym, był Med Muratow Maszarib, Azerbejdżanin. Ten był niewysoki, miał okrągłą dobronuduszną twarz, z czarnymi uśmiechniętymi oczkami, pokrytą śladami po ospie. Ale uśmiech i dobroć, widniejące na tym szerokim obliczu, zupełnie przesłaniały jego zniekształcenia. Med Muratow — „Miszka” — jak go nazywano, lubił nas bardzo, mówił, że mu przypominamy dom rodzinny. Do Mamy mówił „mama”, przywoził nam suszone owoce: rodzynki, śliwki, morele, które dostawał w paczkach z domu. Tak był z nami zżyty, że jeżeli przyjeżdżał przed nocą do Korniejewki, a mróz był duży, przychodził do nas na noc. Przynosił sobie fotele z ciężarówki, rozkładał je za piecem i tam spał do rana. Przywoził nam „gościńce” w postaci paczuszki herbaty, garstki cukru, czasem był to kawałek ładnie upieczonego chleba. Jeżeli on jechał w konwoju po pszenicę do Korniejewki lub okolicznej wsi — nigdy nie mieliśmy kłopotu z transportem naszych przydziałów z Jawlenki. Kiedyś Miszka, zażenowany, przyprowadził swojego *komandira* — młodszego lejtenanta. Mróz był wielki, obaj byli zmarznięci. Zagotowałyśmy wody na herbatę, oni mieli swój *czaj*, cukier i jedzenie. Wasia Siennikow, młody człowiek spod Moskwy, zaraz po przywitaniu zapytał Mamę: *Tiotia, kak wam nrawitsia sowietskaja wlast'?* — Myśmy oczywiście ryknęły chóralnym śmiechem, Wasia się speszył, ale Mama mu poważnie odpowiedziała: „Pomyśl Wasia, jakby ci się podobało, żeby do twego kraju, do twojego miasta, przyszły obce wojska, zniszczyły wszystko, co twoje państwo stworzyło, zajęły waszą ziemię, ojców rodzin aresztowały, a twoją matkę i rodzeństwo wywiozły daleko od domu, do obcego kraju, bez rzeczy, bez możliwości pracy i wyżywienia się?” — Wasia zastanowił się chwilę i powiedział: „Masz rację ciocia — pewnie by mi się nie podobało” — ale już nam więcej takich pytań nie zadawał, natomiast interesowało go wszystko z naszego — tamtego — życia. Przyjaźń z nami Wasia opił... spirytusową nalewką na nogach Zosi. Jak to było: Zosia była wciąż chora, leżała w ciepłe (piec zbudowany przez Marysię okazał się znakomity i mała ilość nędznego przecież opału starczała na ogrzanie

izby) — ale nie chodziła i wciąż ją bolało kolano. Kobiety we wsi nam radziły, żeby nagrzać żeliwną patelnię, nalać na nią spirytusu i żeby Zosia w to stanęła nogami, wtedy je sobie rozgrzeje i może jej to ulgę przyniesie. Zrobiliśmy tak — i ten spirytus od Zosi nóg stał w osobnej butelce do dalszego stosowania. Właśnie przyszedł Miszka z Wasią. Miszka, jako maho-metanin — nie pił, ale Wasia — *istiennyj russkij czelowiek* — mimo swoich 20 lat za kołnierz nie wylewał, szczególnie w czasie wielkich mrozów. Któraś z nas nalała Wasi szklaneczkę spirytusu jedną i drugą. Wasia wypił, zakąsił swoim żołnierskim chlebem ze słoniną i po kolacji szli z Miszką gdzieś na nocleg. Wstał więc od stołu — i rymnął jak długi na podłogę. Pozbierał się szybko i wyszli. Na drugi dzień było zimno, Mama chciała Zosi nogi wygrzać, sięgnęła po buteleczkę ze spirytusem i znalazła ją pustą. Okazało się, że to Wasię poprzedniego dnia ta naleweczka na panięńskich nogach tak zbiła z nóg!

Znajomości z kierowcami, a szczególnie z poczciwym Miszą i jego przyjacielem Wasią nie tylko zapewniały nam transporty nawet z Petropawłowska, ale chroniły nas przed kontaktami z takimi kierowcami z kolumny transportowej, z którymi zetknięcie naraziłoby nas na przykrości. Nasi przyjaciele kierowali do nas zwykle swoich przyjaciół — zresztą transporty nie były nam potrzebne zbyt często i wyjazdy z Wasią czy z Miszą prawie nam wystarczały. Pomimo naszej letniej pracy w kołchozie, Mamy szycia, Marysi budowania pieców i innych prac budowlanych — głód nam w oczy zaglądał. Te transporty żywności i odzieży były bardzo pomocne, ale nie wystarczały. Trzeba było szukać możliwości zdobycia ziarna na mąkę — na placki lub chleb. Do wywożenia pszenicy z kołchozowych spichrzów do miasta potrzebni byli ładowacze. Sześć polskich dziewczyn — w tym Jasia i Marysia — stworzyło „zespół”, działający na zasadzie zautomatyzowanych ruchów i prawidłowej organizacji pracy. W spichrzu było duże okno, przy którym na zewnątrz stała waga z wielką skrzynią. Do tej wagi podjeżdżała tyłem ciężarówka ustawiając się tak, że jej skrzynia znajdowała się w dogodnej do ładowania odległości od wagi. Dwie dziewczyny ustawiały się przy oknie w spichrzu, dwie między oknem i wagą, pozostałe dwie przy wadze. Miały cztery duże metalowe wiadra, każde o pojemności 16 kg pszenicy (1 pud) — stąd nazwa tych wiader — *pudowki*. Dziewczyny w spichrzu rozmachem nabierały ziarno z przymy, tym samym rozmachem podawały wiadro przez okno dwójce na zewnątrz. Ta dwójka jednym, prawie tanecznym ruchem brała te wiadra i tym samym zamachem podawała je dwójce przy

wadze. Te z kolei musiały podnieść wiadra i wysypać pszenicę do skrzyni. Kiedy skrzynia była już pełna, dziewczyny ze spichrza wychodziły na zewnątrz i po zważeniu i zanotowaniu przez magazyniera pszenicy na wadze, zaczynało się ładowanie ciężarówki. Teraz dwie wchodziły do skrzyni na wadze, dwie stały między wagą i samochodem, a dwie w skrzyni ciężarówki. Zaczynał się taniec w odwrotnym kierunku. Trzeba było ruchy zharmonizować i wypracować odpowiednio silne i oszczędne rozmachy, żeby starczało ich na nabranie ziarna wiadrem i podanie go sąsiadce, a równocześnie rozłożyć siły. Jedna ciężarówka zabierała 2-3 tony ziarna i trzeba było załadować dwa lub trzy samochody, jeden po drugim, gdyż jeździły one konwojami, ze względu na bezpieczeństwo w czasie *buranów*. Mróz był wielki i do tej pracy bardzo przydatne były *battle-dressy* — ale miały jedną wadę: bluzy podjeżdżały na plecach do góry i zostawiały nieosłonięty pas, na którym zamarzały nam przepocone bluzki i koszule. Kierowcy wywożący zboże z kołchozów mówili, że najszybciej i najsprawniej ładują ziarno w Korniejewce. Nam dawało to satysfakcję, gdyż praca była dobrze zorganizowana i szybko ją kończyliśmy. Wtedy też zaczęło się wynoszenie ziarna w ubraniu. Była to jedyna możliwość przeżycia rodzin, które dotkliwie nękał głód.

Tak przeszła pełna nadziei zima 1941/1942, kiedy tworzyło się Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Andersa w Taszkencie, Tockoje i Buzułuku. Z nim wiązaliśmy nadzieję szybkiego wyjazdu. Na co dzień jednak trzeba było żyć. Terenia i Antek chodzili do szkoły. Staś, jeżeli nie chorował — tej zimy zapadł bowiem na uciążliwy, astmatyczny bronchit — chodził do stajni kołchozowej pracować przy koniach. Zosia — leżąc — wyszywała chusteczki i bluzki. Alina była w domu głównym nosiwodą i kucharką. Jasia i Marysia pracowały w magazynach ziarna. Mama szyła i dziergała swetry. Przeżyliśmy drugie Boże Narodzenie i Nowy Rok 1942 — smutne, ale już nie tak okrutnie beznadziejne — bez opłatka, chleb go zastąpił, ale za to — z bułkami z białej mąki! I w dalszym ciągu nie wiedzieliśmy nic o Ojcu — czy żyje jeszcze — ani o Bronku. W każdą niedzielę przychodzili Polacy z sąsiednich wsi na bazar i prawie zawsze ktoś u nas nocował. Śniegu było mniej niż w 1940, ale i tak zima dała się nam we znaki. Zachorowała Alina, chorował Staś, pył w magazynach wpływał szkodliwie na drogi oddechowe Marysi tak, że musiała przerwać pracę przy ładowaniu ziarna. Do Korniejewki przyjechało tej zimy wiele nowych osób. Przywieziono ewakuowane rodziny wyższych wojskowych z Moskwy

i Leningradu oraz rodziny o pochodzeniu niemieckim z Odessy i Donbasu. Z Moskwy przyjechała lekarka z dzieckiem i matką, która szczyciła się, że będąc położną, odbierała Swietlanę, córkę Stalina. Z Odessy przybyła rodzina Nitzów. Ojciec — ślusarz z okresu NEP-u, ożeniony z Rosjanką, z dwojgiem dorosłych dzieci: Mikołajem — Kolką i 16-letnią Lottą, uczennicą średniej szkoły. Dziewczynka była cicha, przerażona i oszołomiona tym, co ich spotkało. Kola, 20-letni niedosły student medycyny, był kontuzjowanym ochotnikiem z wojny z Finlandią w zimie 1940, z której pozostał mu nerwowy tik — co pewien czas kurczyła mu się i drgała twarz i podskakiwało jedno ramię. Wywieziono ich, gdyż byli Niemcami i stanowili zagrożenie dla Związku Sowieckiego w chwili zbliżania się wojsk niemieckich do Odessy. Uważano ich za potencjalnych zdrajców. Kolka i Lotta byli ochrzczeni w cerkwi, czuli się Rosjanami, i wpadli w otępiłą rozpacz, gdyż mowy nie było o tym, żeby mogli wyjechać stąd do miasta, do szkoły. Naczelnik NKWD w Jawlence roześmiał się Koli w twarz, wyśmiał jego odznaczenia z wojny fińskiej i ostrzegł go, żeby nie próbował dochodzić praw, bo może zniknąć na obszarach Sowietów i rodzice go nie znajdą. Kola wrócił zrozpaczony i nie będąc zdolny do ciężkiej pracy fizycznej, pracował jako stróż w różnych „instytucjach” kołchozu: w świniarni, magazynach, palił w piecach w *sielsowiecie* itp. Z Odessy przyjechała też Ada Alfonsowna z mężem i bratanicą Lili. Ada Alfonsowna była lekarzem bakteriologiem i internistą. Jej ojciec był Niemcem, tkaczem. Kiedyś, przed pierwszą wojną światową, pracował w Łodzi i ożenił się tam z Polką. Matka nauczyła Adę polskiego pacierza i mówiła z nią po polsku. Osierocona Ada wychowywała się w domu dziecka i wykształciła się o własnych siłach. Była wysoka, miała jasne, gładko uczesane włosy, smutne, niebieskie oczy i otwartą twarz o mocnych rysach. Jej mąż — także wychowanek domu dziecka, inżynier metalurg z wykształcenia — spokojny, sumienny i pracowity człowiek, był w Odessie dyrektorem fabryki zbrojeniowej. Oboje należeli do partii komunistycznej. Kiedy zaczęła się wojna, jego fabrykę ewakuowano na Ural, gdzie on też znalazł się jako jej dyrektor. Tu jednak wyszło na jaw „niemieckie pochodzenie” jego żony. Fabryka była w niebezpieczeństwie! Pozostawiono mu do wyboru: albo rozwieść się z żoną i zostać na Uralu, albo stracić pracę i wyjechać z żoną na Syberię. Uczciwy człowiek wybrał to drugie, wierząc przy tym, że partia wszędzie zaopiekuje się swoimi ludźmi. Przyjechali do Korniejewki. Ada zgłosiła się do *priedsiedatiela* kołchozu Kijanowa, przedstawiając się jako lekarz. On jej na to:

„A to dobrze! w sam raz nadajecie się do zrzucania śniegu z dachu kołchozowych stajni. Jutro rano o ósmej zgłosicie się do pracy”. — Nieszczęsna kobieta w swoim wiatrem podszytym paletku i w miejskich lekkich bucikach zrzucała śnieg przez kilka dni, uważając, że skoro władza miejscowa i członek partii jej tak kazał, musi to być słuszne. W końcu przeziębila się, zachorowała i wtedy przerwała tę pracę. Po wyzdrowieniu leczyła już ludzi, ale w miejscowym ośrodku królowała Elizawieta Pawłowna z Moskwy, więc dla Ady zostały wyjazdy w teren małymi saneczkami. Zetknęła się wtedy z „prawdziwym życiem”: odbierała kiedyś dziecko od położnicy, leżącej na piecu, na słomie i zawijającej to dziecko w słomę. Lekarka tak była wstrząśnięta, że na drugi dzień rano zawiozła tam jedno ze swoich nielicznych prześcieradeł i opowiedziała nam to wydarzenie, chociaż bardzo unikała wszystkich opowieści, które by umniejszały potęgę jej wielkiej ojczyzny. Zresztą z nami zaprzyjaźniła się dopiero później. Początkowo uważała nas za członków wrogiego narodu, a ponieważ byliśmy zesłańcami „politycznymi”, kontakt z nami był szkodliwy dla jej partyjnego sumienia. Poza tym nie byliśmy ludźmi na ich poziomie. Oni byli z dużego miasta, wykształceni. Nawet Lili, jej 24-letnia bratanica, ciężko chora na gruźlicę, ukończyła studia chemiczne i tylko wojna przeszkodziła jej w obronie dyplomu. Nie miałyby więc z nami wspólnej płaszczyzny do rozmów. Dopiero ogrom nieszczęść i potrzeba zwykłej ludzkiej serdeczności i zrozumienia zwróciły tę kobietę do nas. Mąż Ady Alfonsowny otrzymał pracę w warsztatach *Motorno-Traktornoj Stancji* jako *normirowszczyk*. Zdolny, doświadczony inżynier, dyrektor dużej fabryki, podlegał teraz dwóm prymitywnym i podłym chamom: przewodniczącemu kołchozu Kijanowowi, człowiekowi o twarzy, w której mieszały się rysy i cechy zwierząt — psa i świni. Małe, głęboko osadzone oczki patrzyły złośliwie spod niskiego czoła. Krótki nos i grymas, który miał być uśmiechem, podnoszący górną wargę i odsłaniający zęby, nadawały tej twarzy wyraz złośliwego okrucieństwa i chytrości. Taki też on był w swojej działalności przewodniczącego kołchozu. Dorównywał Kijanowowi towarzysz Wołow, dyrektor MTS-u. Ten miał też pochodzenie „nieprawomyślne” i prawdziwe jego nazwisko brzmiało Ochs. Pochodził z niemieckiej rodziny z okresu NEP-u, ale był bardzo zasłużony. Chociaż ewakuowano go z terenów „zagrożonych zdradą”, dano mu jednak odpowiedzialne stanowisko, pozwalające na rozwijanie szerokiej działalności. Razem z Kijanowem okradali kołchoz z ziarna, prowadząc bujne i wesole życie, jednocześnie głodząc podległych im ludzi. Kradzioną psze-

nicę, w skład której wchodziły też tzw. „pajki”, czyli 16-kilogramowy miesięczny przydział pszenicy dla pracowników MTS, mieli na motorowym młynku poruszonym ropą przy warsztatach i mąkę wywozili do Petropawłowska, gdzie wymieniali ją na dobra doczesne — stałe i płynne: motocykle, ubrania od głodujących leningradczyków oraz skrzynie wódki. Kiedy te przestępstwa stały się zbyt widoczne i ktoś doniósł do prokuratury wojewódzkiej, jak wygląda działalność dyrektora MTS-u, przyszedł dla niego rozkaz stawienia się przed komisją wojskową. Wszyscy w MTS i w kołchozie odetchnęli. Kijanow stracił współnika do swoich oszustw i znęcania się nad ludźmi. Za udowodnione przestępstwa gospodarcze wysyłano wtedy na front. Ale radość była zbyt wczesna. Wołow pojechał w towarzystwie dobrze utuczonej kołchozowej świni — prezentu na drogę od przyjaciela — i ta mu załatwiła sprawę. Po dwóch tygodniach dyrektor powrócił, jeszcze bardziej pewny siebie i bezwzględny. On był w MTS bezpośrednim przełożonym męża Ady Alfonsowny i nad tym inteligentnym, wykształconym człowiekiem mógł teraz znęcać się bezkarnie, co też czynił z satysfakcją. Nie płacił mu prawie nic i tak, jak innym pracownikom — odbierał połowę przydziału pszenicy na własne potrzeby. Te 8 kg ziarna były niczym dla 3-osobowej rodziny Ady Alfonsowny. Ona pracowała też za nędzne wynagrodzenie. Zaczęli głodować od chwili, kiedy wymienili na żywność ostatnią zbędną sztukę ubrania. Nasza Mama nauczyła Lili dziergania swetrów. Ta biedna, blada, szczupła i chora dziewczyna czuła, jakim jest obciążeniem dla ciotki i wuja — i nic poradzić nie mogła. Dziergała te swetry, bladła, marzła i zamierała powoli, bez lekarstw i odpowiedniego odżywienia, aż w czasie wiosennych odwilży którejś nocy zasnęła na zawsze. Ada Alfonsowna przyszła spłakana i wyczerpana nocnym czuwaniem i tragedią śmierci do Mamy. Zjadła coś u nas, co było możliwe do zjedzenia, napiła się gorącej herbaty i poszły z Mamą do jej domu we wsi Sowieckoje. Tam umyły, ubrały i przygotowały Lili do ostatniej podróży, oraz przemodliły się przy niej całą noc. Ada Alfonsowna powtarzała, płacząc, za Mamą „Zdrowaś Maryja”, różaniec i „Anioł Pański”, przypominając sobie młotliwy swojego dzieciństwa. Pogrzb, jak zwykle w okresie zimy, był tym tragiczniejszy, że kopanie grobu w głęboko zamarzonej ziemi było ciężką, czasem wielotygodniową pracą. Nieszczęsna lekarka była od tej pory częstym naszym gościem. Przychodziła też czasem wieczorami, kiedy jej mąż, wpadający coraz bardziej w beznadziejną rozpacz, chodził w ciemności pod oświetlonymi oknami *sielsowietu*, gdzie odbywały się zebrania partii, na które

jego — starego komunisty — nikt nie zapraszał. To była jego największa tragedia.

Wiosną 1942 roku pracownicy wszystkich kolchozowych instytucji wyprawili się na tzw. *lesozagotówkę*, czyli piłowanie i rąbanie drzewa na opał na przyszłą zimę — do lasów w pobliżu Sopki. Pojechał też razem z nimi mąż Ady Alfonsowny. Przez kilka dni nie dowożono im jedzenia. Sybiracy mieli swoje konuszachty i kontakty z Kazachami ze wsi u stóp Sopki i zdobywali dla siebie jakieś jedzenie, ale inteligentowi nikt nie zaproponował nawet kęsa, a on był zbyt dumny, aby o to prosić i nie jadł przez trzy dni. Wtedy przywieziono im z *Mastozawodu* twaróg, który po 60 km podróży był skwaśniały. Inżynier rzucił się na ten nędzny posiłek i za parę godzin, ze strasznymi bólami brzucha, odjechał tą samą ciężarówką do Jawlenki do szpitala. Żona dowiedziała się o tym i przyjechała do Jawlenki w chwili, kiedy jej mąż umierał na stole operacyjnym po za późnym otworzeniu brzucha przy skręcie jelit. Odszedł od niej w takich okropnych warunkach i okolicznościach, o jakich oni oboje, żyjący dotąd we względnym sowieckim dobrobycie i na jakimś poziomie kulturalnym, nie mieli nawet najmniejszego wyobrażenia. Lekarka została zupełnie sama i wtedy przylgnęła bardzo do naszej rodziny. Po pewnym czasie chciała nawet... adoptować Terenię i obiecywała ją wykształcić, „bo jakaż ją czeka przyszłość z nami?” — W tym czasie kupiliśmy od niej kozę — Kizię ryżą, upartą, ze śmieszna, białą brodą i z ogromnymi, żółtymi, chytrymi oczami — i z małym rozkosznym, czarnobiałym koziołkiem Wasią. Kizia była już tylko kłopotem dla Ady Alfonsowny. Lili, której kozie mleko było potrzebne, już nie było — i nie miał kto Kizią i Wasię się zajmować. Myśmy przywiązywali je na długich sznurkach na ugorze poza domem. Wasia szalał po całym domu, wskakiwał na prycze, bódł nas i był naszą ukochaną, rozbawioną zabawką. Innymi gośćmi na tym terenie były dwie panie — Zofia i Idalia — córki właścicieli majątku pod Orszą, Polki, żony wyższych oficerów sowieckich, ewakuowane z Leningradu. Obie zbliżały się do lat pięćdziesięciu, były szczupłe, miały siwiejące włosy i niebieskie, wielkie oczy, delikatne rysy twarzy i ręce, oraz ruchy pełne wdzięku. Dla nas, otoczonych od paru lat prymitywnymi, ordynarnymi ludźmi, były zjawiskami z innego świata. Z nami mówiły po polsku, opowiadały nam o swoim dzieciństwie, młodości, o swoich rodzinach, przeżyciach w czasie rewolucji. Syn jednej z nich — Stanisław — był również oficerem i pisał z frontu listy do matki poprawną polszczyzną. Od nich mieliśmy trochę książek do czytania. One też nau-

czyły nas wiersza — parafrazy pięknego poematu Puszkina o bajkach:

U tukomoria dub zielonyj...

Ten śliczny i bardzo rosyjski wiersz doczekał się przeróbki leningradzkich intelektualistów — za którą, jak nam panie Zofia i Idalia mówiły — można było dostać „piętnastkę” od ręki:

*U tukomoria dub — srubili.
Złatuju cep' — w torksis sniesli.
Kota — na mięso izrubili,
A russkij duch — sośtali w Sołowki.
Rusałku — pasporta liszyli.
Podoch iz gołoda — Koszciej.
Bogatyriej — wsiech istriebili
I wywieli w razchod — zwieriej.
Na kurich nożkach — sup swarili.
W izbuszku — piat' siemiejstw wsielili,
A stupu s Baboju Jagoj
Utilizirował Prom-Stroj.
Gdzie miód i wino pili przedki —
Tam — Krasnaja Zwiezda gorit,
I ob itogach piatilietki
Sam Stalin — skazki goworit.*

Opowiadały także inne anegdoty i wydarzenia z życia inteligencji w Leningradzie — i jeden wniosek z tego można było wyciągnąć: że pod tym strasznym przymusem, pod wiecznym, obłędnym strachem, paralizującym ludzkie odruchy i poczynania — rozwija się bujne, niezależne życie intelektualne.

Panie Zofia i Idalia odnalazły adresy swoich przyjaciół w Jawlence, wkrótce tam wyjechały — i ślad ich straciliśmy na zawsze. Ich losy były dość typowe dla tych Polaków, którym rewolucja i układy graniczne Europy po pierwszej wojnie światowej odcięły możliwość mieszkania w Polsce. Rodzice i bracia tych pań zginęli w zawierusze rewolucji i one zostały same, młode, bez środków do życia. Wyszły za mąż za Rosjan-inteligentów, którzy w ciągu lat okazali się dla nich dobrzy i delikatni. Przy-

jechało też do naszej wsi kilka rodzin Niemców znad Wołgi, biednych, obarczonych dziećmi, zastraszonych i nieszczęsnych. Zbliżała się wiosna — trzeba było układać plany pracy na lato. Co pewien czas któryś z byłych więźniów wyjeżdżał do Polskiej Armii generała Andersa. Wszyscy przychodzili do nas pożegnać się i namawiali, żeby ktoś wybrał się razem z nimi. Wtedy mogła jechać tylko Marysia — była zdrowa i w odpowiednim wieku — ale wówczas rodzina pozostałaby w ciężkiej sytuacji: chora obłożnie Zosia, chory na ciężki bronchit Staś, i bardzo chora Alina... Przeszły więc wszystkie okazje — i Marysia została z Mamą i rodzeństwem. Zaczęły przychodzić listy od naszych znajomych z Polskiej Armii. Napisał kolega szkolny Lucek M., który nawet robił nadzieję, że może uda się mu nas tam ściągnąć. Napisał potem nauczyciel — młodszy kolega naszego Ojca, który Ojcu dużo w życiu zawdzięczał. W liście wspominał zasługi i szlachetność naszego Ojca, pisząc o Nim jak o bohaterze. Obiecał przysłać nam zaproszenie i oficera łącznikowego, który miałby nas bezpiecznie dowieźć na miejsce. Oszaleliśmy z radości! Natychmiast chcieliśmy likwidować dom! Sprzedawać futra, koce, zniszczone kołdry! Suszyć suchary na drogę! I już szykować się do wyjazdu. I znowu — jak zwykle — nasza trzeźwo myśląca Mama powstrzymała nas w tych zapędach. Powiedziała: „Poczekajcie. Jak przyjdzie już właściwy list — zaproszenie i przyjedzie ten oficer — wszystko zdążymy zorganizować. A co będzie, jeżeli nie przyjedzie?” — Myśmy byli źli i zawiedzeni, ale musieliśmy Mamie przyznać rację i ustąpić. Wkrótce przyszedł list, odwołujący wszystkie poprzednie obietnice, budzące nasze nieprzytomne nadzieje. Napisał nam ten pan, że dowiedział się od ludzi, którzy nas bardzo dobrze znali na Syberii, że nam się tak dobrze życie układa, że nawet... „futer nie sprzedajemy”, tak nam na wszystko wystarcza, że nie odczuwamy nędzy syberyjskiej, że wciąż są u nas goście i jest bardzo wesoło! Rzeczywiście — bywali goście! Wszyscy wracający więźniowie, Polacy po przydziału ubrań i żywności, po lekarstwa i na szczepienia. Każdej soboty nocował ktoś z Polaków, przychodzących na bazar. A ponieważ dom był pełen młodzieży — przychodziły też do nas „ładowniczkii” pszenicy — Hela, Marta, Marysia i inne młode dziewczyny, mieszkające w Korniejewce. Przychodziły też młode gospodynie spod Nieświeża i Baranowicz — Białorusinki, porozmawiać z Mamą i poradzić się czasem w sprawie zdrowia dzieci lub uszycia czegoś z ubrania. Często wieczorem dom nasz rozbrzmiewał rozmowami, a nawet śmiechem i piosenkami! W okresie świąt Bożego Narodzenia śpiewaliśmy kolędy i „patriotyczne” piosenki!

Rozpacz, jaka nas opanowała po tym liście, odwołującym zaproszenie, nie da się z niczym porównać! Za parę tygodni przyszedł list od Lucka M., który pisał, że najbliższe okolice obozów Polskiej Armii zmieniły się najpierw w obozowisko umiających z głodu polskich zesłańców, którzy przyjechali tam na własną rękę z nadzieją ocalenia i odnalezienia bliskich, a znaleźli głód, nędzę i tyfus, który zdziesiątkował to nieszczęsne zbiorowisko i zamienił ich obozy w olbrzymie cmentarze bezimiennych grobów — i że on, Lucek, nie wyobraża sobie widoku kogokolwiek z nas z miską, żebrzącego o trochę zupy z żołnierskiej menażki! Te wiadomości o nas i o naszym „dobrobycie” wywołały z Korniejewki rodzina naszych znajomych. Mieszkały one w sąsiednim domu — matka i trzy córki. Dwie stare babcie — matka i teściowa — zmarły w czasie pierwszej, okrutnej zimy. Pani była obrotna, miała dużo atrakcyjnych rzeczy, przywiezionych z domu pierwszego roku, kiedy kraj nie był jeszcze tak ogołocony z żywności, udawały jej się korzystne wymiany — i miała nam za złe, że chodzimy do pracy w kołchozie. Potem przyjechał po żonę i córki ich ojciec, dobry znajomy naszych Rodziców, który po szczęśliwym wyjściu z obozu wstąpił do Polskiej Armii. Odwiedził nawet Mamę, był pełen kurtuazji i serdeczności, obiecał starać się o sprowadzenie całej naszej ósemki (w tym — wtedy — trzy obłożnie chore osoby) na południe. — I potem przysły te listy!

Następna nadzieja wyjazdu też okazała się zwodnicza! Odnaleźli się na terenie Związku Sowieckiego i wstąpili do Polskiej Armii koledzy męża pani Stasi — oficera z pułku ułanów z naszego miasta. Pani Stasia otrzymała od nich zaproszenie i szykowała się — wraz z Rysiem i teściową — do podróży na południe. Cały czas — od śmierci córeczki — bardzo przyjaźniła się z nami, a zwłaszcza z Aliną, która — ile razy mogła — wrywała się do Jawlenki, aby pobyć z nią i z Rysiem. Od chwili rozpoczęcia organizowania się Armii Polskiej — pani Stasia obiecywała Alinie, że ją zabierze ze sobą, jak tylko wyruszy. Liczyliśmy na to, że Alina rozejrzy się w sytuacji i sama zadecyduje, czy rozpocząć starania o zabranie nas, czy też nie. Pani Stasia zawiadomiła nas, że przyszło do niej zaproszenie, że szykuje się do drogi i wobec tego prosi o szybki przyjazd Aliny. Spakowaliśmy więc jej niezbędne rzeczy i trochę sucharów na drogę — i zabierając ze sobą nasze nadzieje — pojechaliśmy do Jawlenki. Ale — kiedy już przyjechał po panią Stasię oficer łącznikowy — ona, wraz ze swoją rodziną — zabrała jakąś samotną Polkę z Jawlenki. Alina — załamana i zrozpaczona — wróciła do domu, — do

Korniejewki. A więc zostaliśmy. I trzeba było żyć dalej. Jak bardzo nasza Mama miała rację.

Tej wiosny głód już bardzo dawał się ludziom we znaki. Kiedy tylko śnieg trochę stopniał i odsunął się od domów, a gorące słońce wysuszyło piasek pod ścianami — z domów wypęzły na słońce i powietrze nagie zmory, przypominające dzieci: chude, z wydętymi brzuchami, wystającymi żebrami, na chudych nóżkach, z ciałami pociętymi przez insekty, ze starczymi twarzami w fioletowo-białe plamy, z zapadniętymi oczami, z których przeziarała beznadzieja i apatia. Te sowieckie dzieci z Korniejewki, z 1942 roku, w niczym nie przypominały dobrze odżywionych, wesołych, roześmianych i szczęśliwych twarzyczek sowieckich pionierów z okładki poświęconego im numeru *Płomyka*, wydanego przez Związek Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w 1938 roku, który to numer wprawił naszą Mamę w taki gniew, że wypisała się z tego Związku, posyłając do zarządu list pełen wyrazów oburzenia, ze zwróconą legitymacją związkową. Te nieszczęsne zmory grzały się teraz na słońcu — i powoli oczy ich nabierały blasku i wracało w nie życie.

Wszyscy głodowali strasznie. Nasze różnorodne prace przynosiły zaledwie część potrzebnych na przeżycie produktów — a przed nami była wiosna i jeszcze całe lato do żniw i do młodych kartofli! — Kiedy jeszcze śnieg leżał miejscami, ziemia była rozmiękła i grząska — kobiety ze wsi wybrały się na pola... zbierać kłosa, pozostałe po zeszłorocznych żniwach. Kłosa te leżały tu i tam w roztopionym śniegu. Krwawa to była, zaiste, praca, nabieranie worka mokrej słomy z odrobiną ziarna! Kilka dni trwały te wyprawy, kiedy dowiedział się o nich Kijanow. W długich butach, z pejczem, przyjechał konno na pole, wyszarpał worki z kłosami z rąk kobiet, wśród których były żony żołnierzy walczących na froncie — wysypał i rozrzucił po błocie zebrane kłosa i przepędził po nich konia, a kobiety, które udało mu się dogonić — zbił pejczem i krzychał: „Do roboty w kołchozie! Szykować siewy! Armia walczy z wrogiem, żołnierze na chleb czekają, a wy tu czas kołchozowy tracicie!” — Nielicznym tylko — w tej liczbie Jasi i Marysi — udało się uniknąć spotkania z „groźnym władcą”. Przyniosły te nieszczęsne kłosa do domu. Trzeba je było rozłożyć na dachu i wysuszyć na wietrze. Potem wymłócić w worku kijem. Wybrać z kłosów palcami resztę ziarna. Oczyścić ze słomy i plew, wysuszyć ponownie, odwiać na wietrze — i wyszła z tego worka kłosów mała miska ziarna! — Ale i to zmełło się na żarnach i zjadło w postaci klusek na mleku.

Zaczęła się wiosna, wiatry i słońce wysuszyły ziemię — ruszyły prace w polu i w ogrodach — rozpoczęło się sadzenie ziemniaków. Część rodziny znowu mogła przeżyć się i zarobić. 15-letni Staś po wyzdrowieniu poszedł do pracy do *Mosłozawodu*, gdzie był parobkiem do koni i osobistym woźnicą dyrektora. Dostawał pajok, czyli przydział 10 kg pszenicy miesięcznie, kilkanaście rubli i przynosił do domu maślanke. „Zaprawił się” wtedy w kradzieżach na większą skalę, gdyż dyrektor wysyłał go z beczkami lub skrzynkami masła do swoich prywatnych odbiorców w Jawlence lub nawet w Petropawłowsku. Marysia piłowała drzewo w *Mosłozawodzie* i nawet wyprawiła się raz na *lesozagotówkę*, ale jedyną korzyścią z tej wyprawy było to, że pobyla w prawdziwym, wielkim lesie, odetchnęła leśnym powietrzem, zobaczyła inne rośliny i Sopkę z innej strony. Do lasu jeździło się przez wieś kazachską — Bułak, odległą od Korniejewki o 30 km. Do tej wsi poszły kiedyś Alina z Marysią w celu wymiany jakichś resztek ubrań na pszenicę. Miały też duży, błyszczący budzik z dzwonkiem, który tu był obiektem szczególnego zainteresowania i udało im się korzystnie go wymienić. Znalazły dom ich znajomego handlarza drzewem, Każestaja, i zostały tam zaproszone na *czaj* z całym ceremoniałem, tylko nie w jurcie, lecz w zimowym domu. Wchodziło się do niego ze *dworu*, przykrytego dachem i ogrodzonego plecionką z gałęzi. Dom miał ściany z samanu, zwykle jedno lub dwa okna i drewnianą podłogę, wzniesioną o pół metra nad poziom ziemi. Przy drzwiach była zostawiona kwadratowa przestrzeń bez podłogi — o powierzchni około 1 m², w której stał cielak, zostawiało się w niej buty przed wejściem na poziom podłogi i wysadzano do niej niemowlęta.

W tej wsi Alina i Marysia spotkały rodzinę polskiego powstańca z 1863 roku, zesłanego na Syberię. Mieszkał tu jego syn, Jan Lebedziński, z żoną Rosjanką, Olgą. Oboje starsi już, sympatyczni ludzie, mieli dwóch synów na wojnie i żyli tylko myślą o ich powrocie. Lebedziński mówił pacierz po polsku, miał rózaniec swego ojca i na ścianie — zniszczony i pociemniały — wisił obraz Matki Boskiej z Kalwarii Zebrzydowskiej. Lebedzińscy zatrzymali Alinę i Marysię na noc i wymienili wełnianą, utkaną przez Mamę chustkę, na pszenicę. Gospodyni rano na śniadanie podała prawdziwe rosyjskie bliny ze śmietaną i potrawę z jaj, mleka i mąki, zapiekaną w piecu, w dużym, zielonym... nocniku. Garnki były tu rzadkością, a nocniki w kołchozowym sklepie zdarzały się częściej. Lebedziński, mieszkający od lat między Kazachami, opowiedział siostronom historię „osiedlenia” tych koczowniczych plemion przez władzę sowiecką. Kazachowie

— dawniej po prostu Kirgizi — byli bardzo bogaci, całe lato i ciepłe jesienie spędzali na stepie wraz ze swoimi rodzinami, wędrując ze swoimi niezliczonymi stadami owiec, krów, koni i wielbłądów po pustych, bujnych stepach Azji, w poszukiwaniu pastwisk. Kiedy kazano im osiąść i oddać bydło państwu sowieckiemu — na znak protestu bydło wyrznęli. Zjedli, ile zjeść byli w stanie — reszta się zmarnowała. Zaczęły ich dziesiątkować choroby i głód. Władza sowiecka czekała. Ci, co przeżyli — nie mieli wyjścia: osiedli na stałe w swoich zimowiskach. Na lato jedynie przenoszą się do jurt, w których można zobaczyć resztki dawnych bogactw: wspaniałe, grube, haftowane wojski, piękne srebrne i porcelanowe naczynia, misternej roboty srebrne pierścienie, zausznice i bransolety na rękach i w uszach szczupłych, milczących, delikatnych kobiet. Jadący z drzewem i kradzioną pszenicą do Korniejewki Każestaj, który uważał się za naszego przyjaciela — *tamara*, zabrał nas i nasze tobołki na wózek. Jadąc i idąc obok wozu do domu, mijaliśmy po drodze wtapiające się już w ziemię ślady zimowych wsi kazachskich, opuszczonych przez wymarłych mieszkańców. Dawały one pojęcie o rozmiarach kwitnącego tu niegdyś życia. Teraz — obłe, rozmyte przez deszcze i roztopy pagórki — resztki domów przy drodze — robiły wrażenie rozległych cmentarzysk. Rezultaty takich wypraw w poszukiwaniu żywności nie wystarczały na długo. Wiosną wysypano pszenicę ze spichrzów kołchozowych na ubitą i wymiecioną ziemię, żeby po zimie przeschnęła i wywietrzała. Trzeba było odpędzać od niej wrony, kury i wygłodniałe dzieci. Pilnował jej Kola Nitz, chodziły też pilnować na zmianę Alina, Jasia i Marysia. Zawsze kilka garstek można było ukryć w ubraniach, a potem zemleć na żarnach. Praca była lekka, nudna, ale... korzystna z tego punktu widzenia. Miała jeszcze jedną atrakcję: rozmowy z Kola Nitzem. Był to nieszczęśliwy i zupełnie zagubiony chłopak. Rosjanin z przekonań i wychowania, prawosławny, ochrzczony w cerkwi, nie umiejący mówić po niemiecku, członek Komsomołu, bohater — ochotnik wojny fińskiej — nagle dowiaduje się, że jest wrogiem, potencjalnym zdrajcą, zagrażającym potężnej ojczyźnie! Ze względu na to „zagrożenie” Nitzowie wyrwani zostali brutalnie ze środowiska, ze szkoły, z pracy i wywiezieni w odrażające warunki, bez żadnej nadziei i możliwości nauki i znalezienia odpowiedniego zajęcia. Ojciec zatrudniony został w MTS jako ślusarz, matka — tak jak my — chodziła „na wyrobek” do ludzi. Lotta, pierwsza uczennica w klasie w Odessie — chodziła robić kiziak i kopać kartofle. Kola był stróżem. — *Skazicie mnie, pożałujcie, kto to był Kopiernik? Eto*

ruskiej człowiek? — pytał Kola, siedząc na przymie pszenicy w noc księżycową. I zaczynały się nie kończące się pytania z różnych dziedzin, świadczące o bardzo ubogim, niedokładnym i jednostronnym wykształceniu tego sowieckiego „maturzysty”. Podczas tych nieskomplikowanych zajęć wertował stale stalinowską konstytucję, wyszukując w niej rozdziały, określające obowiązki i uprawnienia narodowości nierosyjskich w Sowietach i porównując je z tym, co ich spotkało. W końcu — jednej nocy zapytał: — *Słuszaj, Marusia, skazi mnie, pożałujcie, jak ty dumajesz — Gitler — eto bolszoj człowiek i wielikij geroj?* Biedny Kola — kiedy mu się zaważył jeden świat jego ideałów, którym wierzył bez zastrzeżeń — natychmiast musiał znaleźć sobie drugi!

Wciąż byliśmy głodni! Uczucie głodu było dominujące i spychało na dalszy plan wszystkie inne odczucia i potrzeby. Bywały takie niedziele, kiedy nikt z nas nie szedł do pracy w pole ani do ludzi i na cały dzień musiała nam wystarczyć miska zielonego groszku w strączkach, przyniesiona przez kogoś za jakąś robotę. Albo po pięć kartofli w mundurkach „na głowę” i po pół litra maślanki. Dostaliśmy propozycję pasienia świń w kołchozie. Pasłyśmy je we trzy na zmianę: Jasia, Alina i Marysia, zaganiając je do jeziora do pojenia i do mycia, potem do kopców lub na trawę — „Ca! Ca!” — krzyczało się na nie i straszło grubym kijem. Początkowo bałyśmy się starych macior i knurów o złośliwym wyrazie ryja, potem przyzwyczailiśmy się do siebie wzajemnie i dorosłe świny były nawet posłuszne. Najgorsze były małe prosiaki, bardzo ładne i miłe, ale szalenie niezdiscyplinowane: uciekały na wszystkie strony, przebierając bardzo szybko małymi raciczkami i utrudniając zagonienie stadka w jedno miejsce. Asystowanie i pomoc przy karmieniu świń stwarzała okazję do podebrania świńiom kilku garści pośladu z prosa. Był to ostatni gatunek pośladu — plewy z domieszką zepsutych i drobnych ziaren oraz nawozu ptasiego, gdyż w magazynach pełno było wróbli, ale i to było dla nas wtedy dobre! Meśliśmy to na żarnach, Alina „rozczylniała” z tego ciasto z drożdżami własnej produkcji i piekła z tego placki, które cuchnęły niezachęcająco, ale oszukiwały głód, popijane barszczem z lebiody lub młodych pokrzyw, zabielanym serwatką lub maślanką. Po skończeniu letniego sezonu Jasia przyniosła małego prosiaczka w nagrodę za dobrą pracę. Ile było radości! On nam uciekał dookoła domu pomiędzy sterty kiziaku, który pozwoliliśmy jako zapłatę za robotę. Bawił się „w chowanego” z koziołkiem Wasią. Latem mieszkał w zagrodzie, zrobionej dla niego w sieni, na zimę wprowadziliśmy naszą „żywiolę” do kuchni, gdzie za piecem zrobili-

my dla nich przegródkę, wymoszczoną słomą. Potem, kiedy pod-
rósł, przychodził nam do ręki na wołanie: „maluś, maluśki”.
Szczególnie lubił Mamę i Alinę. Zupełnie nie mogliśmy sobie
wyobrazić, że będziemy go musieli... zjeść! Jasia i Marysia cho-
dziły do wszystkich robót polnych. Bronowanie na krowach
było zajęciem, którego nie lubiły najbardziej! Nieszczęsne kro-
winy kołchoźników, nieprzyzwyczajone do jarzma, uciekały w
szalonych podskokach i złowienie takiej zwariowanej krasuli było
zupełnym nieprawdopodobieństwem! A krowy musiały wyrobić
swoje „trudo-dni”, dać mleko gospodarzom i na obowiązkowe
dostawy — i jeszcze nakosić dla siebie siana na zimę zaprzężone
do sianokoski, zwieźć siano do domu, zaorać gospodyni ogród...
Jeżeli krowa była cielna — gospodynie zaprzęgały się same po
dwie do pług, a trzecia tym pługiem kierowała... Tak w nocy
księżycowe orały kobiety swoje ogrody! Lżejsza to była
praca niż kopanie całego ogrodu łopata. Ziemia była urodzajna
i wszystko w ogrodach pięknie rosło: ogórki, pomidory, cebula,
marchew, kartofle — wszystko sadzone, pielone i podlewane
głównie nocami, bo w dzień wszystkie godziny należały do koł-
chozu. Trzeba było na czas zaorać, zasiać, posadzić, podlać, opleć,
okopać, zebrać. Mężczyzn nie było — wszystkie prace wykony-
wały same kobiety i chłopcy do lat czternastu, gdyż czternasto-
latków zabierano do fabryk broni. Sianokosy i żniwa odbywały
się nawet w nocy księżycowe — a i to latem 1942 roku nie
zdążono zebrać z pola najpiękniejszej pszenicy za jeziorem i ko-
szono ją... dopiero na wiosnę. Pomimo ciężkiej pracy — ludzie
w kołchozach głodowali. Nic im nie płacono za przepracowane
„trudo-dni”, w polowych brygadach karmiono nędźnie — da-
wano wodnistą zupę i po kromce niedobrego chleba, pieczonego
z różnymi domieszkami — a pracować trzeba było — ziemia nie
mogła leżeć odłogiem i musiała wydawać plony. Kraj sowiecki
— wraz z innymi narodami — walczył z Niemcami i ponosił
ofiary w śmiertelnych zmaganiach z niedawnym współnikiem i
przyjacielem. Poszli na front wszyscy mężczyźni zdolni do no-
szenia broni. Wszystkie kołchozy, fabryki i miasta nastawione
były wyłącznie na produkowanie żywności, broni i ubrań dla żoł-
nierzy. Pomoc aliantów od 1941 roku ukazała się tutaj w postaci
amerykańskich samochodów ciężarowych, przyjeżdżających po
ziarno do kołchozów. W urodzajnym jak Ukraina Kazachstanie
głód nękał ludzi. 15-letni Staś i 11-letni Antek całe lato spędzali
w brygadach polowych przyjeżdżając tylko na niedzielę do domu
— umyć się, przebrać, odpocząć, zjeść i jechać znowu. Staś był
szeroko znanym specjalistą od reperowania mniej skomplikowa-

nych maszyn żniwnych i stary kowal Konnow, nasz sąsiad, z na-
prawami maszyn czekał do soboty na przyjazd Stasia do domu.
Zabierali go też na polu w razie potrzeby do doraźnych repera-
cji. Trzeba mu było na sobotę przygotować coś do jedzenia —
a tu, poza plackami ze „świńskiego pośladu”, nie było nic. Wte-
dy rozpoczęliśmy polowania na gęsi na wielką skalę. Między
wsią i jeziorem był kawałek terenu zarośnięty burzanami i twar-
dą trawą, pocięty wąwozami, schodzącymi do jeziora. W tych
wąwozach lubiły przesiadywać całymi stadkami gęsi, należące do
kołchozu i do bogatszych gospodarzy. One były obiektem na-
szych wypraw myśliwskich. Kiedy już zupełnie nie mieliśmy nic
do jedzenia, ktoś z nas wyprawiał się do wąwozu i zbierając
patyki i suchą trzcinę na opał do nieodłącznej *a-woški* upatrywał
sobie jakąś ofiarę. Krótki skok, rzut workiem, szybki ruch skrę-
cający — i piękny okaz był już w worku. W połączeniu z pod-
kopywanymi nocą młodymi kartoflami na kołchozowych polach
stanowiło to wcale znośny posiłek dla naszej 8-osobowej rodziny.
Trzeba było jakoś od głodu się ratować. Kawałek mięsa, porcja
kartofli, czekały wtedy na Stasia i Antka, kiedy przyjeżdżali
z pola. Pióra z tych gęsi zbieraliśmy skrzętnie. Czasami Mama
za szycie dostawała jakiegoś ptaka, tak, że piernacik dla Aliny,
który Mama uszyła i napełniła piórami, zawierał 1/3 piór zdo-
bytych „drogą legalną”. Wyprawy po kartofle w nocy bezksięży-
cowe były bardzo ryzykowne, ale w okresach głodu nieodzowne.
Zwykle chodziły Marysia z Jasią. Czasem dołączała do nich Te-
renia. Szły szybko, przemykając się pod domami. Pola kartof-
lane były niedaleko, zapadało się od razu w bruzdy i dookoła
widziało się szybko poruszające się krzewy kartoflane: pół wsi
„pracowało” na nocną zmianę. Chyłkiem wracało się do domu
ze zdobyczą i z bijącym sercem. Były to niebezpieczne wyprawy,
gdyż po polach jeździli stróże i za udowodnionej kradzieży mienia
kołchozowego groziły trzy lata łagru. Była to przedziwna gra:
ludzie pracowali na polach i w fermach hodowlanych, władze
kołchozu nie płaciły im nic za pracę, gdyż wszystkie plony szły
na dostawy obowiązkowe. Logicznie rozumując — wszyscy po-
winni byli umrzeć z głodu. Tymczasem żyli! I np. władze koł-
chozu całkiem nie najgorzej — gdyż na zaspokojenie swoich ży-
ciowych potrzeb wszyscy po prostu kradli swoje własne, wyho-
dowane przez siebie i wypracowane produkty. I wszyscy o tym
wiedzieli. W świetle prawa było to nielegalne — ale w tej sytua-
cji było nieuniknione — i gra polegała na tym, żeby kraść w
miarę, zależnie od potrzeb i wzajemnie przymykać oczy na istnie-
jące fakty. Nasza Mama rano obierała te kartofle przyniesione

przez nas z nocnych wypraw i oblewała je łzami, że jemy „kradzione” i że ten niecny proceder wejdzie nam w krew. Nam było wszystko jedno: pracowaliśmy ciężko i mieliśmy wciąż puste żołądki. Któregoś ranka wreszcie Mama też zapragnęła „przyczynić się” do nakarmienia rodziny czymś konkretnym. Przed drzwiami naszego domu był mały pagóreczek, porośnięty trawą i niskimi piołunami — cel częstych spacerów pary dorodnych gęsi-indywidualistek, należących do licznej stada gęsi rodziny kowala Konnowa. Te dwie gęsi codziennie pasły się od wczesnego rana przed naszymi drzwiami i stanowiły pokusę nie lada. Mama czyściła malutkie jeszcze, młode kartofle przyniesione z nocnej wyprawy i rozmyślała, z czym nam je przygotuje. I wtedy jedna z tych gęsi, bardzo już z nami oswojona, zwabiona widokiem małych kartofelków, wtoczyła się na swoich pomarańczowych nogach do sieni, wprost pod Mamy ręce! Mama zamknęła drzwi i drżącymi z emocji i zdenerwowania rękami złapała i oprawiła gęś. Póki myśmy wstali — gęś była poćwiartowana, posolona i ułożona w garnku, pióra sprzątnięte i schowane, ale... jej towarzyszka pchała się wciąż z głośnym gęganiami do naszej sieni. Mama odpędzała ją kamieniami i krzykiem — daremnie! Ta nieszczęсна sierota szła wciąż szukać swojej pary. W końcu, rozżalona, pokołysała się do domu, pokrzykując, w porze karmienia drobiu. Wróciła potem — razem z gospodynią, która weszła do nas i zaczęła szukać śladów. Obeszła dom dookoła, zajrzała do stert kizjaku, obejrzała nasze parotygodniowe kurczaki — bo Mama posadziła zarobioną kurę na jajach i „wyprowadziły” 16 kurcząt — i pytała, pytała — co też się stało z drugą gęsią! Myśmy zabronili Mamie z nią rozmawiać i odpowiadaliśmy, że owszem, codziennie przychodziły dwie gęsi, a dziś przyszła jedna i nawet byliśmy zdziwieni. Ona jednak obserwowała nasz dom przez parę dni. Mięso, posolone, włożone do garnka, zostało schowane do sterty cegieł, które — wcześniej zrobione przez Marysię i Jasię nad jeziorem, wysuszone i zwiezione, czekały w naszej sieni na wymurowanie z nich zamówionego pieca. Ale ileż czasu można latem trzymać mięso! Zresztą byliśmy głodni. Staś miał przyjechać z pola na drugi dzień i musiał coś dostać do jedzenia. Więc zaryzykowaliśmy. Wielką pomocą okazał się — iście prometejski w tych warunkach — wynalazek zapatek. Fabrycznych zapatek nie było od dawna i cała wieś rozpaliała rano ogień od żaru przechowywanego w piecu. Kto nie miał swojego żaru, biegał po wsi z garnkiem i leciał potem do domu ze zdobytą iskierką, ale jeżeli żaru było mało lub tylko ze słomy — póki doniosło się do domu, żarł gasnął i od nowa

trzeba było biegać. Myśmy mieli w sąsiedztwie kuźnię, gdzie był żar węglowy — więc trwały. Ale i z tego trudno było rozpaść ogień. Często Staś krzesał ogień przy pomocy krzesiwa. W tym czasie ktoś z gości bazarowych przekazał nam ów wspaniały wynalazek: cięto się lada jaki kawałek drzewa na cienkie patyczki i maczało się ich końce w roztopionej siarce. Zasychało to błyskawicznie; potem wystarczyło dotknąć tę siarkę do iskierki żaru — nawet słomianego — żeby siarka zapaliła się błękitnym płomykiem, od którego patyczek zajmował się ogniem. Skończyły się krzesania ognia i bieganie po żar! Ta produkcja zapatek miała jedną wadę: siarka okropnie cuchnęła na wielką odległość. Teraz wykorzystaliśmy tę jej właściwość: silny odór siarki zabił zupełnie wspaniały zapach duszonego gęsiniego mięska i mogliśmy bezkarnie szykować obiad. Nawet podejrzliwa Konnowa nic nie mogła wyczuć. Tego dnia napełniliśmy wygłodzone żołądki dobrym obiadem. — Wieczorem przyjechał Staś z pola z jakąś zniwiarą do kuźni, zakurzony, zmęczony i głodny jak wilk. Stary Konnow przywitał go słowami: *A wsio taki waszi gusia sjeli!* — W zgłodniałej głowie Stasia zaświtała nadzieja, że czeka go porcja mięsa, ale krzyknął na Konnowa ze złością: „Co ty, stary, sobie wyobrażasz! Dlaczego rzucasz oskarżenia na niewinnych ludzi? wiesz przecież, że cała nasza rodzina pracuje, Mama dostaje czasem gęsi za szycie. Jakie masz prawo tak do mnie, zmęczonego, mówić?” — I przybiegł do domu, gdzie dostał swoją porcję gęsin z gorącymi kartoflami. Ale takie „święto” zdarzało się nieczęsto! Zwykle były cuchnące placki z otrąb czy z pośladu i kubek tzw. „herbaty”, czyli zaparzonej gorącą wodą kulek, ukreconych z gotowanych i utartych łupin kartoflanych, zagniecionych z otrębami i przypalonych w piecu u sąsiadek. Ten napój miał brunatny kolor i lekki smak przypalenizny, co bardzo przydatne i obdarzonemu wspaniałą pamięcią człowiekowi mogło z lekka przypominać drugie lub trzecie parzenie kawy zbożowej „Enrilo”. Czasem do popicia placków było mleko lub maślanka.

Historia z gęsią miała nieoczekiwane zakończenie: Marysia pracowała tego lata przy odnowieniu budynku *sielsowietu*. Trzeba było udłupać odmokniętą po zimie glinę od ścian, zamiesić samanu, polepić nim dziury, po wyschnięciu — polepić drugi raz gliną zmieszaną z wodą, piaskiem i nawozem końskim i po powtórnym wyschnięciu — wybielić białą gliną. Wymyć okna, drzwi i sprzęty. Robota była zrobiona czysto i dokładnie. W parę tygodni po historii z gęsią Marysia zgłosiła się po odbiór dwudziestu kilku rubli za wielodniową, niewdzięczną i żmudną pracę przy remoncie budynku. Sekretarką w *sielsowiecie* była Marusia

Konnowa. Marysia siedziała na ławce i czekała, aż Konnowa będzie mogła z nią rozmawiać, i przysłuchiwała się sprawom toczącym się w gminie. Właśnie weszły trzy kobiety — dwie miejscowe gospodynie przyprowadziły przesiedloną znad Wołgi Niemkę — chudą, wystraszoną blondynkę. Obie Rosjanki krzycząc i poszturchując Niemkę, oskarżały ją przed Konnową o kradzież gęsi. Niemka broniła się rozpaczliwie, źle mówiąc po rosyjsku i nie mogła obronić się przed zarzutami, wciąż powtarzając, że ona i jej pięcioro dzieci giną z głodu, że nie mają co jeść i że nie ukradła. Na to Konnowa: „Słuchajcie, ciotka, coś jednak jest w tym, że was oskarżają. Popatrzcie (tu wskazała oczekującą Marysię) — ci Polacy stanowią dużą rodzinę — osiem osób — z których jedna jest stale chora, są uczciwi, chodzą do pracy i nikt ich nigdy nie oskarża o kradzieże. Weźcie starsze dzieci ze sobą, zacznijcie pracować — i też coś zarobicie i przeżyjecie”. — Marysię brzuch bolał od wstrzymywanego śmiechu, ale dzielnie zniosła tę „ogniową próbę”. Taki był finał gęsiej historii! — Długo jeszcze nie mogliśmy darować naszej Mamie, że nabawiła nas kłopotów, nie łowiąc od razu dwóch gęsi. I śpiewaliśmy o Mamie piosenkę:

*Niewinne gąski dwie
na górze pasły się,
a już Mama — przechera
łakomie je obziera...
gę, gę, gę, gę, gę, gę...*

Tego lata Marysia pracowała przez kilka tygodni jako murarz w MTS. Najpierw zrobiła 500 cegieł z piasku nad jeziorem i w czasie tej pracy oglądała „malownicze” sceny. Kobiety ze wsi chodziły z praniem do jeziora, pełnego miękkiej, nagrzonej przez słońce wody. Wchodziły po kolana, podwijały spódnice i stojąc pochylone — były kijankami mokre ręczniki, derki i ubrania. Ponieważ nie nosiły majtek — widok od strony wsi na te pochylone kobiety był nader interesujący. I oto przyjechał z Tarangułu listonosz, który codziennie linijką zaprzęgoną w konia przywoził pocztę do urzędu w Korniejewce. Było gorąco i listonosz po przejechaniu 20 km zakurzonej drogi marzył o kąpielu i o splawieniu konia. Podjechał więc do jeziora, rozebrał się „do skóry” i na koniu tylko i w czapce wskoczył do jeziora pomiędzy ten szereg babskich odwłoków. Co się działo — trudno opisać: baby, stęsknione za widokiem mężczyzn, przewracały się przez

konia i jeźdźca, zanosiły się od śmiechu, bełcząc się w wodzie i łapiąc rozpluwające się pranie — śmiech, piski, przekleństwa, grube żarty mieszały się i rozlegały nad wodą długo jeszcze po odjeździe „bohatera”.

Cegły wyschły, należało je teraz zwieźć do odległego o trzy kilometry MTS. Marysia objęła w posiadanie pojazd konny. Była to płaska, dość szeroka skrzynia, ułożona na wózku o czterech kołach i z dwoma dyszlami. Koń był stary, ślepy na jedno oko, z niegojącą się jaszwą na lewym boku, tak umiejscowioną, że zakładana uprząż bardzo go drażniła. Marysia dzielnie go zaprzęgała i w ciągu kilku dni zwiózła cegły na miejsce. Po skończonej pracy przyjeżdżała (przyczłapywała) do domu, z nogą wystawioną z „bryczki” za przykładem zootechnika z Poputni — i podjeżdżając do domu — rzuciła niedbale lejce pochylonej w ukłonie Alinie, która ją pytała: „co pani dyrektor rozkaże na obiad?” — Po „obiedzie” wracała do pracy, i zdarzało się, że kiedy jechała na becze z wodą z jeziora do MTS (musiała oprócz cegieł przywieźć sobie piasku, wody, gliny i nawozu końskiego), koń zatrzymywał się nagle na środku placu i żadne prośby, krzyki, bicia, ciągnięcia, groźby, głaskania — nie mogły tego stworzenia ruszyć z miejsca. Wtedy przychodził 11-letni Antek, wracający ze szkoły — i jednym ruchem ręki i jednym odpowiednio dobranym słowem — uruchamiał uparte bydlę! Często już wtedy wiózł ten ostatni transport materiałów z Marysią, odwozili wózek i konia do stajni, dawali mu jeść, opatrywali ranę i razem wracali do domu. Kiedy materiały budowlane zostały zwiezione, Marysia przystąpiła do budowy dwóch zamówionych pieców. Jeden — było to wielkie, kwadratowe palenisko z wmurowanym nad nim kotłem o wielkości ok. 1 m sześciennego do wygotowywania i regeneracji chłodnic z kombajnów. Była to ciężka i męcząca praca: palenisko i mury pieca musiały być mocne, aby utrzymały ciężar kotła, wody i chłodnic, musiał być dobry „ciąg” w piecu i w kominie, żeby ogień obejmował największą powierzchnię kotła. Praca ta zajęła Marysi 10 dni — ale piec się udał. Ustawiony i obmurowany kocioł przeszedł próbę ogniową i uzyskał aprobatę zainteresowanych specjalistów. Następny piec był mniejszy i łatwiejszy do wykonania. Był podobny do „typowych” pieców, budowanych przez Marysię w domach u ludzi — płyta żeliwna z paleniskiem, rusztem i drzwiczkami, ścianką ogrzewczą i kominem na dachu. Piec ten budowała Marysia w ślusarni, gdzie pracował sympatyczny i małomówny ślusarz Sawicki. Początkowo odnosił się do Marysi z nieufnością i lekceważeniem. Potem, kiedy obejrzał obudowany

kociot i przypatrzył się powstawaniu pieca w swoim warsztacie, zmienił się jego stosunek do „zduna” i nawet przynosił Marysi pomidory z własnego ogródka. Ponieważ do domu było daleko, Marysia brała ze sobą kawałek placka, pomidor i nie chodziła w przerwie południowej do domu, żeby prędzej skończyć pracę. Sawicki mieszkał w *Kitaj-gorodkie*, czyli w jednej z ziemianek osiedla robotników w pobliżu warsztatów MTS, wychodził więc na godzinę do domu. W czasie jego nieobecności Marysia codziennie odlewała dwie ćwierćlitrowe buteleczki z pojemnika z *kierosinem* do prymusa. W ten sposób nazbierała *kierosinu* do kopciłki na całą zimę i zapobiegła wyprawom na „dojenie traktorów”, co było bardzo niebezpiecznym procederem, ale stanowiło jedyną możliwość zaopatrzenia się w paliwo do tej mizernej lampki. Inną — legalną — zapłatą za jej półtoramiesięczną, ciężką pracę było: 90 rubli, 9 małych kawałków cuchnącego, ciemnego mydła i paczka zapalek. Mydło było skarbem nie lada, gdyż od półtora roku używaliśmy do prania i mycia się wyłącznie ługu z popiołu ze spalonego piołunu.

Pod koniec lata dowiedzieliśmy się, że Polskie Wojsko pod dowództwem gen. Andersa wychodzi do Iranu! Że wydobyto na jaw sprawę Katynia, że gen. Sikorski zażądał zwołania międzynarodowej komisji wyjaśnień! Zaczęły się napaści na Polaków w gazetach. Zlikwidowano Polską Ambasadę oraz instytucję terenowych „mężów zaufania”. Resztki przydziałów z pomocy alianckiej rozdzielały pomiędzy Polaków nowopowołane komitety, złożone głównie z Białorusinów.

Wraz z wyjściem Polskiego Wojska ze Związku Sowieckiego przepadły nasze nadzieje na zabranie się z nim i na odnalezienie Ojca! Zostawaliśmy na Syberii! Na jak długo? I kto się za nami teraz ujmie? Kto nas i gdzie zabierze? — Były to jedne z najcięższych tygodni, jakie przeżyliśmy w ciągu tych sześciu lat!

Marysia przyniosła do domu szkarlatynę. Poszła zemleć pszenicę do wiatraka i, czekając na swoją kolejkę, siedziała na worku naprzeciwko sąsiadki, której dziecko chorowało — i rozmawiały. Po paru dniach Marysia poczuła ból gardła, miała katar i „łamanie w kościach” — ale nie dbała o to specjalnie, gdyż główną jej uwagę pochłaniały w tym czasie piece w MTS. Po kilku dniach zachorowała na szkarlatynę śpiąca obok niej na pryzkach Terenia i śpiąca obok Tereni — Jasia. Mama od razu zorientowała się po objawach, jaka to choroba, zresztą na wsi panowała epidemia. Zaraz też przeniesiliśmy się spać do kuchni. Staś i Antek całe tygodnie spędzali w brygadach polowych. Chore

siostry miały swoje naczynia, do których wlewało się im jedzenie przez uchylone drzwi, swoją wodę i miskę do mycia. Jednak Elizawieta Pawłowna, lekarka z Moskwy, zażądała albo zrobienia szpitalika szkarlatynowego dla chorych dzieci ze wsi w naszym domu, albo wywiezienia chorych do Jawlenki do szpitala! Baliśmy się tej wyprawy dla sióstr, ale musieliśmy posłuchać. Alina przygotowała, co mogła, do jedzenia na drogę, na drabiniasty wóz załadowano wszystkie chore dzieci ze wsi i nasza Mama odwiozła je do Pawlenki. Wydezynfekowaliśmy dom po ich wyjeździe, wyprałymiśmy i wysuszyliśmy na słońcu pościel, zmieniliśmy słomę w siennikach, wybieliśmy pokój.

Alina raz w tygodniu starała się im zanieść coś do jedzenia: trochę zarobionego gdzieś chleba, gotowanego kurczaka (nasze już w tym czasie podrosły i można było nawet się pożywić), pierożków z chlebowego ciasta. Za każdym razem Alina informowała się w szpitalu, kiedy przyjechać po siostry. Odpowiadano jej, że dadzą znać. Aż tu któregoś dnia wraca Jasia! Bez ubrania, w piżamie, zawinięta w kołdrę! Natychmiast umyta i nakarmiona poszła na tydzień do łóżka. Wypisano ją ze szpitala bez uprzedzenia i kazano natychmiast się wynosić. Jasia odnalazła p. Szymanowskiego, który dał jej kilka rubli na drogę do Korniejewki. Wyszła więc, osłabiona i głodna, na drogę do Tarangu i szła w tej kołdrze kilka kilometrów, aż wreszcie któraś z zatrzymywanych ciężarówek ją zabrała. Następnego dnia Alina wyprawiła się po odbiór Tereni, ale w szpitalu słyszeć nie chcieli o jej wypisaniu i obiecali oddać ją za tydzień. Alina chciała zabrać Terenię przemocą, ale i to się nie udało. Na drugi dzień po powrocie Aliny — Terenia przyszła do domu, ciemną nocą, w czasie ulewnego, zimnego już, wrześnieowego deszczu! Postąpiono z nią podobnie jak z Jasią — wypisano ją i kazano się natychmiast wynosić! Alina zostawiła jej trochę pieniędzy na wszelki wypadek — ale kierowca, który Terenię zabrał do ciężarówki — nie chciał zatrzymać się w pobliżu naszego domu, chociaż obok niego przejeżdżał — i zawiózł Terenię aż pod MTS, skąd ona, po ciemku, zmoknięta, wróciła na piechotę do domu. W rezultacie zmarznięcia po przebytej chorobie miała przez wiele tygodni uporczywe, nie gojące się rany na rękach i nogach. I ją wpakowaliśmy do łóżka — mieliśmy znowu trzy chore.

Głód był we wsi coraz dotkliwszy. Kiedy zboża dojrzały — ratowaliśmy się po trochu, urządzając prywatne „żniwa” za pomocą nożyczek. Ścinałymiśmy kłosa po nocy, suszyliśmy wyluskaną ziarno i mieliśmy na żarnach. Wkrótce rozpoczęły się kopania kartofli i na pewien czas mieliśmy możliwość przeżywienia

się. Kobiety tutejsze, piekąc chleb, wypiekały z chlebowego ciasta podpłomyki oraz pierożki nadziewane różnym farszem: na przykład z maku zmieszanego z przesmażanymi burakami cukrowymi, z podsmażanej na maśle marchwi, z sera zmieszanego z kartoflami i przesmażaną cebulą, z gotowanej kiszzonej kapusty — itp. Pierożki te były smaczne i pożywne — i obok blinów z chlebowego ciasta ze śmietaną stanowiły specjalność tutejszej kuchni, jeżeli w tych głodnych latach o jakichś „specjalnościach” można było mówić. — Dla nas, wygłodzonych, każdy dzień spędzony na dobrym jedzeniu, nawet przy tak ciężkiej pracy, jaką było kopanie kartofli — stanowił wielkie przeżycie — i zawsze staraliśmy się coś z tych „smakołyków” przynieść Mamie i Zosi. W czasie tych prac w ogrodach zetknęliśmy się z jednym zwyczajem tutejszych kobiet, który nas początkowo przyprawił o dreszcz zgrozy i obrzydzenia: one wciąż iskały sobie wzajemnie głowy, traktując to zajęcie jako rodzaj „rozrywki towarzyskiej”. W czasie przerw podczas pracy w polu lub w ogrodzie — zaraz jedna drugiej kładła głowę na kolana i zaczynała się „robotą”. Ponieważ myśmy bardzo dbali o czystość naszych głów — nigdy na Syberii nie mieliśmy wszy w głowach, nawet w czasach, kiedy przed odzieżowymi nie mieliśmy już sposobu obrony. Miejscowe kobiety w to nie wierzyły i mówiły, że każdy musi mieć wszy, proponując nam „wymianę usług”.

Któregoś dnia Mama z Marysią wybrały się do wsi Sowieckoje, aby przywieźć wózkiem kartofle zarobione w czasie kopania. Odbierały je u zamożnej gospodyni, której córka była nauczycielką literatury rosyjskiej w miejscowej 10-latce, a zięć — w czasie pokoju dyrektor tej szkoły i wielki działacz partyjny — w randze majora wojował teraz z Niemcami. Zatrzymały nas na podwieczorku — i w pewnej chwili nauczycielka, członek Komsomołu, pyta Mamę: „Maria Antonowna, jak wy myślicie, jako kobieta wykształcona, czy przyjdą tu do nas Niemcy, żeby nareszcie zrobić porządek?” — Nasza Mama na to: „Jak wam nie wstyd tak nawet myśleć! Wasz mąż i tysiące innych żołnierzy dzień i noc walczy, żeby wroga odpędzić — a wy tu na niego czekacie? Myślicie, że on w waszym kraju zaprowadziłby porządek korzystny dla was? Czy bylibyście zadowoleni, żeby nagle do waszego domu przyszła sąsiadka i zaczęła zaprowadzać swoje porządki? Nigdy wróg nic dobrego dla podbitych ludzi nie zrobi. A zresztą — nikt Niemców tak daleko nie wpuści, gdyż cały świat z nimi walczy”. Na to ona: „No tak, macie rację, ja tylko tak was spytałam, bo ludzie mówią, że Niemcy mogą przyjść do nas”.

Tego lata zdarzył się w naszej wsi tragiczny wypadek. Pewnego dnia w czasie żniw przybiegła do nas zapłakana Kleisowa, matka dwóch córek — Marty i Marysi — i z rozpaczą prosiła Mamę o pomoc, gdyż 14-letniej Marysi żniwarka obcięła stopę, a Kijanow odmawia wysłania z nią wozu do Jawlenki do szpitala ze względu na pilne prace polowe. Mama z miejsca pobiegła do Kijanowa. Siedział w czapie, rozwalony w krześle, z tak samo rozwalonymi towarzyszami z zarządu kołchozu, w dymie marchorki. Mama weszła i bez przywitań powiedziała: „Cóż to, odmawiacie wysłania zranionej w czasie żniw w waszym kołchozie dziewczynki do szpitala?” — On na to: „Wy mnie uczyć nie będziecie! Nam teraz każdy wóz i każdy koń jest potrzebny, bo zboże z pola muszę sprzątnąć!” — Mama była oburzona, a przede wszystkim nie bała się go zupełnie i powiedziała: „Ja was uczyć nie zamierzam, ale los wam zapłaci i jeżeli tego dziecka nie wyślecie natychmiast do szpitala i ona straci nogę przez twój nieludzki stosunek — to ciebie Bóg pokarze na twoich dzieciach!” — Kijanow przestraszył się tych słów Mamy i wóz z końmi natychmiast się znalazł. Marysia, chudziutka i przestraszona, miała nogę przeciętą w kostce przez głupiego wyrostka, który jadąc żniwarką po drodze, między ludźmi wracającymi z pola — straszyl idące dziewczyny i Marysia w tłoku nie zdążyła uskoczyć. Teraz Mama poprawiła jej opatrunek i z Martą odwiozły ją do szpitala. Marysia wróciła po dwóch miesiącach, jeszcze bardziej wychudła po przebytych w szpitalu tyfusie i dyzenterii, ze smutnymi oczami, powłócząc bezwładnie wiszącą stopą po źle zrobionej operacji.

Do Korniejewki przenieśli się w tym roku Grzędziakowie. On szukał pracy dla siebie i dla Edmusa w MTS. Przyjechali do wsi i nikt nie chciał przyjąć ich do mieszkania. Byli bardzo nieszczęśliwi, ale niestety — sam ich widok ludzi odstraszał. On był niezbyt wysoki, miał gęste, ciemne, kręcone włosy, o których lubił mówić: „wszystko jedno jak Puszkin”, — a Edmus powiadał z rozbrajającym uśmiechem: „wszystko jedno jak baran”. Grzędziak rzadko się golił, przez pewien czas nosił nawet brodę. Miał dosyć regularne rysy twarzy i duże, ciemnoniebieskie oczy, ponure i tragicznie otepiałe. Bardzo łatwo wpaadał w złość i wtedy z lada powodu okładał Edmusa i Stasia grubym kijem, który oni nazywali *kulbaką*; przyjmowali razy z tępą uległością. Żona Grzędziaka była drobna, szczupła, o chudej, pobrużdżonej twarzy, obramowanej ciemną, wełnianą chustką, spod której wymykały się pasma brudnych włosów o nieokreślonym kolorze i patrzyły wyblakłe, wystraszone niebies-

kie oczy. Edmuś nosił bezkształtne ubrania i podarte buty. Straszny los, który ich wyrwał z ustalonego trybu życia i względnego dobrobytu, pozbawił ich zupełnie odporności i chęci do zorganizowania życia i dbałości o siebie. Z chłopców najbardziej nieszczęśliwy był Staś, epileptyk, o wielkich, zielonych, smutnych oczach. Ataki choroby chwyciły go tym częściej, im gorsze były warunki. Lekarstw ani żadnej pomocy lekarskiej nie było i jedynym „zabiegiem leczniczym” stosowanym przez ojca i brata było bicie tego biedaka tak, żeby doprowadzić go do utraty przytomności: wtedy leżał spokojnie, aż mu atak minął. Grzędziakowie jakiś czas mieszkali u nas, a potem wyprowadzili się do wsi Pokrowka — niedaleko Jawlenki, gdzie Grzędziak, jako doświadczony ślusarz, dostał wreszcie stałą pracę w miejscowym dużym MTS.

Ta wieś — Pokrowka — była, jak na osiedla syberyjskie, bardzo piękna i tak dziwna, jak miejsce zapamiętane z dziecińczych snów. Leżała w dolinie Iszumu, na rozległej równinie, porośniętej brzoźowymi gajami. W samej wsi było dużo wyniosłych brzoź o grubych pniach i ze zwisającymi zielonymi warkoczami gałązek. Domy we wsi były czysto bielone, stojące na intensywnie zielonej, aż szmaragdowej murawie. Było tu w przezroczyście powietrzu jakieś nasycenie wilgotnością, w której odbijał się błękit nieba, czy może załamywały się w szczególny sposób promienie słoneczne — dość, że wieś ta okryta była jakby przezroczystym, błękitnym woalem, w którym wszystkie przedmioty rysowały się bardzo wyraźnie, a drzewa i domy miały swoje własne, błękitne cienie. Jeśli się przez tę wieś tylko przechodziło i nie pamiętało, że mieszkają tu nieludzko głodujący ludzie, dzięki dużej ilości drzew i temu przezroczystemu, błękitnemu powietrzu robiła wrażenie osady pełnej szczęśliwości. Tu właśnie przenieśli się Grzędziakowie. Jak się potem dowiedzieliśmy, Edmuś poszedł do Armii gen. Andersa i zmarł tam na tyfus; reszta rodziny mieszkała w Pokrowce do 1944 roku. Co się dalej z nimi stało — nie wiemy⁵.

5. Kiedy mieszkaliśmy już w kołchozie Južnoje, odwiedził nas Staś Grzędziak. Przyszedł oberwany, brudny, jeszcze bardziej nieprzytomny niż dawniej i niesamowicie obsypany wszami. Matka wysłała go na poszukiwanie znachora, znającego jakoby skuteczne zaklęcia i lekarstwa przeciwko jego chorobie. Nakarmiliśmy go, czym mieliśmy i przenocowali, ale, obawiając się „żywych” skutków tej gościnności, natychmiast po jego wyjściu spaliliśmy piółuny, na których spał. Staś nam opowiadał, że w czasie największego głodu matka ich zbierała u gospodyń we wsi łupiny od kartofli, gotowała je z otrębami, siekała i takim „świńskim żarciem” karmiła domowników. Czy biblijny Syn Marnotrawny też tym się żywił, pasąc świnię?

Głód przybierał coraz większe rozmiary i wreszcie przyszedł jego nieodłączny towarzysz — tyfus brzuszny. Epidemia wybuchła od razu z wielką siłą. Były domy, w których chorowały po 3-4 osoby równocześnie. Przeładowany szpital w Jawlence nie przyjmował chorych i lekarze w Korniejewce musieli zorganizować miejsce dla chorych we własnym zakresie. Przeznaczono na ten cel budynek kołchozowy we wsi Sowieckoje, wstawiono prowizoryczne łóżka i szpital rozpoczął działalność. Brak było personelu — trzy lekarki nie dawały sobie rady z szybko rosnącą ilością chorych. Wtedy nasza Mama zgłosiła się do pracy w tym szpitalu jako pielęgniarka. Chodziła z domu do szpitala co drugi dzień na 24 godziny i co drugą noc spędzała w domu. Baliśmy się wszyscy, że Mama przyniesie chorobę do domu, szczególnie, że już gryzły nas wszy, a już i tyfus plamisty atakował ludzi. Mama była bardzo ostrożna, nie jadała niczego w tym szpitalu, zabierała ze sobą z domu jakieś nędzne jedzenie, a tam jadała wyłącznie twaróg ze świeżo otwartych pojemników z *masłozawodu*, dezynfekowała ręce ostrymi środkami, a w domu natychmiast myła się i przebierała w inne ubranie. I z nas ośmiorga nikt nie zachorował. Razem z Mamą poszły pracować do tego szpitala Marta Kleisówna i Marysia Skindzier — one niestety zachorowały i przyniosły tyfus swoim rodzinom. Ale przebieg choroby był lekki i nikt z Polaków w naszej wsi ani we wsiach sąsiednich, objętych działalnością Mamy jako „męża zaufania” — nie umarł. Lekarze twierdzili, że pomogły szczepienia z 1941 roku, robione przez Mamę; chociaż odporność po dwóch latach ziałała, jednak organizmy umiały się bronić w razie choroby. W innych wsiach — niestety — umierali Polacy: wynędniali i głodni bardziej niż ludność miejscowa, bardziej też ulegali chorobom. W Poputni umarły cztery osoby, w Zagrodówce wymarły dwie całe rodziny!

W szpitalu, w którym pracowała Mama ludzie umierali codziennie. Nie było lekarstw ani odpowiedniego pożywienia. Mama wracała przygnębiona i zmęczona i opowiadała nam czasem historie niektórych chorób. Szczególnie wstrząsnęła Mamą śmierć 17-letniego Miszy, który do Mamy bardzo przyłgnał w czasie choroby i prowadził z nią długie rozmowy. Opowiadał Mamie o swoim niedługim i nieskomplikowanym życiu i pracy, Mama uczyła go pacierza i znaku krzyża i opowiadała mu o Bogu, o którym ten biedny chłopiec nigdy nie słyszał. Ochrzciała go Mama którejś nocy potajemnie — gdyż za to, gdyby ktoś doniósł władzom — groziło więzienie. Po kilku dniach Misza, który wciąż upewniał się, że będzie żył, umarł, trzymając głowę na

kolanach naszej Mamy, która cały czas usiłowała uśmiechać się do niego, żeby do końca widział jej pogodną twarz! Podobnych scen było więcej, może nie tak tragicznych, ale każdą śmierć, szczególnie młodych ludzi, Mama bardzo przeżywała. Uważała przy tym, że jej praca w tym szpitalu jest niezbędna i pomimo zmęczenia — po takim 24-godzinym dyżurze przebywała 5 kilometrów na obolałych nogach i ledwo żywa wracała do domu — nie przerwała jej aż do zlikwidowania szpitala w końcu listopada, kiedy z braku opału nie mógł on dłużej egzystować. Zresztą epidemia przygasła. Mama dostała 200 rubli wynagrodzenia za trzy miesiące pracy i pół litra wody kolońskiej „Trojnoj o-die-kołon”, jako specjalną nagrodę.

Głodu przez pewien czas nie odczuwaliśmy. Mieliśmy zarobione jesienią w ogrodach i uzbierane na kołchozowych polach kartofle oraz trochę pszenicy wymienionej za ubrania. Mleko i jajka Mama z Marysią zarabiała zyciem. Marysia postawiła na jesieni kilka kuchni u gospodarzy i wyremontowała domek Moskaluczki. Była to oryginalna postać. Z pochodzenia Polka, wyszła za mąż za Ukraińca, mieszkała na Syberii już blisko 40 lat i mówiła dziwnym językiem — niesamowitą mieszkanką rosyjsko-ukraińsko-polską. Sama była drobna, chuda, bardzo brudna i zaniedbana. Miała syna Józka, 19-letniego dryblasza, który całe dnie wylegiwał się na łóżku, jadł, tył i czekał na wezwanie do wojska. — Marysia wylepiła chatę Moskaluczki *samanem*, a potem gliną z nawozem, wybieliła ściany i poreperowała klepisko. Gospodyni, jak zwykle przy takich pracach, szykowała jej posiłek: barszcz ukraiński i kromkę chleba. Chcąc nalać barszczu rozejrzała się po izbie i nie widząc innej miski, podniosła z podłogi blaszaną miseczkę, z której przed chwilą skończył jeść jej pies, wytarła ją brudną ścierką, nalała pełno barszczu i dała Marysi mówiąc: „Na, jedz, nic ci się nie stanie, że po psie, on jeszcze młody”. Marysia, śmiejąc się z siebie samej, wzięła miskę i zjadła barszcz, połowę chleba chowając dla Zosi. I rzeczywiście nic jej się nie stało! Opowiedziała to wydarzenie w domu — i wszyscy jej przypomnieli, że wystarczyło, aby któryś z braciszek łakomczuchów włożył oblizaną łyżeczkę do jej deseru, a mógł deser zjeść, choćby to była ulubiona „legumina nic” lub kisiel z żurawin. A teraz — miska po psie — i nic jej nie zaszkodziło.

Wyprawy do Moskaluczki, mieszkającej przy końcu naszej bardzo długiej ulicy, w dole, za wiatrakami, połączone były zawsze z przykrościami szczególnego rodzaju. Nie mieszkał w tym końcu wsi nikt z Polaków, a było tam dużo różnych wyrostków. W czasie chłodniejszych dni chodziliśmy ubrane w ciemno-

zielone *battle-dress'y*. Zawsze biegła za nami zgraja łobuzów, rzucając kamieniami lub kawałkami lodu i krzyżąc: *Snimaj sztan-y, snimaj sztan-y! Polaki duraki! Biełaruska żopa uzka!*

Założono we wsi spółdzielnię szewską, w której głównymi majstrami byli dwaj Białorusini — Ułas i Okulik. Późną jesienią 1941 roku wyszli oni z łagrów i przyjechali do swoich rodzin w Korniejewce. Mama ich wciągnęła do prac w komisji, rozdzielającej przydziały przywożone z Jawlenki i Petropawłowska. Byli spokojni i małomówni i odnosili się do nas życzliwie, pomimo „zmiany frontu”. Nam się przecierały walonki, zdeptywały podeszwy w butach, we wspaniałych kamaszach z przydziałów porwały się nici, którymi były przyszyte potrójne podeszwy i buty były bezużyteczne. Nikt ich nie chciał zreperować. Marysia obejrzała te buty (mieliśmy ich cztery pary) i postanowiła pójść do szewców nauczyć się podstawowych arkanów tego starego rzemiosła, żeby buty uratować. Chodziła przez tydzień — nauczyła się skręcać dratwę z lnianych nici, woskować ją i zaprawiać końce dratwy w szczecinę, co stwarzało możliwości szycia jakby na maszynie, robić ćwieczki, czyli gwoźdźniki z brzoźowego drewna, podpatrzyła, jak się reperuje walonki i przyszywa podeszwy po uprzednim rozmoczeniu skóry. Po tygodniu tego „terminowania” przyszedł do spółdzielni kierownik i najzwyczajniej Marysię wyrzucił, nawymyślawszy jej przy tym od darmożjadów i złodziei. Skrzyczał też obu majstrów, że bez jego pozwolenia wpuścili na teren spółdzielni obcego człowieka. Marysia szybko się wyniosła. Dostała w prezencie pociągiew, parę kopyt szewskich, nóż, kłębek dratwy, smołę i wosk, trochę szczeciny i trochę ścinków skóry, szydła oraz życzenia powodzenia w pracy. Z tym rozpoczęła nową karierę — szewca. Przede wszystkim rozmoczyła i wyreperowała kamaszki, nasze ulubione i nadzwyczaj wygodne buty, które po tej reperacji solidną dratwą wytrzymały jeszcze pełne trzy lata chodzenia po roztopach i śniegu. Podszyła nowymi podeszwami wszystkie walonki domowe i zaczęła przyjmować robotę od ludzi — za mleko, chleb, pierogi, jajka. Jasia poszła do pracy przy suszeniu pszenicy w kołchozowych spichrzach. Chodziły tam Polki, Białorusinki, dużo kobiet miejscowych. Była to praca ciężka i niebezpieczna — nikt nigdy nie mógł przewieźć, kiedy przyjedzie główny magazynier z rejonu i będzie rewidował pracowników. Ale był to jedyny rodzaj roboty, stwarzającej możliwość wyżywienia rodziny. Do tego przesypania pszenicy mogła chodzić tylko jedna osoba z rodziny. Magazynierem w Korniejewce był wówczas Tatar — Szmigulin, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że codziennie ze spichrza

„ginie” mu ok. 100 kg ziarna, wyniesionego przez kobiety w butach, rękawach i specjalnie ponadpruwanych kieszeniach kurttek, w spodniach, za bluzkami i koszulami. Patrzył na to przez palce, i kiedy część kobiet „baraszkowała” z nim (co on bardzo lubił) w jednym końcu spichrza, w drugim trwało błyskawiczne wysypywanie pszenicy we wszystkie możliwe zakamarki ubrań. I do domu! Po powrocie Jasi z pracy rozkładało się na podłodze koc i pieczołowicie pomagało się jej w rozbieraniu: kurtka, walonki specjalnie o dwa numery za duże, podwiązana ciasno bluzka, spodnie — stanowiły „schowki” i czasami za jednym razem udawało się Jasi przynieść 8 kg ziarna! Kiedyś rozbierając ją spostrzeżliśmy, że jedna z kieszeni kurtki jest rozpruta i na pewno ziarno sypało się na śnieg po drodze. Za udowodnione kradzieże mienia kolchozowego groziły trzy lata obozu. Wyszliśmy więc rano przed wschodem słońca i starannie zakopałyśmy w śniegu „dróżkę” wiodącą do domu, z bólem serca, że się tyle ziarna marnuje. Często mokra, zmarznięta pszenica, noszona za koszulami, powodowała długotrwałe przeziębienia. Ziarno suszyło się potem na piecu i kiedy uzbierał się woreczek — szło się z nim do wiatraka na noc. Te nocne wyprawy do młyna były specjalnością Marysi. W wiatraku bliższym naszego domu, za kuźnią, nad jeziorem i w sąsiedztwie obór kolchozowych (tzw. bazy) królował Maksim Fiodorowicz Antimonow. Miał lat niewiele ponad 60, był niewysoki, szczupły, żyłasty, nosił szpakowate, krótko przycięte wąsy i brodę, miał kształtny, wydatny nos i czarne, bystre, kpiąco zmrużone oczy. Chodził powoli, patrzył uważnie. Na głowie nosił czapkę-uszatkę z rozwiązanymi uszami, nasuniętą na czoło. Do nakuwania kamienia wkładał okulary w drucianej oprawie, które nadawały mu prawie naukowy wygląd. Był miłośnikiem mowy rosyjskiej — szczególnie w dziedzinie przekleństw, w której nie miał w Korniejewce konkurencji, poza swoim starszym bratem, Andriejem Fiodorowiczem, kierownikiem drugiego wiatraka, gdzie zbierało się grono jego wielbicieli. Obaj byli mistrzami w „mowie wiązanej”, i np. Maksim Fiodorowicz był w stanie wyrzucić z siebie wiązanekę, złożoną z co najmniej szesnastu słów, tworzących logiczne układy, ani razu nie powtarzając się i mrużąc przy tym oczy z ukontentowania. Każde słowo samo w sobie było treściwe i dosadne. Ale żeby do tego doszło, „wirtuoz” musiał już być po jednym litrze. To była jego następna pasja życiowa. Na szczęście nie był wybredny. Najlepiej lubił czysty spirytus — napój higieniczny, skondensowany i efektowny w działaniu, ale nie pogardzał zwykłą 45-procentówką, a nawet „o-die-kołonom”, z których preferował „troj-

noj”, ze względu na ostry spirytusowy zapach. Co do naczyń też nie miał uprzedzeń: wystarczała mu blaszanka, obity kubeczek a także ucięta przy pomocy sznurka flaszka. Nie kaleczył się nigdy. Nie lubił tylko pić z butelki, jak przystało na konesera. I lubił wtedy mieć spokój i niezbyt liczne, ale dobrane towarzystwo. Jeżeli wpadł w natchnienie — roztaczał niekończące się, wspinałe opowieści, w odpowiednich momentach przeplatane dosadnymi podkreśleniami. Cóż to były za historie! Widziało się w nich obrazy dawnej Syberii, kiedy przyjechali pierwsi osadnicy z Ukrainy (skąd jako młody chłopiec przyjechał i Maksim Fiodorowicz z rodzicami), i ze środkowej Rosji. W ciągu pierwszych lat pobytu toczyli oni ciężkie wojny o tereny pod uprawę z Kirgizami, dla których na stepie nie było granic, przeszkód ani ograniczeń własności, i którzy ze swoimi nieprzelicznymi stadami, końmi, kobietami, dziećmi i dobytkiem wędrowali po tym szumiącym jak morze, pustym stepie, pod nieogarniętą kopułą niebios. W końcu osadnicy zawarli niepisane układy z koczownikami — tym zaczęły smakować chleb, placki i kartofle, których sami nie sadzili i nie umieli przyrządzić. Zwolna zaczęli więc omijać pewne części pól uprawnych i przychodzili wymieniać mięso na mąkę i ziemniaki. Wtedy narodziły się zażyłości i przyjaźnie, surowe i nie eliminujące chytrych i przebiegłych rywalizacji i wzajemnych podchodów, ale długotrwałe i niewzruszalne, które przetrwały rewolucję „rozkułaczanie”, walkę z koczownikami i ich przymusowe osiedlanie. W opowieściach Maksima Fiodorowicza zjawiały się zimowe wyprawy do stert na odległych polach po siano i słomę dla bydła lub po drzewo do lasu, po które ciągnęły całe karawany sań, gdyż w obawie przed zabłądzeniem podczas *buranu* i przed wilkami nikt nie wyjeżdżał w pojedynkę — jechało zwykle pięć do ośmiu zaprzęgów! Ludzie w kozuchach, czapach futrzanych, w walonkach lub kozuszanych butach, z psami, latarniami, jedzeniem na kilka dni i nocy — ale odżywieni i ubrani znakomicie, silni, zahartowani w zmaganiach z dziką przyrodą — nie bali się mrozów ani zamieci śnieżnych. Jeżeli wyprawa dotarła do zimowej wsi kirgiskiej w pobliżu lasu, następowała wielka uczta z pieczeniem baranów i wołu, z pićciem, przyjaźnią i brataniem się. Po powrocie „karawany” z saniami, wyładowanymi sianem, słomą czy drzewem do domu — odbywało się we wsi uroczyste powitanie bohaterów, ciągnące się czasem dwa dni. Obrzędy religijne i zwyczaje, związane ze świętami, Nowym Rokiem, Jordanem (Trzech Króli), Maślenicą (zapustami), Wielkanocą i Bożym Narodzeniem, stanowiły okazje do urządzania kuligów, wyścigów „trojek”, sma-

żenia blinów i konkursów na ich zjedanie, skakania przez ogień, tańców, picia na umór... oczy Maksima Fiodorowicza mrużą się coraz bardziej, w końcu przestaje mówić, wypija ostatni łyk, wyrzuca z siebie przeciągłe „eeech!”, połączone z wiązką pięknych słów rosyjskich, i zapatrzony w ogień płonący w piecu „izbuszki” przy młynie — zapada w drzemkę. Skrzydła wiatraka skrzypią miarowo, postukując rytmicznie, towarzyszy im szmer kamieni i lekki, monotonny stuk korytka, wysypującego ziarno.

Jeżeli szło się wieczorem do wiatraka, trzeba było już tu zostać do rana: między wsią i młynem była duża, pusta przestrzeń i podczas *buranu* można było zabłądzić po nocy. Bliskość „bazy” bydłcej stwarzała też niebezpieczeństwo spotkania z wilkami, które przychodziły od strony olbrzymiej, śnieżnej płaszczyny jeziora i których złowrogie, wielkie ślady można było rano zobaczyć w pobliżu bazy.

Jeżeli meła się w nocy pszenica kołchozowa na drugiej parze kamieni, co pewien czas ktoś z uczestników „nocnych posiedzeń” wymykał się i parę szufli „kazionnej” mąki wysypywał do swojego woreczka o nędznej objętości. Noce spędzane w wiatraku należały do przyjemnych przeżyć syberyjskich: na dworze mróz trzaskający i *buran*, a tu w piecu palą się wspaniałe, suche cegły rąbanego *kiziatu* z sąsiedniej bazy. Na łopacie pieką się już w piecu placki, zagniecione z kołchozowej mąki i z wody ze stopionego przez zapobiegliwe kobiety śniegu. Te gorące placki, smarowane olejem słonecznikowym, który w niewielkich ilościach wyrabiał Maksim Fiodorowicz w swoim wiatraku — ogrzewały i syciły głodne żołądki. Piec w izbuszce był dosyć obszerny i swobodnie mogły na nim leżeć dwie osoby. Toteż jeśli kilka osób czekało na mielenie, zaraz tworzyła się kolejka do przespania się na gorącym piecu. Inni pilnowali uczciwie kolejki mielenia i jeżeli czyjaś pszenica kończyła się wysypywać z korytka, budzono następnego czekającego. Całą noc krążyły opowieści. Żony czerwonarmiejców opowiadały o mężach, inni wspominali różne przygody z czasów młodości lub z podróży, czasem wpadali wszyscy w nastrój wesołości i wtedy zaczynały się sypać niby-anegdoty, których cały dowcip i pikanteria polegały na ordynarnych zestawach słów. Kiedyś Marysia zasnęła mocno na piecu, leżąc „od brzoza”. Kobieta, która spała od ściany, zesza mleć swoją pszenicę, nie budząc Marysi. Nagle obudził ją wybuch gromkiego śmiechu i poczuła, że ktoś gramoli się przez nią na wolne miejsce od ściany. Był to pijaniuteńki Maksim Fiodorowicz! Chór czekających opatrzył to wydarzenie jednoznacznym komentarzem, Maksim Fiodorowicz jednak powiedział: *Nie bezpakojsia, docz-*

ka, ja uże staryj i ja tiebie uż niczewo nie sdietaju! — Marysia zesza mleć swoją pszenicę i do rana przesiedziała już na ławce.

Maksim Fiodorowicz bardzo Marysię lubił. Dopuszczał ją nawet do pomocy przy nakuwaniu kamienia młyńskiego: jej obowiązkiem było odpowiednie ustawianie lampy na kamieniu i delikatne zmiatanie odkutych drobinek i pyłu. Jeżeli Marysia przyniosła mu w prezencie coś do popicia, przychodząc do młyna (zwykle miało to magiczny wpływ na ostrość kamienia, miejsce w kolejce, a nawet na siłę wiatru), Maksim Fiodorowicz zmuszał ją, żeby pierwsza spróbowała, nawet z obitej butelki i nawet, jeżeli był to ... *o-die-ko-ton!* Musiała chociaż dotknąć ustami tego trunku. Maksim Fiodorowicz rozpromieniał się wtedy, pił i opowiadał. Kiedyś mówi do niej: *Stuszaj, doczka, znaj: jeslib' ja chotiel — ja b' w zolotie chodil do gotowy! I moja žena — toze. Wystarczylo by mi tylko napisac do towarzysza Woroszytowa. Ty wiesz, jak ja byl ranny?* Tu odpina pasek i spodnie i przerażonej Marysi pokazuje bliznę po operacji ślepej kiszki. — *Smotri! Znajesz? Druga ranę mam niżej ale tej ci już nie pokażę!*

Trzecia zima, chociaż nie tak sroga jak pierwsza, bardzo nam się dała we znaki: straciliśmy nadzieję na szybki powrót! W *Prawdzie* i *Izwiestiach* nasiliły się napastliwe artykuły, oskarżające Polaków o oszustwa, wyjście Polskiej Armii do Iranu nazywając dezercją. Ukazywały się też przeładowane szczegółami sprawozdania z działalności „Międzynarodowej Komisji”, która rozpatrywała sprawę Katynia. W skład „komisji” wchodziłi Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Tatarzy, Azerbejdżanie itd. — przedstawiciele narodowości, zamieszkujących republiki sowieckie. Oczywiście „komisja” udowodniała bezsporną winę Niemców i ich obciążała odpowiedzialnością za tę zbrodnię. Gazety oburzały się na Polaków i na wszystkich tych, którzy domagali się powołania międzynarodowej komisji, zorganizowanej przez Czerwony Krzyż. Nasza sytuacja pogorszała się z tygodnia na tydzień. Znowu byliśmy *wrogami naroda*, znowu śpiewano przy nas piosenkę: *Pomniat psy-atamany, pomniat polskie pany bojowej dwadcaty god!*

Jasia chodziła do pracy w spichrzu, o ile jej zdrowie pozwalało — i w tej jej pracy leżała cała nasza nadzieja na przetrzymanie zimy! Chociaż nie musieliśmy już organizować transportów, gdyż z chwilą wyjścia Armii Polskiej do Iranu skończyły się przydziały żywności i ubrań, a resztki z magazynów przepadły, dawni przyjaciele-kierowcy stale nas odwiedzali. Przed

wyjazdem na front przyjechał parokrotnie Med-Muratow Masz-rib, zaglądał czasem Wasia, który też spędzał „na tyłach” ostatnie miesiące. Przyjechał kiedyś nowy kierowca — szczupły blondyn o inteligentnej twarzy i rękach, zdradzających pochodzenie ze znieawidzonej „klasy” — Walentin Piotrowicz Szylenko, z Ukrainy. Mówił po polsku niewiele — rozumiał wszystko, pożyczka od nas polskie książki. Opowiadał nam, że pracował w dużej fabryce jako księgowy, ale były tam jakieś nadużycia, wycofał się więc i teraz nie podaje swoich kwalifikacji, gdyż woli być kierowcą: daje mu to pewną niezależność i minimum odpowiedzialności. Jeździł bardzo dobrze, ale tak lekceważył niebezpieczeństwa, że jazda z nim była męczarnią. Pił strasznie, może „zapijał sumienie” — widać tego po nim nie było, oczy tylko robiły mu się zimne i nieruchome. Ten człowiek na pewno przeszedł w życiu jakąś tragedię, o której nie chciał mówić. Lubił do nas zaglądać. Mówił ładnie po rosyjsku, używał wielu zwrotów i wyrażeń, których tu poza książkami nigdy nie spotkałiśmy, i lubił rozmawiać z Mamą. Kiedyś była wielka „susza alkoholowa” w Korniejewce i okolicy. Walentin Piotrowicz odwiedził nas, był wesoły, dużo opowiadał — nagle urwał w pół zdania, wychodzące z orbit oczy utkwili w jeden punkt z wyrazem zachwycenia — i buch! przed Mamą na kolana: *Maria Antonowna, ja was umolaju, niech mnie pani zbawi, tylko pani jest w stanie to uczynić!* — Mama, zaskoczona, przerażona — patrzy w końcu za jego wzrokiem i widzi, że on oczy utkwili... w owej pół-litrowej butelce *trojnowo-o-die-kołona*, który Mama dostała w nagrodę za pracę w szpitalu. Walentin Piotrowicz był tak nieszczęśliwy i tak obłąkany, że nie wiedzieliśmy, co robić. Mama oddała mu w końcu tę butelkę — chociaż trzymaliśmy ją „na czarną godzinę” dla celów dezynfekcji, w braku spirytusu. On nam zaraz przyniósł za nią wiadro pszenicy i uszczęśliwiony — pojechał. Oszczędził nam chociaż widoku picia tego paskudztwa! Przyjeżdżał potem jeszcze kilkakrotnie, nawet Alina jeździła z nim do Petropawłowska sprzedać trochę mąki, kupić walonki i jakiegoś płótna na koszulę dla Stasia. — Kiedyś przyjechał późnym wieczorem i chciał u nas zostawić dwa worki kradzionej pszenicy na przechowanie — jeden dla niego, drugi dla nas. Mama stanowczo odmówiła. Wtedy Walentin Piotrowicz powiedział: „Bardzo panią szanuję, Maria Antonowna, ale pani jest głupia!” — i więcej się nie pokazał. Może znów wpadł w jakąś aferę?

Staś już zadomowił się zupełnie w *Masłozawodzie*, zarządzał tam całym końskim gospodarstwem i maszynami rolniczymi. Te-

renia i Antek — o ile im zdrowie dopisywało — chodzili do szkoły. Zosia nadal nie wstawała z łóżka i podparta poduszkami kilka godzin dziennie siedziała i pomagała Mamie przy szyciu lub wyszywała chusteczki. Mama i Marysia szyły. Marysi trafiała się czasem jakaś murarska robota — nawet w zimie: gdzieś zawalił się komin, wypadły drzwiczki z pieca lub wykruszyła się płyta. Jesienią wisiała nad nami groźba zmiany mieszkania. Bardzo lubiliśmy „nasz” domek: był wygodny, ciepły, wszystko w nim miało swoje miejsce. Kuchnia dobrze grzała i gotowała, latem sień była naszym wygodnym, letnim „salonem”, Zosia za domem miała dobre miejsce na wygrzewanie nogi na słońcu, było blisko do jeziora i do wiatraka. Na szczęście dla nas gospodyni nie dobiła targu i na zimę 1942/1943 zostaliśmy jeszcze na starym miejscu. — Nękała nas — poza zmorą głodu — beznadzieja naszego losu. Już tworzyła się armia kościuszkowska i wiadomo było, że będzie ona towarzyszyła Armii Czerwonej w walkach z Niemcami. Wciąż mieliśmy jednak nadzieję, że alianci nie dopuszczą do zajęcia Polski przez Sowiety. Smutne myśli nękały nas w ciągu tych ponurych, monotonicznych dni niekończącej się trzeciej zimy syberyjskiej. Odnalazł nas w ciągu tej zimy Artaszest Tigranowicz! Bardzo ucieszył nas tą niespodziewaną wizytą. Przyjechał w pogodny, niezbyt mroźny dzień, saneczkami w jednego konia, w kożuchu i okryty wilczurą z futra wilków syberyjskich. Cóż to było za okrycie! Skóry wilków, upolowanych w zimie, były biało-kremowo-szare, o niezwykle gęstym, miękkim i puszystym włosie. Widywaliśmy je na czapach u Kazachów, ale pierwszy raz widzieliśmy takie wspaniałe, olbrzymie futro. Artaszest Tigranowicz był jak zwykle miły, pogodny, ale zrezygnowany. Opowiadał, że jego żona zdążyła wyjechać z Leningradu przed oblężeniem, ale chorowała, głodowała — i ją, jak i innych, wojna wymęczyła dotkliwie, a przyjechać do niego nie mogła — zostały mu jeszcze pełne dwa lata zesłania. Był u nas krótko, dzień był mały, a on wpadł po drodze z Awierjanowki, gdzie dowiedział się, jak nas odnaleźć. Obejrzał „pieco-kuchnię”, pochwalił Marysię za dobrą robotę, zjadł coś gorącego na drogę, co udało się Alinie przygotować, i pojechał, obiecując znowu nas kiedyś odwiedzić. Był on jedną z tych osób, które, spotykane w tych nieludzkich warunkach, podtrzymywały w nas wiarę w niezniszczalne wartości i w godność człowieka. Artaszest Tigranowicz nigdy się nie poddał okolicznościom, na jakie go los skazywał. Nie pił, nie „bratał się” z miejscowymi władzami, był zawsze czysto i nawet z pewną elegancją ubrany, dbał o swój zarost i włosy, mówił starannym, rosyjskim językiem.

Jego odwiedziny pomagały nam przez pewien czas odnosić się do tego, co nas otaczało i spotykało z większym dystansem i traktować nasz pobyt na Syberii jako czasowe zrządzenie losu.

Zaczęły do nas docierać wieści o zamianie polskich paszportów ponownie na sowieckie dokumenty, jakoby w oparciu o jakieś głosowanie na terenach „zachodniej Ukrainy i Białorusi” w jesieni 1939 roku. Rozpacz i bezsilny gniew znowu nas oparowały — ale już taką ilością „niespodzianek” los nas obdarzał, że przestaliśmy o tym myśleć: mieliśmy zbyt dużo zmartwień bieżących. Zosia była wciąż chora, rozpadało się nam ubranie, stale zagrażał nam głód. Przeciągała się zima — kończył się opał i trzeba było zdobywać słomę, jeżdżąc po nią na step do stert dla bydła kołchozowego, saniami zaprzęzonymi w woły. Staś był chory, kilkakrotnie w jego zastępstwie pojechała Marysia. Ubięrała się w spodnie, jeździła w kurtce i czapce watowanych, uszytych przez Mamę, w których jeździł Staś, a będąc wtedy jednakowego z nim wzrostu, niewiele się od niego różniła. Pojechała kiedyś na step do ogromnej sterty, odgarnęła śnieg i zabrała się do wyszarpywania widłami zamarznętej i uleżałej słomy, aż nagle słyszy z drugiej strony sterty głos: *Parień, podożdi, my siejczas okonczim!* — i po chwili wyłazi zza sterty rozmamłana i rozczochrana para, zaczynają wyciągać słomę i układać ją na saniach, stojących po drugiej stronie sterty i niewidocznych od drogi. Wioząc słomę do bazy, zawsze można było po drodze zrzucić jej przygarść w domu, co starczyło na ugotowanie jednego posiłku. O ileż łatwiejsze to było niż noszenie słomy w wiązках, wlokąc ją kilometrami na plecach, z nogami grzęznącymi w śniegu, pod wiatr i mróz i *buran*. Teraz, kiedy byliśmy prawie nieustannie głodni, prawdopodobnie już nie byłibyśmy zdolni do takiego wysiłku!

Najmilszą naszą rozrywką były rozmowy o przygotowaniu jedzenia w domu, a szczególnie rozmaitych smakołyków świątecznych. Nawet Mama dawała się wciągać w te wspomnienia, opowiadając, co jadła w młodości i jak przygotowuje się mięsa i ciasta. Jedną z licznych specjalności naszej Mamy były rogaliki z półfrancuskiego ciasta, nadziewane makiem z bakaliami i miodem — ulubiony przysmak Antka. Kiedyś w taki głodny wieczór świąteczny, kiedy oszukaliśmy głód jakąś namiastką jedzenia, nasz najmłodszy braciszek usiadł Alinie na kolanach, objął ją za szyję i mówi: „Alinko, żebyś ty upiekła znowu całe mnóstwo rogalików z makiem i żebyś ja mógł tak się nimi najeść, żeby mi się już nic nie chciało!” — Ale te rozmowy o jedzeniu wpływały destrukcyjnie i demobilizująco na naszą „energię życiową”. Wo-

bec tego odbywaliśmy je rzadko, jedynie przy okazji świąt lub imienin. Głód oszukiwaliśmy często piosenkami. Antek grał na mandolinie lub na bałabajce, myśmy zwykle coś szyły lub dziergały na drutach przy świetle „kopciki”, która nam miłosiernie rozświetlała mroki syberyjskich nocy.

Zbliżała się nasza czwarta wiosna kazachstańska. Teraz byliśmy znowu samotni na tych azjatyckich bezmiarach i jeszcze bardziej — po okresie złudnych nadziei — pogrążeni w bezradziejności. Wiadomości o wymianie polskich dokumentów na sowieckie, o oporze zrozpaczonych Polaków i o aresztowaniach, o tym, że pan Szymanowski w Jawlence odmówił oddania polskiego paszportu i został osadzony w areszcie — dotarły do nas, przyniesione przez Polki z Tarangułu, na początku marca 1943 roku. Przychodzili do Mamy Polacy i pytali, jaką Mama podjęła decyzję w sprawie wymiany dokumentów. Mama mówiła, że nic nikomu radzić nie może, ale że raczej my same (Mama, Alina i Marysia) nie mamy zamiaru zgodzić się na tę wymianę dobrowolnie. Zaczęłyśmy też szykować sobie suchary, a Marysia wyprawiła się do wiatra, aby zemleć trochę uciulaną pszenicy i nie zostawiać rodzeństwa bez zapasów w razie naszego aresztowania. Wreszcie w pierwszych dniach kwietnia zjechało do Korniejewki czterech funkcjonariuszy NKWD w błękitnych czapkach i rozpoczęły się rozmowy z Polakami. Pierwszą wezwano Mamę. Poszła — pożegnana przez nas — ze zmianą bielizny, ręcznikiem i woreczkiem sucharów. Potem kolejno wzywano wszystkich dorosłych obywateli polskich — między innymi również Alinę i Marysię. Wszyscy Polacy odmawiali oddania polskich paszportów i wymiany ich na dokumenty sowieckie. Wszyscy przynosili ze sobą woreczek sucharów i zmianę bielizny — zdeterminowani i przygotowani na wyjazd do więzienia. Zdumienie, a potem wściekłość ogarnęły enkawudystów — i, jak to było do przewidzenia — obróciły się przeciwko naszej Mamie. Krzyczeli, grozili, straszili, biednego garbuska — dwudziestoletniego Czesia Matczaka — bili po garbie, chcąc mu sprawić najbardziej dotkliwy ból. Nikogo nie wypuścili na noc do domu. Wszystkich nas — obywateli polskich — Polaków i Białorusinów — wprowadzili do budynku *siel-sowietu*, gdzie było jedno dosyć duże pomieszczenie i mogliśmy się pokotem rozłożyć na podłodze. Co kilka minut wzywali kogoś na przesłuchanie i namowy, lub chodzili wściekli między leżącymi, strasząc: „Ktoś tu was zbuntował! Przyznajcie się! Ktoś was namówił do tego głupiego oporu! I do tego szykowania się do więzienia! W żadnej wsi nic takiego nas nie spotkało. Zorganizowany opór!” — Pilnujący

nas strażnicy — miejscowi i mieszkańcy — zmieniali się co kilka godzin. Byli przerażeni i milczący. Wszyscy nas tu dobrze znali, razem z nimi chodziliśmy do pracy i na nocne wyprawy po kartofle na kołchozowe pola, czy po kłosa, przegadywaliśmy zimowe noce w wiatrakach, czekając na kolejkę zmielenia nie zawsze legalnie zdobytej pszenicy, dzieci polskie chodziły do szkoły z dziećmi miejscowymi i grały w dni wolne od zajęć i pracy w różne szalone gry, toteż stosunek mieszkańców Korniejewki do nas uległ w czasie tych kilku lat wielkiej zmianie. Nikt nas tu już nie nazywał *wragi naroda*, czy „burżuje”, traktowali nas jak swoich sąsiadów: bez serdeczności — tej już ich dawno oduczyły okrutne życie i nędza — ale i bez wrogości. Teraz — nieproszeni — przynosili nam *kiziak* do palenia w piecu, żebyśmy nie zmarzli i pozwalali nam dostarczać jedzenie z domów. Do Mamy, Aliny i Marysi przyszły Jasia i Terenia, zmartwione i biedne, przyniosły gorącej zupy i wiadomość, że odwiedził je w domu Wasia Siennikow przed wyjazdem na front, po zakończonym okresie rekonwalescencji w kolumnie samochodowej. Przyjechał pożegnać się z nami. Dzieci opowiedziały mu, gdzie jest Mama i starsze siostry i zapytały, czy on nie obawia się kontaktów z nami w czasie, kiedy one przebywają w areszcie. On na to powiedział: „Ja jestem żołnierzem. Tamte cywilne sprawy należą do NKWD — i to, co oni robią, żołnierzy nie dotyczy. Pozdrówcie Mamę i siostry ode mnie, życcie im wszystkiego najlepszego, wytrwałości i zdrowia. Może im nic poważnego nie grozi, może to są straszenia enkawudystów! Powiedźcie, że Mamę i wasz dom będę wspominał, jak najlepszych przyjaciół. Żegnajcie! Na pewno już nigdy w życiu się nie spotkamy! Życzę wam, żeby wojna prędko się skończyła i żebyście wszyscy wrócili do domu”. Wszyscy mu życzyli szczęścia i zdrowia na froncie i przeżycia wojny. Wasia był bardzo poważny i powiedział wychodząc: „Pomódlcie się za mnie czasem, żebym wrócił do matki. Żegnajcie!” — Nikt już nam nigdy o nim nie przyniósł żadnej wiadomości i nie wiemy, jaki los go spotkał. W naszej pamięci pozostał jako miły, pogodny, nieco naiwny chłopak, jak miliony młodych ludzi na świecie, wplątanych w owym czasie bez własnej woli w krwawą, straszliwą awanturę.

Drugą noc spędzali obywatele polscy w *siel-sowiecie*, bez mycia, bez przebijania się i bez normalnych posiłków. Enkawudyści znowu wezwali Mamę na nocne rozmowy, spodziewając się może, że ta druga noc przyniesie zmianę w jej postawie. Po upływie pięciu godzin Mama wróciła, bardzo blada, ale spokojna i opanowana. Enkawudysta, który ją przyprowadził, powiedział:

„No, dosyć już tego uporu! Jeżeli nadal będziecie odmawiać oddania tych nieważnych już przecież dokumentów — ktoś, kto was zbuntował, dostanie 12 gramów ołowiu! Za bardzo jesteście nauczeni!” I do Mamy: „Które to wasze córki?” — Zaraz też wezwano Alinę i Marysię na rozmowy i znów pytano, dlaczego się upierają, że może już się namyśliły, że może żal im młodego życia, że może zrozumieją wreszcie, że jeżeli zgodzą się one i Mama, to zgodzi się reszta Polaków, i w ten sposób oszczędzą im pracy, a sobie przykrości. Potem wzywano innych Polaków i tak prawie całą noc, aż do rana, trwały te daremne namawiania. Mama opowiadała, że w czasie rozmowy przez 5 godzin siedziała na wysokim stołku naprzeciwko trzech enkawudystów, którzy pili herbatę, palili papierosy, rozmawiali o różnych sprawach, opowiadali sobie dowcipy i pozornie nie zwracali na Mamę najmniejszej uwagi. Czasem któryś zapytał: „Jak wasze nazwisko? — Aha! To wy jesteście ta, która zbuntowała wszystkich Polaków. No, już my się z wami policzymy!” I znów zaczęły rozmowy między sobą. Jeden z enkawudystów, o nazwisku Czerewiczkin, był wyjątkowo przystojny: młody, wysoki, o ciemnych włosach i bardzo regularnych rysach twarzy. Jego duże, niebieskie oczy w oprawie czarnych, długich rzęs miały wyraz tak zimnej obojętności i okrucieństwa, że człowiekowi, na którego patrzyły z bliska w czasie rozmowy, skóra cierpła na plecach! — Trzeciego dnia enkawudyści stracili cierpliwość. Widocznie nie mieli rozkazu stosowania ostrzejszych „środków perswazji”, bo poza straszeniem, nękaniem rozmowami, kpinami i okazywaniem skrajnego zniecierpliwienia nie demonstrowali więzniom swoich innych możliwości. Rano o piątej godzinie zawieźli natomiast Mamę, Białorusinów Ułasa i Okulika oraz p. Iwanowa do Jawlenki, naczelnika NKWD i do p. Szymanowskiego. Reszta Polaków została w areszcie. Późnym popołudniem „delegacja” wróciła. Ich twarze, smutne i zrezygnowane, powiedziały nam więcej, niż słowa. Było oczywiste, jaki przywieźli wyrok. Powitał ich głośny płacz obywateli polskich. Mama opowiedziała wszystkim zebranym w sali *siel-sowietu*, jakie odbyła rozmowy. Naczelnik NKWD rzeczowo Mamie tłumaczył, że czy chcemy, czy nie, oni mają rozkaz wymiany dokumentów i ten rozkaz wykonają, a opornych wyślą do obozów pracy. „Czy wy myślicie — mówił — że zobaczycie jeszcze kiedyś wasze dzieci? Nasz kraj jest ogromny, obozów mamy niezliczoną ilość i nawet rozłączymy was z córkami. A co się stanie z waszą rodziną? Czy możecie też brać na własne sumienie los innych małych dzieci, których ojcowie i matki — za waszym przykładem —

dem — pójdą do obozów? Zresztą — w razie zmiany układów nikt wam nie powie, że zdradziliście wasz kraj, jeśli dokonujecie tej wymiany pod przymusem i masowo”. — Potem pozwolił Mamie pójść bez eskorty do p. Szymanowskiego, byłego delegata Rządu Polskiego na rejon leniński. Był on chory i bardzo zgnębiony po trzech tygodniach więzienia, gdzie go NKWD trzymało do czasu, aż się zgodził na wymianę dokumentów. Wiedział doskonale, że od jego postawy zależy zgoda innych Polaków. On Mamie też radził, żeby się nie upierać, ponieważ jest to akcja „masowa” — i taka sama nastąpi w chwili decyzji o naszym powrocie do Polski. Z tym Mama poszła do innych „delegatów”, którzy w tym czasie rozmawiali z innymi Polakami, mieszkającymi w Jawlence. Wszyscy oni mieli już wymienione dokumenty. Nie było już naszej ambasady w Kujbyszewie i znowu byliśmy zdani na łaskę rządu sowieckiego, pomimo że nasze wojska walczyły z Niemcami jako wojska alianckie! Teraz enkawudyści szybko zakończyli akcję. Wzywali nas kolejno. Wszyscy w grobowym milczeniu oddawali te polskie dowody tożsamości i odbierali sowieckie, wypisane na świstkach gazetowego papieru! Enkawudyści byli weseli, szczebiotliwi — nawet w jakiś sposób uprzejmi. Na zakończenie powiedzieli nam: „Nu, i choroszo! Idźcie do domów. Gdybyście się nie zgodzili — zabralibyśmy was do obozów, a komuś jednemu zostawilibyśmy pamiątkę!” — Wszyscy obywatele polscy, przygnębieni i smutni, rozpoczynali czwartą wiosnę na ziemi kazachstańskiej — zimną, głodną i beznadziejną!

Zarząd kołchozu nie płacił zupełnie ludziom za pracę, choćby przepracowanych *trudodni* było bardzo dużo. Jeszcze ci kołchoźnicy, którzy mieli jakieś powiązania i znajomości z władzami kołchozu dostawali od czasu do czasu kilka kilogramów pszenicy lub kartofli, zależnie od „stopnia zażyłości”. Reszta nie umierała z głodu wyłącznie dzięki kradzieżom. Kradli wszyscy i wszędzie: zboże w spichrzach w czasie przesypania ziarna i ładowania ciężarówek; kartofle i poślad w świniami; mąkę kołchozową w wiatrakach; ziarno i poślad, sypany gęsiom i kurom kołchozowym; drób kołchozowy. Gdzie kto pracował, tam węszył za jakąś okazją do ściągnięcia czegokolwiek. W stołówce kołchozowej bywała czasami jakaś zupa lub kasza — ale nikt prawie nie miał na to pieniędzy. Za to ile razy zjawiała się wódka w kołchozowym sklepie, szła i lała się jak woda! Wymieniano i wyprzedawano na nią, co kto miał i mógł! Pili wszyscy przez parę dni na umór: nieszczęśliwe, samotne dziewczyny i żony czerwonoarmiejców, które nie wiedziały gdzie są i czy żyją jeszcze ich

chłopcy i mężowie; rekonwalescenci i starzy, którzy zostali w kołchozie; władze kołchozu — ci zresztą głównie u siebie w domach — reszta — w stołówce i na ulicach, tak, że przez kilka dni i nocy, niezależnie od pogody, pijani do nieprzytomności ludzie leżeli tu i ówdzie na ulicach lub pod domami, a cała ludność wsi chodziła nieprzytomna: krowy ryczały niedojone i niepojone w oborach, było kołchozowe zaniedbane, nikt nic nie robił, nocą — pijane, stęsknione kobiety, wymęczone pracą ponad siły i ciągłym niedojadaniem, chodziły, trzymając się rzędami przez szerokość ulicy, śpiewając z całych płuc czastuszki i zawodzące, tęskne pieśni:

*Dajcie w ruki mnie garmoń, złotyje płanki,
Pareń dziewczuku domoj proważał s gulanki...*

lub:

*Na zakatie chodit pareń
Wozlie doma mojewe
I margajet on gładzami,
Sam nie znajet dla cziewo...*

i smutne, tęskne piosenki wojenne:

*Bjotsia w tiesnoj pieczurkie ogoń,
Na poleniach — smoła, kak slieza
I pajot mnie w ziemiłankie garmoń
Pro ułybku twoju i gładza...*

lub:

*Na pozitiu dziewczuka
Proważał bojca.
Tiomnoj noczkoj wstrietili sia
Na stupieńkach krylca...*

A także krótkie, zawiadackie czastuszki:

*Stoit Wania u worot,
Sziroko razinut rot,
I nikto nie razbieriot,
Gdzie worota, a gdzie rot...*

*Moj milonok — kak tielonok,
Tolko wieniki żewat':
Proważał mienia domoj,
Nie sumieł pocetowat'...*

*Moj milonok — kak tielonok,
Tolko raznica odna:
Szto tielonok pijot pomoi,
A milonok — nikogda... oooch!*

*I w kotchoz doroga prosta,
A s kotchoza — kosiakom:
I w kotchoz idiosz obutyj,
A s kotchoza — bosiakom...*

*S nieba zwiozdoczka upała
Brigadiru na ramię.
Nie pojdu w kotchoz rabotat'
Mało piznut trudodniej...*

*I w kotchozie ja rodiłsia,
I s kotchoza moja mat'...
Ja w kotchozie naucziłsia
Russkich diewuszek*

Po kilku dniach wódka się kończyła, śpiewy i nocne hałasy ucichły i wszystko wracało do normalnego, trudnego życia...

Zaczynały się siewy wiosenne. W brygadach polowych karmiono coraz gorzej. Nie dawano już chleba. Trzeba było z domu przynosić placki lub kartofle. Z coraz większym trudem udawało nam się zdobyć coś do jedzenia. Ratowało nas w pewnym stopniu Mamy szycie i Jasi praca w spichrzach, która teraz stała się niebezpieczna dla zdrowia: przed siewami „truto” ziarno jakimś preparatami chemicznymi, które miały przyspieszyć kiełkowanie pszenicy. Opary z tego „trucia” były trujące i duszące. Jasia wracała często z bólem głowy i nic przełknąć nie mogła przez kilka godzin. Przyniesioną do domu „zatrutą” pszenicę, trzeba było kilkakrotnie wymyć w wodzie, wysuszyć na słońcu i wtedy dopiero nadawała się ona do jedzenia — a i tak wciąż obawialiśmy się, że prędzej czy później skutki jedzenia placków z tej pszenicy objawią się w jakiś przykry sposób. Marysi czasem udawało się zarobić kilka litrów mleka lub miseczkę mąki za naprawy pieców. Czekaliśmy z niecierpliwością wiosennego sadzenia kartofli i kopania ogrodów, licząc na możliwość jakiegoś „przeżywienia się” przy tych pracach. Ludzie miejscowi głodowali również. Dla zabicia uczucia głodu mieszkańcy Korniejewki

wyrabiali... „gumę do żucia”, tzw. *żwagę*. Gotowało się pocięte na drobne paseczki kalosze z dodatkiem soli i żywicy z drzew wiśniowych lub śliw, którą przywiózł ktoś zza Uralu. Po wielu godzinach gotowania powstawała z tego czarna, elastyczna masa, którą po stygnięciu dzieliło się na kawałki i producenci żuli ją pracowicie, aż uzyskiwała pożądaną konsystencję. Wtedy ugniatano ją w kulki wielkości piłeczek od ping-ponga i sprzedawano amatorom po 1 rublu za sztukę. Były okresy, że cała wieś *żewała żwaku*. I pytali jedni drugich: „*Chcesz pozewatsa?*” albo: „*Daj-ka pozewatsa!*”

Uczucie głodu towarzyszyło nam stale. Przeszło w rodzaj obsesji i zabijało wszystkie inne doznania. Nie było miejsca ani godziny, żebyśmy nie myśleli o zdobyciu czegoś do jedzenia. Ktoś z gości bazarowych opowiadał nam historyjkę o dwóch chłopcach z Polski, którzy pracowali przy wyrębie lasu i byli zakwaterowani u samotnej babuszki. Upiękną ona właśnie pierogi z chlebowego ciasta i — nie umiejac liczyć — ułożyła je na półce, patrząc podejrzliwie na „lokatorów” i rachując: „Para, para, para, para — jeden!” I poszła. Wtedy chłopcy zjedli dwa i kiedy babuszka wróciła, policzyła: „Para, para, para — jeden!” — zgadza się. Zjadła jeden. Oni znów — po powrocie z lasu — zjedli dwa. Babuszka wróciła do domu i liczy: „Para, para, para — zgadza się!” I tak jedli je razem, tylko po paru dniach babuszka dziwiła się, że zawsze starczało jej pierożków na tydzień, a tym razem zjadła je w ciągu 3 dni.

Staś pracował w *Masłozawdzie*. Dostawał tam coś nie coś do jedzenia i przynosił do domu maślanke, a czasem nawet trochę twarogu. Dyrektor wciągał go coraz bardziej w swoje złodziejskie interesy. Staś wywoził całe skrzynki masła do jego przyjaciół i odbiorców. Na rozkaz dyrektora jeździł do lasu i z sągów drzewa, przygotowanych przez inne kołchozowe przedsiębiorstwa, przywoził drzewo dla *masłozawodu*. Zwoził też siano ze stepu, ze stogów *Siel-Po* (było to przedsiębiorstwo, prowadzące skup ziemio- i drobiu i jaj od kołchozników) do stajni i obory *masłozawodu*. Te wszystkie wyprawy były bardzo ryzykowne, a odpowiedzialność za te „wyczyny”, w przypadku wykrycia, spadałyby wyłącznie na naszego brata. Ale Staś nam wówczas mało o tym opowiadał i nie znaliśmy dokładnie „zakresu” jego pracy. — Przednowek w 1943 roku bardzo dawał się wszystkim we znaki. Chwytałyśmy każdą okazję zarobku i przeżywienia się. Wiosną — kopanie ogrodów i sadzenie kartofli. W czasie gorących dni lata — remonty domów, różne roboty murarskie, budowanie pieców, a wreszcie — wyrób *kiziaku*. Wysoko kwalifi-

kowany i z długoletnią już praktyką zespół — Jasia i Marysia — wynajmował się do tej pracy, przynosząc zawsze do domu zarobiony pewien zapas cennego opału. „Specjalistki” śmiały się już teraz ze swoich dawnych oporów i obrzydzenia, jakie przeżywały przed przystąpieniem do tej wstrętnej roboty. W sierpniu zaczęło się chodzenie na nocne podkopki kartofli. Zaraz też dojrzewało zboże i pewien ratunek przynosiły prywatne „żniwa”, dokonywane nożyczkami przy świetle księżyca. We wrześniu najgorsze mieliśmy już za sobą. Zaczęło się kopanie ziemniaków, a w czasie żniw zboża na tzw. „tokach” i w spichrzach było tak dużo, że podbieranie go na potrzeby pracujących nie było aż tak widoczne i niebezpieczne, jak na wiosnę. Zrobiliśmy nawet taki zapas ziarna, że mogliśmy myśleć o wyprawie do Petropawłowska po niezbędne zakupy przed czwartą już zimą syberyjską!

W październiku nasza gospodyni oświadczyła nam, że sprzedała dom i musimy sobie szukać innego mieszkania. Dom ten, wykończony i utrzymywany przez nas w bardzo dobrym stanie, z ocieplonym dachem i znakomicie funkcjonującym piecem, był atrakcyjny i wartość jego bardzo wzrosła od czasu, kiedy objęliśmy go w posiadanie. Teraz musieliśmy go opuścić i od nowa organizować sobie życie. Mama poszła do Kijanowa. Ponieważ wszyscy pracowaliśmy w kołchozie i w przedsiębiorstwach kołchozowych, Mama powiedziała *predsiedatelowi*, że w takim przypadku zarząd kołchozu powinien nam pomóc. Pani Iza T. wyjechała w tym czasie do Jawlenki, do swoich przyjaciół i tam już została; było nas znowu ośmioro. Mieliśmy naszego małego prosiaka, kozę Kizię, koziołka Wasię, kilka kur, kilka kurczaków, oraz koguta, o którym utrzymywaliśmy, że jest to kura, zamieniona przez Antka w koguta takim sposobem: w zimie Mama dostała za szycie małą, pstrokatą kurę z koralowym grzebieniem. Postanowiliśmy ją odkarmić i zahodować. Umieściliśmy ją pod piecem w kuchni, na czas karmienia wpuszczając ją do ciepłego pokoju. Hodowała się więc ta kura pod piecem przez zimę, aż któregoś dnia w marcu Antek oświadczył, że według niego jest to kogut. Wyśmieliśmy go i powiedzieliśmy, że tylko patrzeć, jak w cieplejsze dni wiosny ten jego kogut zacznie znosić jajka. Antek jednak nie dał się przekonać i od tego dnia przed wyjściem do szkoły kuczał przed piecem w kuchni i piał do tej pstrokatej kury, siedzącej w swojej „pieczarze”. Aż po kilku dniach spod pieca rozległo się ciche, nieśmiałe i schrypnięte — „kukuryku”... i w ten sposób z kury wyrósł piękny, srebrzysty kogut z białymi piórkami na szyi i koralowym grzebieniem. Latem prowadzał już stadko kur i kilku kurczaków koło domu.

Jeden kurczak wyrastał na prześlicznego, kolorowego koguta, z pięknymi, zielonymi piórami w ogonie. Był tak rozpieszczony, że kiedy Zosia jadła obiad, leżąc na składanym łóżku i grzejąc swoją chorą nogę na słońcu, on wskakiwał na łóżko i wydziobywał jej jedzenie z miseczki. Nazywaliśmy go „Panicz”, takie miał dumne oko i wspaniałą postawę! Teraz z tym całym dobytkiem musieliśmy szukać nowego domu. Żał nam było naszego sympatycznego domu przy studni, w którym spędziliśmy dwa pełne lata życia. — Kijanow, po rozmowie z Mamą, „przydzielili” nam na zamieszkanie opuszczony dom przy „Średniej” — drugiej od jeziora ulicy. Nie wiedzieliśmy wówczas, co się kryje za tą zaskakująco życzliwą dla nas decyzją miejscowego „władcy”. Perfidia tej „życzliwości” miała ujawnić się dopiero na wiosnę. Dom był bardzo zniszczony i dawno już nikt w nim nie mieszkał, ale był dosyć duży, z niewielkim *dworem* nakrytym dachem, z sionką, obszerną izbą z dwoma oknami — i z *drewnianą podłogą!* Należał on do rodziny kołchoźnika Bumagina, który poszedł na wojnę i po krótkim okresie wojowania dostał się do niewoli niemieckiej, co w tym czasie poczytywane było za zdradę. Rodziny jeńców podlegały różnym represjom. W tych okolicach wysiedlano je po prostu — bez rzeczy, tak jak stali — na tzw. *gołodnyj step*, czyli w okolice Karagandy. Znajdowało się tam wiele obozów pracy. Istniały tam również osady przemysłowe, związane z wydobywaniem węgla kamiennego, a nawet kołchozy — ale, jak nadana przez mieszkańców nazwa wskazuje — przeżyć tam było bardzo trudno. Po wyjeździe rodziny Bumaginy — żony tego jeńca wojennego, ich czworga dzieci i jego matki — dom został ograbiony z pozostałych ruchomości i niszczał. W ścianach porobiły się dziury, zawalił się komin na dachu, w piecu zamieszkały myszy, częściowo rozebrano pokrycie dachu nad „dworem”, resztę rozwiął wiatr. Teraz ten dom miał zostać naszym nowym schronieniem na Syberii. Póki nastąpiła przeprowadzka i załatwienie niezbędnych formalności — Alina i Marysia wybrały się ze znajomym kierowcą na zaplanowaną już dawniej wyprawę do Petropawłowska. Każdego dnia mógł spaść śnieg i rozpocząć się mogły mrozy i wtedy podróż byłaby uciążliwa i niebezpieczna dla zdrowia. A jeszcze panowała chłodna, sucha jesienna pogoda i należało te jej ostatki wykorzystać. Siostry zabrały ze sobą woreczek mąki celem wymiany jej na niezbędne w codziennym życiu przedmioty: walonki, dratwę, smołę, szydła, nici, marzyliśmy o mydle... Wyprawa do odległego o 120 kilometrów miasta trwała zwykle 4-6 dni. Jechało się do Jawlenki znajomą drogą, potem przez pusty step, o tej porze

roku szary i bezbarwny. Osiedla leżały na tej równinie daleko od siebie, w posępnym świetle pochmurnego dnia pełnego smutku i zaniedbania. Taki sam był i Petropawłowsk: jedna duża ulica ze zniszczonym brukiem, prowadząca do pełnego błota placu, na którym najważniejszymi budynkami były wielkie i ponure silosy na zboże. Przyjechali późno, toteż kierowca zabrał Alinę i Marysię do zajazdu dla szoferów. Był to duży, parterowy dom. W obszernej kuchni, oświetlonej lampą naftową ze szkłem, był piec chlebowy, mała kuchenka *gałanka* i stały dwa długie, drewniane stoły z ławami i krzesłami. Jedzenie szykowała i podawała wielka, gruba, czerwolica i czarnowłosa kobieta, mówiąca bardzo ciekawym głosem i wodząca oczami z wyrazem całkowitego oddania za mężem — małym, chudym, łysiejącym blondynem z przymrużonymi, niebieskimi oczkami o chytrym wyrazie i z zajęczymi wąsami pod wydatnym nosem. Poruszał się zwinnie, wolno i z godnością między klientami, od czasu do czasu obdarzając któregoś z gości zgryźliwą uwagą lub też strofując złośliwie żonę, która w lot wykonywała jego rozkazy. Kierowcy — bywalcy zajazdu — nazywali go „sinobrody” i roztrzaskali dzieje jego siedmiu poprzednich małżeństw, komentując z zazdrością jego niesłychane powodzenie u kobiet.

Alina i Marysia zjadły barszczu z chlebem i poszły spać do sąsiedniej izby, dużej, z drewnianą, czysto utrzymaną podłogą, gdzie już leżało lub spało kilkoro kierowców pęci obojga na łózkach lub na podłodze. Ponieważ jedno łóżko było wolne — położyły się obie na nim i usiłowały zasnąć. Tymczasem w kuchni krążyła wódka, temperatura wzrastała, co znajdowało swój wyraz w coraz głośniejszych krzykach, śmiechach, piosenkach i dowcipach. W jakiejś chwili drzwi się otworzyły i z kuchni wtoczyło się wielce pijane towarzystwo, przenosząc zabawy intymne do sypialni. Zaczęło się ogólne tłoczenie i tarzanie się po łózkach i podłodze. Alina i Marysia — przerażone i zagrożone — stoczyły się jak na komendę równocześnie z obu stron łóżka i ukryły się na podłodze pod nim. Ponieważ ktoś już przedtem zgasił lampę — nie zostały zauważone i ten manewr zapewnił im jaki taki spokój. Łóżko zostało natychmiast wykorzystane jak należy, a one same — drżąc z zimna i ze strachu — przetrwały nasilenie „igraszek” i hałasów, i kiedy późno w nocy całe pijane i wymęczone towarzystwo nareszcie usnęło, i one zdrzemnęły się pod łóżkiem, czujnie — co prawda — jak zajęce pod miedzą, ale chociaż trochę zregenerowały siły. Rano szybko wyskoczyły stamtąd, umyły się w lodowatej wodzie pod studnią i poszły na bazar. Październikowy dzień był pochmurny, wietrzny i chłodny, w po-

wietrzu polatywał drobny śnieg, wiatr przewiewał do kości. Mąka została szybko sprzedana i teraz siostry rozglądały się za kupnem niezbędnych rzeczy, oglądając przy okazji bazar miejski. Widok był niezwykle przygnębiający. Po obskurnym placu, nigdy nie sprzątanym, pełnym słomy, nawozu i kurzu, krążyły dziesiątki rosyjskich kobiet, ewakuowanych z miast zagrożonych działaniami wojennymi. Ubrane w cienkie, miejskie paltociki i lekkie obuwie, obwieszane były fragmentami garderoby na sprzedaż, miały twarze posiniąle z głodu i z zimna, z wyrazem rezygnacji i przygnębienia w oczach dreptały po placu drobnymi kroczkami. Dużo tu było Kazachów z wózkami, zaprzężonymi w małe, myszate koniki, sprzedających lub wymieniających zboże i drzewo. Uwijali się tu również sprytni handlarze, skupujący za grosze od zmarzniętych Rosjanek te ich nędzne łaszki. W jakimś miejscu stała waga, przy której kupiec „hurtownik” sprzedawał mąkę na kilogramy. Przy tej czynności — jak zwykle — pył mączny osiadał na desce wagi. Stała przy niej stara, drżąca kobieta w łaćmanach, dygoczącą ręką zmiatała miotełką na szufelkę ten pył co do odrobinki i zsypywała go do papierowej torebki. Tak zdobywali żywność mieszkańcy tego kraju, o ziemi urodzajnej do tego stopnia, że kłosa pszenicy dochodzą tu do długości 15-18 cm, pojedyncze okazy ziemniaków miewają wagę 1/2 kg i spod jednego krzaka można czasem wybrać pełne wiadro kartofli w czasie kopania! Ale — jeżeli orano tu ziemię tak, że lemiesz pługów zagłębiały się najwyżej na 10 cm, lub pojedynczymi pługami orano co drugą bruzdę, nie podcinając nawet korzeni chwastów, rosących tu tak samo bujnie i obficie jak pszenica — zielska pleniły się gęściej niż zboże i zagłuszały je zupełnie, powodując plony tak niskie, że równały się czasem ilości ziarna zasianego!

Alina i Marysia opuściły bazar i poszły do „cioci” Łany — znajomej Aliny z jej poprzednich wypraw do miasta. Miała ona domek przy głównej ulicy, męża na wojnie i pracowała w miejscowej fabryce. Właśnie wybierała się do pracy, ucieszyła się z przyjścia gości, zrobiła coś gorącego do jedzenia i poszła, zostawiając na opiece Aliny i Marysi dom, małą córeczkę Maję, zrobienie zakupów na kolację i zreperowanie pieca. Marysia zaraz wzięła się do roboty. Reperacja tego kaflowego, solidnie zbudowanego pieca pozwoliła jej zgłębić inny sposób budowania ścianek ogrzewczych, który obiecywała sobie zastosować przy najbliższej okazji. W domu „cioci” Łany Alina i Marysia usłyszały radiową audycję dla Polaków-zesłańców, nadawaną przez działający już na terenie Sowietów Związek Patriotów Polskich z Wan-

dą Wasilewską na czele. W audycji nawoływano młodych Polaków do zgłaszania się do służby w powstającej właśnie Armii Kościuszkowskiej. Na zakończenie audycji zagrano polski hymn narodowy — „Jeszcze Polska nie zginęła”... Aczkolwiek było to wzruszające przeżycie, usłyszeć nasz hymn po trzech i pół latach zesłania, na obcej ziemi, nie wzbudził on w słuchaczach takiej radości, jakiej można by oczekiwać. Wiadomo było, co się kryje za takim rozbudzaniem uczuć patriotycznych Polaków: takie praktyki znane były od czasów „Bartka Zwycięzcy”. Niezależnie jednak od oceny tych faktów — prawdą było jedno: ktoś znowu o zesłaniach zaczął myśleć i pamiętać i można było z tym wiązać nadzieję powrotu do Kraju.

Wieczorem wróciła „ciocia” Łana i po kolacji i ułożeniu Maji do łóżka — w nagrodę za wyreperowany piec — poszły wszystkie trzy do *kina!* Na film „Wielki Walc” o życiu i twórczości Jana Straussa. Jak ten austriacki film, z piękną muzyką, o tak innym świecie, jakby z innej planety trafił na ten koniec świata, pozostanie na zawsze tajemnicą, ale pozwolił on Alinie i Marysi przeżyć wieczór jak z bajki — i tak straszliwy nawrót tęsknoty „za utraconym rajem”, że długo w nocy, leżąc obok siebie, nie mogły zasnąć ze wzruszenia i wzajemnie, szeptem, uspokajały swój płacz.

Rano drugiego dnia siostry poszły zobaczyć miasto: było pełne nie wysychającego błota, z ponurymi, niegdyś malowanymi na żółto, obłazącymi teraz z farby domami. Przy głównej ulicy stał duży budynek szkoły z dwoma pomnikami przed frontem: Lenin z wyciągniętą ręką i podniesioną głową i Stalin z ręką na sercu. Oba pomniki były naturalnej wielkości człowieka, stały na topornych postumentach, malowane ongiś na ten sam żółtawy kolor, co i domy w mieście — teraz były pokryte łuszczącą się farbą. Gdzieniedzie wyzierały spoza krzywych płotów resztkami zaniedbanych ogródków z krzywymi, bezlistnymi teraz szczątkami drzew i krzewów. Taka była stolica województwa!

Po południu Alina z Marysią poszły do zajazdu dla kierowców — i tak jak się umówiły, wróciły do Korniejewki ze znajomym szoferem. W czasie ich pobytu w mieście Mamę i rodzeństwo zmuszono do szybkiej przeprowadzki. Zastały więc rodzinę już w nowej siedzibie! Mama przepędziła myszy z pieca i własnoręcznie go wyreperowała. Okazało się, że był on bardzo dobry — duża kuchnia z płytą żeliwną, rusztem i drzwiczkami zbudowana była częściowo z szamotowej cegły i tak przemyślnie, że można było w niej piec małe bochenki chleba. Rolę pieca ogrzewczego spełniała duża „leżanka”, pod którą przebiegały ka-

nały ogniowe, tworząc ulubioną na Syberii formę pieca z możliwością spania na nim. Trzeba było szybko postawić na dachu komin, ale teraz Marysia miała już zawsze w zapasie wysuszone samanowe krążki i nakopaną glinę, tak że postawienie komina nawet w czasie mrozu nie przedstawiało problemu. Należało załatać w ścianach dziury, przez które nawiewało śniegu do wnętrza domu, wybielić ściany, umyć i poreperować podłogę, nakryć porządnie dach sieni i *dworu* piotunami, wstawić w sieni okienko, żeby nasze kury i bydłatka nie marzły i miały światło — i mieszkać. Z czasem polubiliśmy ten dom, chociaż doprowadzenie go do stanu używalności znowu kosztowało nas wiele pracy. „Panic” tak był rozpieszczony, że ilekroć ktoś z nas wracał do domu i przechodził przez sieni, to kolorowe ptaszysko wskakiwało na głowę i w ten sposób wjeżdżało do izby, gdzie zawsze czekał na niego jakiś przysmak. Zaczęła się zima — czwarta nasza zima na Syberii — bardzo surowa, mroźna i śnieżna. Termometr przy MTS na wietrze wskazywał czasem temperatury —50°C. Terenia miała stąd o cały kilometr dalej do szkoły. Już drugi rok chodziła do wsi Sowieckoję, gdzie była dziesięciolatka. Wstawała więc przed świtem — ona i Alina, która rozpalala ogień, grzała jej wodę i szykowała śniadanie. Kiedy Terenia wychodziła z domu na straszliwy mróz, przy całkowicie ciemnym i rozgwieżdżonym niebie, Alina wychodziła z nią razem i szła aż do zakrętu, gdzie Terenia spotykała się z innymi dziećmi, idącymi również do szkoły. Gwiazdy świeciły zimno, śnieg odbijał wszystkie blaski i skrzypiał przerażająco pod nogami. Jezioro zamarzło tej zimy bardzo głęboko i od silnych mrozów zaczął pękać lód. Było to zjawisko niesamowite — i jak wszystko tu — w wielkich wymiarach: lód pękał na znacznych długościach, wydając przy tym głucho, przeciągłe stękania i jęki, które niosły się daleko w pustce i trwały przez dłuższy czas. Przypominały stęknięcia i ryki głodnych lwów w ogrodzie zoologicznym. Między pękającym lodem na jeziorze tworzyły się szerokie szczeliny, przez które z sykiem i bulgotaniem natychmiast wlewała się woda. Ogromne kawały lodu poruszały się szybko. Lód wychodził na brzegi jeziora, spiętrzając się na wysokości 2-3 m w malownicze góry. Pęknięcie lodu spowodowało tragiczny wypadek: droga z Korniejewki do Sowieckiego była dość długa i dzieci, chodzące do szkoły, skracały ją sobie przez jezioro. Któregoś dnia w czasie bardzo silnych mrozów dwaj chłopcy szli tą krótszą drogą do szkoły i pod ich nogami pękł lód. Obaj wpadli do wody. Jednego od razu wciągnęły pod lód silne wiry wodne, drugi, przemoczony, w ubraniu przymarzającym do lodu,

wywlókł się z wody i czołgał się w stronę wsi. Na szczęście zrobiło się jasno i ludzie spostrzegli na białej płaszczyźnie pełną stworzenie, przyszli, zabrali do domu, odratowali. Chorował bardzo długo, w gorączce wrywając się wciąż szukać kolegi. Od tego czasu dzieci przestały skracać sobie drogę przez jezioro. Po tym lodzie któregoś dnia przyszedł do wsi renifer. Jak i skąd przywędrował aż na te obszary? Był zmęczony i głodny, gdyż śnieg leżał wszędzie grubą warstwą. Bał się ludzi i uciekał, ile mu sił starczyło, po śniegowych pustkach, ale pewnie go ktoś w nocy upolował, bo na drugi dzień znikł bez śladu. — Tej zimy widzieliśmy też zorzę polarną. Nie było to owo cudowne tężowe zjawisko, znane z opisów podróżników, ale wiła się po niebie purpurowa wstęga nisko nad śniegiem — potem, gasnąc czy też oddalając się, zostawiła po sobie czerwoną poświatę. Chyba jakieś prądy mroźnego powietrza przywiodły ją aż pod tę szerokość geograficzną?

Pomimo że opału mieliśmy dosyć i piec grzał wspaniale — wszyscy z wyjątkiem Aliny zachorowaliśmy na ciężką gripę, z wysoką gorączką i szalonym osłabieniem. Na biedną Alinę spadły obowiązki opieki nad siedmiorgiem chorych; noszenie wody, gotowanie jedzenia, podawanie, sprzątanie, pomoc przy myciu. Najbardziej baliśmy się o zdrowie Mamy, aby grypa nie spowodowała jakich komplikacji. Tymczasem — na szczęście — grypa Mamy przebiegała niegroźnie, natomiast Terenia dostała zapalenia płuc. Biedna była, niebieskie, zgorączkowane oczy patrzyły w jeden punkt, z trudem oddychała, nic nie mogła jeść, a wysoka temperatura utrzymywała się przez kilka dni. Wyleczyła ją z tej groźnej choroby Ada Alfonsowna, zastosowawszy nowy lek — sulfidin — świeżo sprowadzony do apteki. To lekarstwo przerwało chorobę Tereni, w ciągu kilku dni spadła jej gorączka i zaczęła wracać do zdrowia. Złe odżywieni i wymęczeniu nie mogliśmy wygrzebać się z tej grypy! W końcu minęła i nasze czwarte syberyjskie Boże Narodzenie obchodziliśmy z ciężkim sercem, ale jako tako zdrowi. Alina upiekła nawet chleb w naszym piecu kuchennym, a mięso na świąteczny obiad tym razem mieliśmy z własnych kurczaków.

Mama stale szła przy pomocy Marysi, jeżeli nie miała ona robót murarskich lub podszywania walonek, co teraz już było jej drugą specjalnością. Staś wciąż pracował w *mastozawodzie*. Sprytny, ze szczególnymi uzdolnieniami do mechaniki, umiejący bardzo dobrze organizować sobie pracę, był cenionym przez dyrektora pomocnikiem „od wszystkiego”. Jasia po wyzdrowieniu wróciła do pracy w spichrzach. Terenia i Antek uczyli się pilnie,

włączając w to stałe zajęcia z literatury polskiej i historii prowadzone w domu. Zosia, leżąc w łóżku, pomagała Mamie ile mogła w szyciu. Pieczę nad nami wszystkimi sprawowała Alina, utrzymując dom w czystości, gotując nam jedzenie i nosząc wodę. Wyciąganie wody ze studni, a potem noszenie dwóch ciężkich wiader na tzw. „koromysłach”, czyli drewnianych nosiłkach, które opierało się na ramionach i na dwóch końcach na łańcuchach wieszano się wiadra pełne wody było połączone z tak wielkim wysiłkiem, że Alinie nabrzmiały granatowe żyły na całych rękach, zbiegając się promieniście pod obojczykami. Bardzo zły wpływ miał ten ciągły wysiłek na kręgosłup Aliny: skutki jego miały się w pełni okazać dopiero w wiele lat później.

Panował dotkliwy głód. W szkole we wsi Sowieckoje pracował jako nauczyciel jeden spośród ewakuowanych przed Niemcami mieszkańców wielkich miast. Był chudy i wynędzniały, wszyscy we wsi nazywali go *dubinuszka*, gdyż nauczył dzieci smutnej pieśni burłaków znad Wołgi: *Ej, dubinuszka, da uchniem!*... Któregoś dnia znaleziono go w domu martwego: umarł z głodu, wycieńczenia i zimna. Nie umiał i nie próbował nawet dostosować się do sposobu życia, który prowadził do zdzczenia charakterów, ale był jedynym sposobem na przetrwanie.

Wielkie śniegi, mrozy, *burany* oraz brak uzbrojonych mężczyzn we wsiach spowodowały inwazję wilków. Przychodziły nocą, bezczelne, dostawały się do obór i stajenek, zabijały owieczki i raniły lub zagryzały krowy! Zdarzyło się nawet, że weszły do obory w środku wsi, a także wtargnęły do porządnie opatrzonej obórki przy domu Maksima Fiodorowicza. Codziennie zamieraliśmy z obawy o Terenię w czasie jej wypraw do szkoły. Na szczęście z Korniejewki chodziła cała gromada dzieci i młodzieży, a wilki nie atakowały w dzień ludzi.

Nasz nowy dom okazał się ciepły i przytulny, dobrze grzejący piec i drewniana podłoga stwarzały w nim nawet nastrój pewnego „komfortu” — tak że gdyby nie choroby i groza głodu, odpędzanego szaloną dyscypliną i różnymi zabiegami, ta zima została w naszej pamięci jako jedna ze znośniejszych, jakie tu przeżyliśmy. Los jednak gotował nam zupełnie nieoczekiwaną niespodziankę. Któregoś dnia przysłała do nas miejscowa „sędzina” — bardzo niesympatyczna, młoda kobieta. Porozmawiała z Mamą, przyniosła jakiś drobiazg do szycia — nie widzieliśmy wówczas, co ta wizyta oznaczała. — W końcu marca 1944 roku przyjechało do Korniejewki kilkanaście rodzin Inguszków i Czechenów, wysiedlonych z Kaukazu przez władzę sowiecką z obawy przed próbami oderwania ich republik przy pomocy zbliżających

się wojsk niemieckich. Ludzie ci, nieszczęśliwi i zagubieni, wyrwani ze swojego łagodnego klimatu, otoczenia i wspólnot, mahometanie z wieloma żonami i dziećmi oraz bardzo starymi przygarbionymi rodzicami, zostali rzućeni w warunki tak obce i dziwne, że zupełnie nie mogli wyobrazić tu sobie możliwości życia. Mężczyźni zbierali się w grupy, stali dyskutując, bezradni, w swoich pięknych karakułowych czapkach i wełnianych burkach, usiłując znaleźć jakąś radę. Chodzili do władz kołchozu, wydobywali przemocą opał i mąkę lub pszenicę. Wieczorami na topniejącym śniegu rozkładali swoje modlitewniki i odprawiali rytualne modły w stronę zachodzącego słońca. Wkrótce zaczęły im umierać dzieci i starzy ludzie. Przybysze ci, rozmieszczeni w domach razem z miejscową ludnością, źle mówiący po rosyjsku, powodowali konflikty i starcia przez samą swoją inność i całkowitą — przynajmniej w pierwszym okresie — nieumiejętność przystosowania się do miejscowych warunków. W tym czasie — w pierwszych dniach kwietnia — kiedy już wszystkie możliwe mieszkania we wsi były zajęte przez tych przesiedleńców — nagle sędzina zajmuje nasz dom! Był czysty, wyremontowany, z nowym kominem na dachu, ze zreperowanym piecem i podłogą i stanowił — jak na Korniejewkę — bardzo ładne mieszkanie. Musieliśmy więc wyprowadzać się i szukać dla siebie przytułku. Okazało się to wielkim dramatem dla naszej rodziny. Kijanow odmówił Mamie pomocy — powiedział, że wszystkie mieszkania oddał rodzinom przesiedlonym z Kaukazu, nic nie może nam pomóc i możemy sobie iść w step! Wyszła teraz na jaw okrutna perfidia, zawarta w „uprzejmości” Kijanowa, kiedy nam przydzielał zdewastowany dom rodziny Bumaginych w październiku! We wsi byliśmy znani ze swoich prac murarskich i przeprowadzania remontów i zarówno Kijanow jak i „sędzina” wiedzieli doskonale, że doprowadzimy ten zrujnowany dom do stanu używalności za cenę... mieszkania w nim przez zimę! Ta decyzja władz kołchozu spadła na nas jak grom z jasnego nieba. „Sędzina” dała nam pięciodniowy termin na wyprowadzenie się. Powiedziała, że po tym okresie wprowadzi się z rodziną do naszego domu i po prostu nasze rzeczy pouсуwa. Gorączkowo szukaliśmy pomieszczenia — nie broniło nas żadne prawo! Przyjęła nas w końcu mieszkająca niedaleko babuszka Trubicyna do swojej izby *gornicznej*. Tu, wchodząc i wychodząc przez okno — (było nas siedmioro chodzących, a wyjście było jedynie przez kuchnię, gdzie mieszkała gospodyni), przeżyliśmy dwa miesiące. Zaliczaliśmy je do najtrudniejszych okresów naszego sześćoletniego wygnania. Ta przymusowa przeprowadzka wytrąciła nas z normalnego trybu

życia. Musieliśmy przerwać wszystkie prace i likwidować dom, szukając równocześnie na wszystkie strony mieszkania. Kiedy już umieściliśmy się jako tako, pościągaliśmy i pozjadaliśmy wcześniej zarobione produkty, pewnego dnia okazało się, że nie mamy absolutnie nic do jedzenia. Wtedy znalazł się ratunek w postaci zmarzniętych kartofli z piwnic *Siel-Po*, które zarząd tej instytucji sprzedawał amatorom dosłownie za grosze. Kupiliśmy ich dużo. Kartofle były twarde, a po rozmrożeniu różowe i słodkawe. Ale jeszcze niegniły. Myśliśmy je, tarliśmy na tarkach, odsączaliśmy wodę i po dodaniu przesmażonej cebuli, soli i odrobiny mąki zmieszanej z otrębami piekliśmy placki „kartoflaki” w formach w piecu u babuszki. Te „babki kartoflane”, popijane maślanką, przynoszoną przez Stasia z *masłozawodu* — stanowiły całe nasze pożywienie w okresie kilku tygodni. Skończyło się nam ono, kiedy — z nastaniem cieplejszych dni wiosennych — kartofle zaczęły gwałtownie gnić i wydzielać przykry odór, tak że nawet krowa babuszki nie chciała ich jeść. Póki jednak po wyciśnięciu z nich wody dawały się trzeć na tarce, zjadaliśmy je. Na szczęście nikt z nas od tego „pożywienia” nie zachorował. Jednego dnia byliśmy świadkami znamiennego wydarzenia: przy początku ulicy ukazał się człowiek, idący z trudem, potykający się i zataczający, jakby był pijany. Szedł wolno, zatrzymywał się przy mijanych domach, zaglądał do okien i drzwi. Podszedł bliżej — mogliśmy mu się przyjrzeć: był przeraźliwie chudy, wynędzniały, w łachmanach, które zwisały w strzępach, skąpo okrywając jego ciało. Podpierał się kijem i słabym, rozpaczliwym głosem powtarzał: „Ludzieeee... ratunku... umieram...”. W końcu podszedł do naszego domu i wtedy z jego bełkotu zrozumieliśmy, że jest głodny. Alina dała mu spory kawałek naszego kartoflaka i kubek maślanki do popijania. On usiadł na przyzbie pod oknem, zjadł, wypił, zaczął przytomniej rozmawiać i powiada: „Wy chyba nie jesteście tutejsi. Bo z mieszkańców Korniejewki nikt mi jeść nie dał, chociaż jestem z Sowieckiego i wielu tutejszych ludzi znam, zanim mnie na dziesięć lat posadzili. Teraz wracam do domu i nikt mnie tu nie poznaje. Od początku wsi idę i proszę o jedzenie — i dopiero wy mnie nakarmiliście! Bóg wam zapłać!... Zabrał swój kij i powłókł się dalej.

Zbliżały się święta Wielkiej Nocy, a myśmy nie mieli nic do jedzenia poza kartoflakiem i maślanką. W Wielki Piątek przyszła do nas matka Heli i Czesia Matczaków i przyniosła nam mały bocheneczek chleba, więc mieliśmy „chleb święteczny”. Staś wracał konno z jakichś „masłozawodzkich wojaży” i upolował po drodze gęś, schwyciwszy ją batem za szyję, jak na

lasso. Mieliliśmy więc i pieczyste! Mama coś szybko uszyła — dostaliśmy kilkanaście litrów mleka i jaj — i tak nazbieraliśmy produktów na święta! — Po Wielkiej Nocy ziemia obeschła i już świeciła nam nadzieja na przeżywanie się w czasie sadzenia kartofli.

W wielkim Tygodniu obrządku prawosławnego babuszka Trubicyna opowiadała nam następującą historię: kobiety w Korniejewce przechowywały krzyż i figurę Chrystusa leżącego w grobie, uratowane ze zburzonej cerkwi. I każdego roku, w Wielkim Tygodniu, zbierały się na nocne modlitwy w którymś z domów — najczęściej u Nowikowych, zamożnych gospodarzy, których dom — najładniejszy we wsi — stał na górze przy końcu ulicy Nabierieżnoj nad jeziorem. U nich była na przechowaniu Figura — i jak co roku — kobiety przyszły w noc wielkopiątkową na modlitwy. Zapaliły lampki-kopciłki, ustawiły krzyż, ułożyły Figurę, klęczały, modliły się i śpiewały pieśni. Nad ranem wpadł do nich *predsiedatiel siel-sowietu* Szewczenko, zrzucił krzyż, porzucił lampki, usiadł przy Figurze Chrystusa, zaczął przeklinać i wyśmiewać to „nabożeństwo” oraz wyganiać kobiety do pracy w kółchozie przy szykowaniu siewów. Na polach leżał śnieg lub grząskie błoto, o żadnych pracach polowych nie mogło być mowy przez najbliższych kilka tygodni. Zrozpaczone i przerażone kobiety sprzątnęły zbezczeszczone świętości, ukryły je, ale nie dały się zastraszyć i w noc Wielkanocną, w największej tajemnicy, odbyły swoje biedne, improwizowane nabożeństwo. A tymczasem w obliczu klęsk wojennych i pod presją zachodnich aliantów, udzielających pomocy Sowiетom otwarto na terenie Związku Sowieckiego wiele cerkwi i pozwolono na odprawianie służby religijnej. Do tego zapadłego kąta te nowości dochodziły z wielkim opóźnieniem i okrutny, samowładny Szewczenko, przyjaciel i kompan Kijanowa, okazał się zbyt gorliwy w tępieniu tradycji religijnych. Nic to jednak nie pomogło! Głębokiego przywiązania do wiary nie wykorzenił. Nowonarodzone dzieci chrzczono po kryjomu w nocy, modlono się przy zmarłych, znano daty świąt ruchomych, przechowywano ikony i medaliki. Ojciec naszej dawnej gospodyni — Mikołaj Antimonow — pokazywał Marysi schowane u niego obrazy z cerkwi. Był on mądrym człowiekiem, bywałym w świecie, pobożnym i uczciwym. Lubił rozmawiać z Marysią, kiedy budowała u niego w domu piec, a potem chodziła odbierać zarobione mleko. Pytał ją o warunki życia w Polsce i o wszystkie jego przejawy. Kiedyś powiedział: „Wygląda na to, że nasi (Czerwona Armia) zajmą wasz kraj. Biedni wy będziecie, biedni! Patrz, co oni z naszym narodem zrobili!

Oduczyli naszych ludzi uczciwie pracować! Wszystko się opiera na złodziejstwie i oszustwach. Jedni drugich już oszukują i okradają, nikomu wierzyć nie można. Jeżeli nasi u was dłużej posiedzą, to i z waszym polskim narodem będzie to samo: wasi ludzie też się oduczają prawdziwej pracy. Nikt nie zechce pracować na tyłu „panów”. Policz tylko: przewodniczący kółchozu, przewodniczący *siel-sowietu*, księgowy jeden i drugi, dyrektor MTS, dyrektor *Siel-Po*, pięciu brygadierów, rachmistrze — ich wszystkich zastępcy — kto ich zliczy! Dawniej był pan, dziedzic i jego rodzina — ale on głową rządził i za pracę odpowiadał — i chociaż płacił. A oni? — Wszystko bezkarnie rozkradają między siebie!”.

Młodsza córka Mikołaja, szesnastoletnia Marusia, spytała kiedyś Marysię: „Powiedz mi, czy to prawda, że u was w sklepach to tak jest, że jeżeli przyjdiesz kupić wstążkę, to wyłożą ci na stół tyle wstążek i w takich kolorach, że ci się w oczach mieni, a jak chcesz kupić materiału na sukienkę albo spódnicę, to kupiec ci wyrzuci na ładę tyle materiałów w różnych kolorach, w kwiatki, w paski, kropki, kratki — i gładkich, i lejących się, cieńszych, grubszych — że umrzeć możesz, póki się zdecydujesz! Tato mówi, że tak było kiedyś u nas i dalej jest na świecie — a ja mu nie wierzę! Powiedz, widziałas to na własne oczy?”.

Wiosenne wiatry, wysuszające błyskawicznie ziemię i wypijające wodę, przyszły — jak zwykle w tym kraju — gwałtowne i bardzo silne. Po kilku dniach wiania było na tyle sucho, że rozpoczęły się roboty na polach i w ogrodach. Wiatry wiały wciąż, przynosząc z głębi ładu brunatny pył, który każdej wiosny wisiał nad ziemią ciemną chmurą, dochodzącą do 5 metrów wysokości. Pył wciskał się wszędzie: do oczu, uszu i nosa, zgrzytał w zębach, przez zamknięte drzwi i okna wnikały jego odrobiny do mieszkań, pokrywając wszystkie sprzęty warstwą kurzu. Zjawisko tych burz pyłowych, występujące każdego roku, tej wiosny trwało wyjątkowo długo i powodowało zapalenie oczu. Alinie wytworzył się na oku bolesny jęczmień, utrudniający patrzenie. Babuszka Trubicyna, znająca różne zaklęcia i sztuczki, bardzo skuteczne w licznych chorobach, ofiarowała się go „zamówić”. Wypowiadała długie zaklęcie:

„Wyrąbię cię toporem,
wypalę cię ogniem,
wytnę cię kosą,
jęczmieniu, jęczmieniu,

wyjdź z Linuszki oka,
idź na lasy i pola,
zostaw ją w spokoju”...

i pluła trzykrotnie w oko, okręcając się przy tym zwinnie dookoła swej drobnej i ruchliwej postaci. Jęczmień wygoił się po kilku dniach, „poszedł na lasy i pola”, trochę od „zakłęt” babuszki, a głównie, że już czas przyszedł — i został tylko ślad. Bez lekarstw i witamin i przy nędznym odżywianiu wszystko z trudem się goiło.

Minęły burze pyłowe, sadzenie kartofli w ogrodach ruszyło pełną parą. Mieliliśmy teraz na pewien czas zapewnione pożywienie, a także przynosiliśmy do domu zarobione ziemniaki. W kołchozie nadal nic nikomu nie płacono za pracę, odżywianie w brygadach polowych podczas siewów było coraz nędzniejsze i zdobycie wystarczającej ilości jedzenia było dla nas wciąż problemem najwyższej wagi, chociaż pracowaliśmy wszyscy. Nawet kraść było coraz trudniej, gdyż na tym polu — od czasu przyjazdu wysiedleńców z Kaukazu — szerzyła się szalona konkurencja. Kończyły się dwa miesiące — czas, na jaki nas babuszka Trubicyna przyjęła do swojego domu, i musieliśmy znowu szukać sobie mieszkania. Na pewien czas wydzierżawiła nam swoją sieni Niurka Sienochina, gruba, miękka blondynka z jasną cerą, niebieskimi, śmiejącymi się oczami, wesoła, dobrodusza i hałaśliwa. Miała we wsi sławę nielegalnej akuszerki, specjalistki od usuwania niepożądanego ciężaru, i nie stroniła od wypicia i od towarzysztwa męskiego. Znała też mnóstwo czastuszek, przyśpiewek i powiedzonek. Od niej nauczyliśmy się przypowiastek w rodzaju:

*Sierp i motot —
śmierć i gołot.*

*Kak ja był Kirgiz —
Jeł ja mięso, pił kumys.
Kak ja stał Kazach —
Oj, baj! Propał moj korsak!*

*Kak był Nikołaszka —
Byli sztany i rubaszka.
Priszło sowiet —
Niczewo niet!*

Niurka sypała nimi jak z rękawa, a w okresach „wielkiego picia” była w czasie nocnych, oszalałych śpiewów pierwszym „zapiewają”. Dla nas była serdeczna i pełna współczucia. Zosia miała u niej swoje łóżko ustawione w izbie, toteż bywała świadkiem jej „praktyk”, w czasie których kryła się pod kołdrę. Myśmy mieszkali w sieni, na gromadzie, pod dziurawym dachem, z którego w czasie ulewnych, wiosennych deszczów lało się nam na głowy! I na to mieszkanie musieliśmy zapracować: Marysia i Jasia wyczyściły z nawozu stajenkę czterech owieczek, wyrabując i wyrzucając nawóz, udeptywany twardymi raciczkami przez trzy lata. Była to istna stajnia Augiasza, tyle, że nie było w pobliżu rzeki, nawóz był cennym opałem, więc wodą nie można było go splukać — a Marysia i Jasia nie były Herkulesami...

W końcu czerwca przyjęła nas do swego domku przy końcu ulicy Kłapy Ninka Surmina, przyjaciółka Niurki, wesoła, gadaliwa, podobnie jak Maksim Fiodorowicz wspinała narratorka. Domek był mały, nieco podobny do naszego ulubionego domku w pobliżu jeziora — sieni miał jednak o wiele mniejszą i bez dachu. Zimować tu nie mogliśmy, gdyż byłoby nam zbyt ciasno — ale na kilka miesięcy mieliśmy zapewniony spokojny dach nad głową. Gospodyni z małą córeczką — po wyjeździe męża na wojnę — mieszkała u teściowej.

Tego lata Marysi i Jasi udało się zrealizować od dawna wymarzoną i zaplanowaną wycieczkę na Sopkę. Góra ta od dawna fascynowała nas wszystkich. Jej kształt stożka wulkanicznego i płowe zbocze, widoczne we mgle oddalenia, przyciągały zapowiedzią nieznanego, nowych widoków. Jedna z sąsiadek wybieła się wózkami zaprzęgniętym w krowę po żerdzie do lasu pod Sopkę — umówiły się więc z nią i poszły. Wyprawę rozpoczęły o godzinie drugiej w nocy, na długo przed świtem, aby przed upałem zdążyć do lasu. Do stóp góry dotarły przed południem, pomogły sąsiadce naciąć brzołek na żerdzie, zjadły zabrane na drogę gotowane w łupinach kartofle, umówiły się z sąsiadką gdzie ją odnajdą — i poszły zwiedzać okolice. Sopka wznosiła się dość wysoko. Drugie jej zbocze było prawie bezleśne. Lasy zostały wytrzebione w przeciągu ostatnich 40 lat. Blisko wierzchołka góry Marysia i Jasia trafiły na stary cmentarz Kirgizów, pełen kamiennych grobów. Niektóre z nich były puste i wyglądały jak skrzynie wyłożone kamieniami. Inne — nienaruszone — przykryte były piramidkami kamieni, na których stały mniejsze i większe kamienie, ociosane w kształt nieregularnych graniosłupów. Z tej strony zbocze opadało dość nisko i spod wierz-

chołka roztaczał się daleki widok. W błękitniejszej przestrzeni, w dole, widać było lasy. Z obu ich stron i za nimi wzrok gubił się w rozległym, dzikim i bezludnym krajobrazie, w którym — w oddali — zacierają się kształty i barwy. Niczym niezmaczona cisza panowała na tych bezmiernych przestrzeniach, z rzadka pewnie dotykanych ludzką stopą. Człowiek czuł się tu drobną, nic nie znaczącą istotą, zawieszoną jakby między niebem i ziemią. — Słońce przesunęło się na stronę zachodnią. Trzeba było wracać. Marysia i Jasia wdrapały się jeszcze na kamienny wierzchołek góry, gdzie — podchodząc — spłoszyły z gniazda wielkiego, szarego orła. Obok gniazda widoczne były resztki uczt drapieżnego mieszkańca tych pustek — pióra ptasie i strzępki płowej sierści gryzoni stepowych. Sąsiadka powiedziała im potem, że miały szczęście, iż w gnieździe nie było młodych, gdyż wtedy orzeł mógł je zaatakować. Pomimo zmęczenia musiały iść szybko, żeby nie spóźnić się na umówione spotkanie. Po drodze nazbierały jeszcze świeżych, czerwonych jagód o wyglądzie poziomek i smaku zbliżonym do truskawek — bez tego wspaniałego zapachu i odrobiny gorzkości, jaką mają nasze poziomki, dojrzewające na polanach w sosnowych lasach. Sąsiadka już na nie czekała i zaraz wyruszyły w drogę powrotną. Głodne, spragnione i zmęczone dowlokły się następnej nocy do domu. Jednakże przepęniało je uczucie wielkiego zadowolenia z powodu wyprawy, w wyniku której ta Sopka, prowokacyjnie wyrastająca z horyzontu — przestała być nieznana. Mama, Alina i Zosia dostały swoją porcję jagód i zapachniało im lasem od gałązek sosnowych i brzozowych, przyniesionych z wycieczki. Z cmentarzyska Kirgizów Marysia i Jasia przyniosły też kilka garści okrągławych kamyków o mlecznych, pastelowych kolorach.

Od Polek, przychodzących z Jużnego na bazar do Korniejewki, wyszła propozycja przeniesienia się naszej rodziny Inguszów i Czecenów. Umieszczono ich w opuszczonych domach, których właściciele przed paroma laty wyjechali do innych miejscowości szukać możliwości lepszego rozwiązania swojego losu. Opustoszałe domy częściowo rozgrabiono, deszcz, mróz i wiatr też zrobiły swoje. Dachy i ściany tych domów wyremontowano i uzupełniono ubytki na polecenie zarządu kołchozu, ale pieców i kominów nie miał kto budować, gdyż obaj murarze z Jużnego byli na wojnie. Zaczęły się wówczas pertraktacje o pracę dla Marysi jako kołchozowego zduna we wsi Jużnoje i o możliwość przeprowadzenia się całej rodziny. Nie była to sprawa łatwa, gdyż wieś Jużnoje leżała w kokczietawskiej *obłasti*, a nam wolno było swobodnie poruszać się tylko w obrębie lenińskiego rejonu. Każda

przewodniczka wymagała pozwolenia „władzy”. Przyszły wówczas z pomocą różne wydarzenia, których splot stworzył okoliczności, sprzyjające zrealizowaniu bardzo dla nas korzystnego planu, chociaż sprawa przeniesienia się naszej rodziny do Jużnego przeciągnęła się aż do września.

Mama zyskała sobie w Korniejewce sławę bardzo dobrej krawcowej i co wytworniejsze „elegantki” ubiegały się o Mamy szycie. Do stałych klientek należała żona Szewczenki, owego bezwzględniego *predsiedatiela siel-sowietu*, zwalczającego praktyki religijne. Szewczenkowa przyniosła Mamie materiał na uszycie zimowego płaszcza — podszewkę, watoлинę i uchodzący wtedy za szczyt wytworności w lenińskim rejonie — czarny *miatyj plusz*. Zażądała budkowego kołnierza. Takie kołnierze były modne w latach dwudziestych bieżącego stulecia. Trzeba przyznać, że w syberyjskim klimacie budkowy kołnierz był bardzo przydatny. Oślaniał wysoko twarz, uszy i tył głowy, zachowując maksimum ciepła. Był jednak bardzo trudny do uszycia i Mama była w nielada kłopotcie, nie mając formy do jego wykrojenia. Obie z Marysią debatowały, jak go uszyć i nie zepsuć materiału, gdyż ten „gnieciony plusz” był nie do odkupienia: Szewczenkowej przywiózł go ktoś z Moskwy. I wtedy — jak na zamówienie — jedna z klientek przyniosła Mamie płaszcz z „budką” do wymiany podszewki! Kołnierz został starannie wypruty, forma wykrojona, „budka” wróciła na swoje miejsce, a Szewczenkowa była szczęśliwa, odbierając płaszcz z kołnierzem swoich marzeń. Sama poleciła nam przychodzić do siebie po mleko przez trzy miesiące! — Wiosną i latem tego roku nasiliły się złodziejskie wyprawy, w które wplątywał Stasia dyrektor *masłozawodu*. Wysyłał on Stasia po drzewo do lasu do sągów innych „instytucji” i ktoś tam Stasia podpatrzył. Przyłapano go również na podbieraniu siana ze stogów *Siel-Po* — dla masłozawodzkich koni. Stasiowi groziła sprawa sądowa i co najmniej 3 lata obozu pracy. W lipcu, w okresie „przednowkowego” nasilenia głodu nasze kradzieże też przybrały większe rozmiary: Staś przyjeżdżał często bryczką dyrektora na noc do domu i śliczna klacz Katia nocowała w naszej zagrodzie. Przed świtem Staś zaprzęgał konia do bryczki i jeździliśmy na podkopyki kartofli z workiem, który nam starczał na tydzień. Nie musieliśmy czołgać się z wiadrem pod krzakami i potem chyłkiem, tracąc dech ze strachu, gnać z ciężarem do domu. Któregoś dnia przeżyliśmy groźny moment: leżeliśmy pod krzakami kartofli, wybierając zawzięcie ziemniaki; Katia z bryczką czekała spokojnie na drodze. Nagle w brzasku świtu zobaczyliśmy postać idącą szybko w naszym kierunku. Zamar-

liśmy z przerażenia! Byliśmy pewni, że ktoś odkrył nasze nocne prace i idzie nas przyłapać na gorącym uczynku! Przypadliśmy w brzdach, Staś odważnie biegł do konia, za którego odpowiadał i bał się, żeby mu go nie uprowadzili. Okazało się, że to jakiś pijak wracał po nocy przespanej we wsi Sowieckoję do domu! Ukradł tylko po drodze z bryczki wspaniałą bat Stasia, pleciony z czterech pasemek skóry — a Staś był wysoko cenionym we wsi specjalistą od splatania batów! Wróciliśmy do domu z tym workiem kartofli — naszym tygodniowym zapasem — i z drżącymi jeszcze z emocji rękami i nogami! Wszystkie te przygody wskazywały, że pora zmienić miejsce pobytu i znaleźć taki kołchoz, gdzie nareszcie złączą nam płacić za pracę. Polki z Juźnego opowiadały nam o porządkach, panujących w ich wsi, o swoich zarobkach za pracę w polu i o stosunku zarządu kołchozu do ludzi. Mama modliła się o pomyślne zrealizowanie planu przeprowadzki, sądząc, że będziemy mogli wreszcie zaprzestać uprawiania kradzieży, jeżeli nam będą normalnie płacili. Tymczasem do Korniejewki zjechał prokurator z Petropawłowska celem przeprowadzenia śledztwa w sprawie kradzieży siana ze stogów *Siel-Po*. Dyrektor *mastozawodu* zapowiedział, że całą winą obciąży Stasia. Wtedy nasza Mama poszła sama do prokuratora na rozmowę. Powiedziała mu, że nikt Mamie nie zabroni w czasie rozprawy sądowej bronić własnego szesnastoletniego syna, że Mama opowie sędziom o wszystkich kradzieżach masła, drzewa z lasu z obcych sągów, sań pozostawionych na polu i temu podobnych wyczynach, do których Staś był używany i wdrażany przez dyrektora *mastozawodu*. A także powie o tym, że my nie mamy krów ani koni — dla kogo więc Staś brał to siano ze stogów *Siel-Po*? Mamy doskonały rosyjski i logiczne wywody przekonały prokuratora, który — sam będąc „odbiorcą” skrzynek masła z *mastozawodu* — nie bardzo chciał nadawać rozgłosu całej tej sprawie. Zapytał Mamę, jakie widzi możliwości rozwiązania problemu, wygodne dla obu stron. Mama mu odpowiedziała, że jedynym dogodnym wyjściem z sytuacji byłoby udzielenie pozwolenia na przeniesienie się naszej rodziny do kołchozu Juźnoje w innej *obłasti* i rejonie, gdzie dostaniemy pracę i znośniejsze warunki życia. Prokurator — uszczęśliwiony — obiecał zgody udzielić. Szewczenko był do nas życzliwie ustosunkowany dzięki budkowemu kołnierzowi u płaszczu swojej żony — sprawa naszej przeprowadzki do Juźnego nie napotykała więcej przeszkód i mogła zostać zrealizowana w ciągu najbliższych tygodni. Zaraz też wszyscy przystąpili do pakowania i likwidowania domu w Korniejewce, a Marysia powędrowała do

Juźnego na rozmowy z zarządem kołchozu w sprawie swojej pracy.

JUŹNOJE

Marysia zatrzymała się u pani Marii Sokołowskiej, która mieszkała w tej wsi z córką Marylką i samotną dziewczyną bez ręki, Izą. Te kobiety przeżyły na Syberii wielkie tragedie: matka Izy umarła latem 1940 roku, zostawiając swoją biedną córkę zupełnie samą. Wtedy zabrała ją do siebie p. Maria Sokołowska, żona właściciela ziemskiego z Wołynia. W roku 1941 mąż jej, zwolniony z łagru w ramach amnestii, która dotyczyła Polaków, odnalazł żonę i córkę i przyjechał do Juźnego. Na jesieni 1941 roku przeziębził się, długo chorował, wywiązało się zapalenie płuc — którego nie potrafił zwalczyć wycieńczony więzieniem i obozem organizm — i pan Sokołowski zmarł w zimie 1942 roku. Żona i córka po raz drugi przeżyły stratę odzyskanego ojca i męża — tym razem na zawsze. W trzy lata potem, kiedy poznała je Marysia, były już zrezygnowane i spokojne, ale tragedia ta wstrząsnęła całym ich życiem.

Marysia nocowała u nich, wieczorami budując im kuchnię z ogrzewczą ścianką. W ciągu kilku dni pobytu we wsi miała dla próby zbudować dwa piece: jeden duży, w szpitalu wiejskim, w dosyć obszernym pomieszczeniu, które było przeznaczone na salę chorych, i drugi — kuchnię ze ścianką ogrzewczą — w mieszkaniu felczerki, Diny Pietrowny. Oba te piece miały być sprawdzianem zdumskich umiejętności Marysi i miały wpłynąć na bieg dalszych losów naszej rodziny.

Cegły do budowy pieców — czerwone, dobrze wypalone — przywieziono z najbliższej cegielni. Dostarczono drzewce, rusztów, zasuwek, do kuchni przywieziono żeliwną płytę. Budowa obu pieców z kominami (+ kuchnia u pani Sokołowskiej) zajęła Marysi 5 dni. W tym czasie stołowała się w przedszkolu kołchozowym, prowadzonym przez Rosjankę, Annę Pawłownę Pikulinę, która tu przyjechała na początku wojny z Leningradu. Budowanie pieców w szpitalu przez Marysię było pewnego rodzaju sensacją we wsi i wciąż ktoś przychodził obserwować postępy robót. Stałymi widzami byli felczerka i nauczyciel przysposobienia wojskowego w miejscowej szkole 10-letniej, Rosjanin,

rekonwalescent z przyfrontowego szpitala. Przychodził codziennie, siadał na parapecie okiennym, przypatrywał się robocie i rozpoczynał taką np. rozmowę: „Ale wy — to widać po rękach — nie *iz raboczych*. Wasze pochodzenie będzie pewno inteligentkie”. — Marysia na to: „A bo co, nie podoba się wam mój sposób pracy?” — „Ależ nie, co znowu, nawet uważam, że jak na człowieka nie z klasy robotniczej umiecie sobie całkiem nieźle robotę organizować!”. — Dina Pietrowna, bardzo niesympatyczna i oschła osoba, również uważała za stosowne udzielać rad, a nawet odzywać się uszczypliwie o unikaniu zbytniego pobrudzenia ubrania przez Marysię lub zniszczenia inteligentnych rąk.

Ukończone piece obejrzeni obaj *predsiadatele*: kołchozu — Mikołaj Aresztowicz i *siel-sowietu* — Antoni Rosnowski. Obaj wyrazili swoje zadowolenie z wykonanej pracy i zgodzili się zatrudnić Marysię jako kołchozowego zduna, z normowanymi według przepisów dniówkami, wyżywieniem zapewnionym w wiejskim przedszkolu oraz — w ramach umowy — zobowiązali się dostarczyć wóz zaprzęzony w parę wołów do sprowadzenia rodziny z Korniejewki. Nie obiecali jednak zakwaterowania! Wszystkie puste domy zajęte były przez rodziny, wysiedlone z Kaukazu. Teraz Marysia rozpoczęła bieganie po wsi i szukanie gospodarzy, którzy by całą ósemkę przyjęli do domu. Pomagały jej znajome z noclegów w Korniejewce, Polki. Obiecali przyjąć całą rodzinę do swego domu Ilnicy, sąsiedzi przez ścianę Boguckich, poznanych już dawno, jeszcze w Poputni w 1940 roku. Po południu piątego dnia przyszli Mama z Antkiem. Marysia właśnie kończyła tynkować i bielić piece. Omówili ostateczne warunki mieszkania z Ilnickimi i o świcie mieli wyjść z wozem, aby zdążyć przywieźć rodzinę przed wieczorem. Do przebycia w obie strony było około 50 kilometrów! Mamie śniło się tej nocy, spędzonej w Juźnym, że szła nad brzegiem rowu, pełnego wzburzonej wody ze śniegiem i nie mogła przedostać się na drugą stronę, gdzie była Marysia. Dopiero po długich próbach Marysia udało się podać Mamie rękę i pomóc jej przejść przez tę wodę... Rano Mama była niespokojna i przed wyjściem do Korniejewki mówiła, że może zdarzyć się coś nieoczekiwanego z tym mieszkaniem! Po wyjściu Mamy i Antka z Juźnego Marysia pobiegła do Ilnickich — ale oni spokojnie potwierdzili obietnicę przyjęcia całej rodziny. Marysia kończyła pracę przy piecach w szpitalu do wieczora. Przed zachodem słońca zaczął mżyć deszcz i wtedy przybył do wsi „wspaniały zaprzęg” wyładowany rzeczami, z żarnami, kurami, koziołkiem Wasią, kozą Kizią i prosiakiem. Na

stosie porządnie upakowanego gospodarstwa jechała Zosia, trzymając jedyną naszą doniczkę z kwiatkiem. Reszta rodziny towarzyszyła zaprzęgowi na piechotę, prowadząc bydłatka. Cały ten wielki wóz zajeżdżał przed dom Ilnickich — i oni w t e d y kategorycznie odmówili przyjęcia naszej rodziny do swego domu, nawet na przeczekanie deszczu, który właśnie rozpadał się na dobre! Sprawdził się Mamy sen! Marysia pobiegła szukać ratunku w tej już jako tako znajomej wsi i znalazła dobrą duszę: przyjęła nas do swojej letniej kuchni, dobudowanej do ściany domu Grabowska, za obietnicę wybudowania u niej kuchni z ogrzewczą ścianką. Szybko wyładowaliśmy rzeczy i ułożyliśmy Zosię. Antek odprowadził woły z wozem do stajni. Nasze nowe mieszkanie było malutkie i tak niskie, że był w nim tylko wąski pasek przestrzeni przy ścianie, na którym stojąc Staś dotykał sufitu głową! Ale mieliśmy dach nad głową, a w małej obórcie znalazły miejsce nasze bydłatka i kury. Marysia na drugi dzień, od świtu począwszy, wybudowała małą kuchenkę — miejsce pracy Aliny. Rozłożyło się na słońcu zmoknięte kołdry, koce i ubrania. Mama poszła do szkoły zapisać Terenię i Antka. Staś zgłosił się do prac polowych przy żniwach. Jasia — tradycyjnie — do pracy w spichrzu. Marysia poszła stawiać pierwszy piec w domu, zajęтым przez rodzinę Inguszów. Dni bieły szybko, trzeba było przygotować zapasy kiziaku i piołunu na zimę, i rozejrzeć się za prawdziwym mieszkaniem. Ta letnia kuchnia, malutka, z cienkimi ścianami, była tak ciasna, że po roztawieniu prycz nie było jak się poruszać i absolutnie nie nadawała się na mieszkanie dla ośmiu osób! — Pole piołunowe było blisko, Marysia opanowała sztukę koszenia ich kosą, Jasia, Terenia i Antek łamali je nogami — tak, że w ciągu dnia mogliśmy przygotować dwie fury piołunów. Należało się spieszyć przed jesiennymi deszczami. Nie można też było zaniedbać okazji zarobienia przy kopaniu kartofli, jedyne „legalne” źródło ich zdobycia i zrobienia zapasu na zimę. Roboty mieliśmy dużo. W brygadach polowych posiłki były obfitsze niż w Korniejewce, toteż Staś, który znów cały tydzień spędzał na polu i na niedzielę wracał do domu umyć się i przebrać, nie był już stale głodny. Marysia stołowała się w przedszkolu, w tzw. *jaslach* kołchozowych — i Anna Pawłowna, zorientowawszy się szybko w naszej sytuacji rodzinnej, zawsze usiłowała dodać do porcji Marysi coś dla Zosi — to jakieś resztki rozsypującego się chleba, to znów pozostałą zupę „lemieszkę”, czyli prażoną mąkę zagotowaną z mlekiem, lub resztkę krupniku z obiadu. Mama nie mogła tu żyć z uwagi na brak miejsca w domu, zaczęła więc intensywne

roboty na drutach. Były one tu popularne, gdyż większość Polek zarabiała w ten sposób. Ale było tu wiele owiec, wełna w niezłym gatunku, mieszkańcy Jużnego mieli nieco większe wymagania i aspiracje, tak że roboty starczało dla wszystkich chętnych.

Budowa pieców posuwała się szybko. Były one podobne do siebie, w każdym jednak trzeba było ułożyć co najmniej 350 cegieł, wbudować ruszt, ułożyć płytę, wstawić zasuwkę i wybudować komin na dachu. Cegły były niewypalane, piaskowe, łatwiejsze w obróbcę, przygotowane wiosną i latem przy pomocy Czechenów i Inguszków i wysuszone na słońcu. Dbałość o wyremontowanie domów dla wygnańców była wynikiem dobrej woli zarządu kołchozu. Mieszkańcy Jużnego mieli własne, niezbyt dawne doświadczenia ze swoich pierwszych miesięcy pobytu w tym kraju i chcieli nieszczęsnym, zagubionym ludziom oszczędzić tragicznych przeżyć. Przy budowie pieców Marysia korzystała z pomocy kobiet i dzieci przesiedleńców. Nauczyła się liczyć w ich języku, nazywać wodę, piasek, cegłę. Dzieci ją polubiły i gdy szła ulicą przez wieś, biegła za nią gromada czarnookich i czarno-włosych malców wołających: „Ca! szyi! ko!” — (raz, dwa, trzy!) — mężczyźni, „głowy rodzin”, traktowali ją na równi ze sobą, wstawali, gdy wchodziła i pozdrawiali słowami *salem alejkium*, a nie *marszol*, jak zwykle mówili do kobiet. Wszyscy oni mówili źle po rosyjsku, kobiety znały czasem zaledwie kilka słów, nie pisały prawie nikt. Spotkaliśmy jednego wykształconego Ingusza — Idrysa Bogołowa, który nawet zaprzyjaźnił się z paniami Sokołowskimi. Nauczył on nas pięknej i smutnej piosenki „Suliko” i opowiadał niesłychanie barwne historie z organizacji życia kołchozów na Kaukazie. Jeżeli we wsi mieszkają zaprzyjaźnieni i zżyci ludzie — budują spichrze, obory, stajnie i owczarnie kołchozowe, ale cały dobytek zachowują w swoich gospodarstwach. Kiedy ma się zjawić kontrola kołchozu z rejonu — „swoi ludzie” dają wcześniej znać i całe bydło spędza się na czas do budynków kołchozowych, zagospodarowując również wszystkie wspólne urzędnictwa. Bydło i owce, zaopatrzone przez właścicieli w paszę, stoją w czystych stajniach, dopatrzone i zadbane, świadczące o wspaniałych metodach pracy zarządu i mieszkańców kołchozu. Natychmiast po odjeździe kontrolerów, poprzedzonym zwykle pożegnalną ucztą, właściciele zabierają swoje stadka i maszyny na ich zwykłe miejsca i do następnej kontroli życie toczy się normalnym trybem. W niektórych kołchozach podobno nawet pola są podzielone między właścicieli i uprawiane indywidualnie, a zboże zsypuje się do spichrza w razie potrzeby. Idrys Bogołow po kilku miesiącach pobytu w Jużnym wyjechał

do Petropawłowska, gdzie udało mu się lepiej zorganizować sobie życie.

Wkrótce Marysia zasłynęła jako sekretarz Inguszków i Czechenów. Pisywała im pod dyktando listy do rodzin i przyjaciół, którzy pozostali na Kaukazie i odczytywała odpowiedzi przychodzące z ich kraju. Nabrali do niej zaufania i podczas dyktowania listów wtajemniczali ją w swoje układy rodzinne i opowiadali jej przeróżne historie ze swego życia. Listy były smutne i pełne tęsknoty:

„Drogi Bracie! Pozdrawiam ciebie z tego dalekiego kraju w imię naszego wszechmocnego Allaha, który niech ma cię w swojej opiece. Donoszę ci, że z łaski Allaha jestem zdrow i żywy, tak samo moja żona i moje dzieci, którzy ci przesyłają życzenia błogostawieństwa naszego wszechmocnego Boga. My tu mieszkamy inaczej niż w naszym ukochanym Kaukazie. Kraj jest równy i płaski, nie ma gór i lasów. Są tylko pola. Chodzimy do pracy przy żniwach. Ludzie mówią, że w zimie jest tu bardzo zimno i całą ziemię pokrywa śnieg. Teraz jest chłodniej, ale latem było bardzo gorąco. Napiszcie nam, czy nasza matka jest zdrowy i czy wasz krów się ociełił i o owieczek. I jak kosztuje pszenica. Tu pszenica do kupienia nie ma. Przesyłamy wam życzenia zdrowia, niech Allah ma w opiece ciebie, twoja żona i twoje dzieci. Żmu ruku — wasz brat Izrail Bogotow”.

Takie listy pisywała Marysia, nie zmieniając w nich szyku zdań ani gramatyki — bo takie oni rozumieli i chcieli pisać. Po napisaniu odczytywała głośno, obecni z poważnymi minami kiwali głowami i akceptowali. Jeżeli autor umiał się podpisać — podpisywał sam. W odpowiedzi przychodziły trójkątnie poskładane listy na rzadkim, gazetowym papierze, o treści np. takiej:

„Drogi bracie Izrail! Dziękuję tobie za twój list z błogostawieństwem Allaha. I tobie życzenia błogostawieństwa przesyłam od naszego wszechmocnego Boga. Ja jestem zdrowy, mój żona i dzieci też są zdrowy, nasz matka chorował, ale już jest zdrowy. Krów się ociełił, cielak jest jałowka, o owieczek pytasz, to ci odpowiem, że przybył cztery, chowają się zdrowo. Te domy we wsi, co wyście mieszkali, stoją puste i już w waszym domu

i w domu Azdojewa rosną słoneczniki, bo wyrosły tam w lecie. Jeżeli tam idziemy, zaraz lecą nam tzy, bo smutek nas ogarnia i was tam nie ma. Pół wsi stoi pusty. Dzieci nasze podrosły, chodzą do szkoły. Pszenica u nas też nie ma na sprzedaż, jak jest, to jest drogi, 100 rb za pud. To teraz kończę i posyłam tobie, twoja żona i dzieci i twojego przyjaciela Muhammeda i twojego brata Ali dużo błogostawieństwa naszego Allaha. Żmu ruku — twój brat Achmed”.

Tym pisaniem i czytaniem listów — po wiele razy każdego i wszystkim, kto chciał — może jeszcze bardziej niż budową pieców zaskarbiła sobie Marysia przyjaźń tych ludzi. Zapraszano ją na uroczystości rodzinne i obchody świąt mahometańskich, podczas których śpiewano poważne, smutne i jednostajne, ale melodyjne pieśni-modlitwy. Potem mężczyźni tańczyli pełne temperamentu i rycerskości względem kobiet tańce, w takt coraz pospieszniejszego uderzania w dłonie i podniecających pokrzykiwań widzów. Na te uroczystości chodziły zwykle Marysia z Aliną, we dwie, z ciekawości i dla bezpieczeństwa. W swoich ognistych tańcach mistrzowie Kaukazu wypowiadali tęsknotę za krajem rodzinnym. Pełne temperamentu obroty i skłony ze zharmonizowanymi ruchami rąk i wyrzucaniem nóg, otaczały coraz szybszym kręgiem partnerkę, cofając się i zbliżając, aby tylko jej nie dotknąć — gdyż na tym polegał rytuał tańca. Dziewczyna drobnymi kroczkami posuwała się — płynąc — w kierunku, narzucanym jej przez tancerza. Jedną rękę unosiła z gracją, niby to przysłaniając oczy, drugą, opuszczoną wzdłuż sukni, przytrzymywała jak gdyby zbyt długą szatę. Współziomkowie coraz szybszym, rytmicznym klaskaniem i okrzykami: „essa!” — zmuszali „mistrza” do przyspieszenia tańca. Czasem przerywali te popisy, aby odśpiewać swoje smutne, nastrojowe pieśni przy akompaniamencie bałałajki, specjalnie nastrojonej na wysoką tonację. Kiedy zebrani rozgrzali się atmosferą, tańcami, towarzystwem, a jeszcze chcieli popisać się przed gośćmi znajomością rosyjskiego — śpiewali swoje kaukaskie czastuszki:

*Na Kawkazie jest' gora,
Tam tancujut szimila —
Szimil Bogu molitsa,
Na kalenki kłonitsa...*

*Essa, ojsa,
Ty mienia nie bojsa,
Ja tebe nie ukuszu,
Ty nie bezpokojsa!*

*Na Kawkazie jest' rieka,
Tam Ingusz kupatsa,
Ruki, nogi, żopu mył,
Kogda obosratsa...*

*Essa, ojsa,
Ty mienia nie bojsa...*

*Kawkaz bołsoj,
Kukuruzu mnogo,
Russkij dewuszka idiet,
Dajte jej dorogu...*

*Essa, assa,
Połowina miasa,
Połowina szokoład,
Połowina marmetad...*

*Ingusz motodoj,
Ingusz czornobrowyj,
U Ingusza
Kinzał nowyj,*

*Kinzał nowyj
W grud' zabjotsa,
Po kinżału
Krow poliotsa...*

*Essa, ossa,
Ty mienia nie bojsa...*

*Ingusz motodoj,
Nie boitsa draki,
Dwa kinżała po bokam,
A wintowka w*

*Essa, assa,
Połowina miasa...*

*Kak pojechał na bazar,
Kupił porosonka,
Wsiu dorogu cełował,
Dumał, szto dewczonka...*

*Essa, ojsa
Ty mienia nie bojsa...*

Ale przeważnie nastrój tych spotkań był poważny i smutny, a za progiem czekała okrutna, wroga rzeczywistość, która już wkrótce zaczęła wybierać sobie ofiary spośród nie umiejących przystosować się do niej wygnańców.

Przy budowie pieców w domach Inguszów i Czecenów asystował Marysi, kto mógł. Początkowo obserwatorzy pełni byli podejrzliwości i niewiary. Jedno wydarzenie było nawet dość zabawne. Marysia budowała kuchnię u braci Achmeda i Mowłota, którzy mieszkali ze swoją bardzo starą, suchą i pomarszczoną matką, nie wstającą już prawie z łóżka. Marysia ułożyła z cegieł plan pieca, spuściła piony od otworu kominowego i spokojnie buduje. Postawiła podstawę pieca, wmurowała ruszt, wygładziła palenisko, ułożyła płytę — wszystko to było dokładnie obserwowane przez schodzących się coraz liczniej mężczyzn — każdą cegłę odprowadzali oczami! Kilkakrotnie pomogli nawet „murarzowi” przy noszeniu cegieł lub przy ubijaniu paleniska. Zaczęła się budowa ścianki ogrzewczej z leżącymi kanałami — i wtedy podejrzliwość obserwatorów zamieniła się w napięcie. Marysia zbudowała trzy leżące kanały i nakrywała ten trzeci, szykując podstawę pod czwarty kanał, ostatni przed budową komina. I wtedy obserwatorzy zaczęli nagle mruczeć, groźnie błyskać oczyma, wymachiwać rękami i okazywać objawy niepokoju i niezadowolenia. Marysia nie zwróciła na to uwagi, zajęta trudnym technicznie problemem — a też nie przypuszczała, że ten niepokój jej dotyczy. Wtem odszedł od grupy Inguszów Izrail, wysoki, przystojny, lepiej od pozostałych mówiący po rosyjsku i powiedział do Marysi: „Słuchaj, ty! Piecznik! Nie myśl, że my jest głupi. My widzimy, że ty robisz tak, żeby nam ogień wyszedł na dom, czemu ty zamknąłeś dziurę po dach? Czemu ty dla nas jesteś wróg? Jak ty umiesz to robić, a my nie — czemu ty dla nas robisz źle?” — Marysia zrozumiała, o co im chodzi i powiedziała do „delegata”: „Czy ja już skończyłam robotę? Stań naprzeciwko mnie i patrz mi na ręce, kiedy będę swoje robiła — a potem, jak już skończę, krzycz i mów, że zrobiłam źle!” — Izrail stanął po drugiej stronie budowanego

pieca, naprzeciwko Marysi i patrzył uważnie na jej ręce i układane cegły. Marysię dusił śmiech, miała przed sobą, o długość cegły, jego pełne powagi i podejrzliwości przesłizczne, czarne oczy w oprawie długich rzęs i ciemnych brwi, pod piękną, karakułową czapką, ale — zachowując zawodową powagę — spokojnie nakryła trzeci kanał, zbudowała ścianki czwartego, zakryła go, ile było trzeba, wyprowadziła wyjście do komina i powiedziała: „Chodź, zobacz i sprawdź ręką, jak okień i dym będą chodziły do komina — i teraz powiedz, czy jestem waszym wrogiem! Tu jest długa i zła zima w tym kraju, opału nie ma i całe ciepło musi zostać w domu!” — i widzi, jak mu z tych oczu znika złość i czujność, robią się pogodne, wesołe, w końcu — sprawdził, zaaprobował, kiwnął z powagą głową do Marysi, potem do towarzyszy, oni do siebie pokiwali kolejno głowami, uspokoili się i poszli. Zostali bracia Achmed i Mowłot. Sprzątnęli resztę cegieł, gruzu i gliny. Wszyscy byli głodni. Achmed przyniósł kawałek wysuszonej baraniny i miseczkę mąki i powiedział: „Ugotuj nam zupy, to i sama zjesz”. — Marysia umyła garnek i mięso, rozpaliła ogień, nastawiła zupę, z mąki zrobiła kluski. Póki zupa się gotowała, ona wylepiła piec gliną. Achmed i Mowłot świecili jej przy tej robocie kopcikami. Gotową zupę Marysia rozlała do misek — jedną dla starej matki, jedną braciom i jedną sobie. Usiadła za piecem, w ciepłe, i zjadła zupę. Bracia zjedli, głośno ciamkając, czknęli jak należy i Achmed powiedział: „Czemu sobie nie naląłeś zupy? Wlej do miski i zjedz!” — Marysia na to: „Już zjadłam” — na to on: „Kłamiesz! Kiedy jadłeś? Myśmy nie słyszeli!” — Innym razem budowała piec w rodzinie Inguszów, w której panowały nadzwyczaj surowe, patriarchalne obyczaje. Po skończonej budowie kobieta ugotowała posiłek i wszyscy jedli. Ojciec z osobnej miski, matka z czworgiem dzieci — z drugiej! Marysi wiano do osobnej miseczki. Ojciec, chcąc ją uhonorować, wyławiał palcami kawałki mięsa ze swojej zupy i wkładał je do miski Marysi. Oczywiście zjadła, słusznie rozumując, że póki mięso dla niej wyłowił — obmył palce w swojej zupie.

Kiedyś budowała piec u ojca z pięciorgiem dzieci. Żona zmarła mu w drodze z Kaukazu, rodząc szóste — pochował ją więc wraz z martwym noworodkiem gdzieś na Uralu. Teraz był tu z pięciorgiem drobiazgu i spali pokotem na słomie, rozestanej na klepisku. Drugiego dnia Marysia przyszła kończyć piec w tym domu i zobaczyła, że ojciec z pozostałych cegieł zbudował coś w rodzaju skrzyni, nasypał do wewnątrz ziemi i gliny, ubił, nakrył piolunami i rozłożył na tym słomę z klepiska, jak na

łóżku. A teraz skrapia wodą miejsce, na którym spali, zamiata i coś zgarnia na kupkę. Marysia zapytała: „Co tak zgarniasz? Czemu się tak przyglądasz?” — On mówi: „Wszy...” — i rzeczywiście: cała kupka się ruszała...

Po powrocie z tych budów Marysia rozbierała się i myła w sieni, zostawiając tu ubranie robocze, szczególnie „do czysta” „obierając” skarpety i buty, ułożone daleko od wejścia do naszej izdebki.

Ingusi i Czeczeni — dwa pokrewne plemiona — mówili różniącymi się nieco językami, ale obyczaje mieli podobne, będąc zresztą mahometanami i jako typy fizyczne mało się od siebie różnili. Mężczyźni byli dość wysocy, smukli, mieli piękne, czarne oczy, ciemne włosy i mocno zarysowane profile. Nosili stale swoje piękne, karakułowe czapki, z których najcenniejsze były szyte ze „złoty” karakułów. Charakterystyczne dla nich okrycie — czarne, sukienne „burki” o prostej linii ramion — zachowywali tylko na uroczystości. Teraz wkładali je często z okazji pogrzebów, gdyż wymierały im dzieci, kobiety i starzy ludzie. Byli pobożni, odprawiali swoje modły trzy razy dziennie, zachowywali posty, w tych warunkach szczególnie uciążliwe, obchodzili święta. Kobiety ich były szczupłe, zgrabne, dziewczyny miały prześliczne oczy i włosy oraz urzekającą grację w ruchach. Wodę nosiły na głowach w dużych, srebrnych dzbanach. Naczynia te były obiektem naszych marzeń, tak były piękne — ale były bezcenne, i ani na kupienie, ani na wymianę stać nas nie było! Przeważnie były to bardzo stare dzbany, kute ręcznie, wysokie, o szlachetnym kształcie. Miały wąską, długą szyję, górną część w kształcie pięknie rozchylonego lejka, środkową — w postaci nieco spłaszczonej kuli i podstawę o wyszukanej linii krzywizny, dość szeroką, aby wygodnie można było umieścić ją na głowie. Wdzięcznie wygięte, cienkie ucho uzupełniało tę harmonijną całość. Powierzchnia dzbana była pokryta poprzecznymi pasami reliefów o delikatnym, ślicznym i bardzo bogatym rysunku abstrakcyjnych plecionek. Do obrzędowych ablucji używali mniejszych dzbanków, będących jakby repliką naczyń do noszenia wody. Biedniejsi posługiwali się zwykłymi, blaszanymi czajnikami.

Nie ustaliliśmy w poszukiwaniu mieszkania na zimę, ale — ku naszej rozpacz — nic nie mogliśmy znaleźć! Mama zaczęła pracować jako kierowniczka spółdzielni dziewiarskiej, gdzie robiono na drutach z dostarczanej wełny rękawice i skarpety dla żołnierzy na froncie. Antek i Terenia chodzili do szkoły, która była tu lepiej zorganizowana i nauczanie ustawione na wyższym

poziomie niż w Korniejewce czy we wsi Sowieckoje. Kołchoz był duży, dzieci było dużo — toteż opłacało się zarządowi kołchozu utrzymać we wsi „dziesięciolatkę”, czyli szkołę średnią.

Alina wyczyniała niezwykle sztuki, aby z tych nędznych ilości produktów, jakie przynosiliśmy, gotować nam posiłki! Sprawa mieszkania spędzała nam wszystkim sen z powiek. Nie mieliśmy nawet dokąd zwozić nałamanych i nakoszonych piółunów. W tej letniej kuchence nie mogliśmy zostać na zimę i absolutnie nic w tej sytuacji nie dawało się wymyślić.

Któregoś dnia Marysia budowała piec u młodego Ingusza, Zelimchana Bogodowa, który mieszkał sam z żoną imieniem Osmą w dosyć dużym, pustawym domu. Nie mieli dzieci, nie mieli rzeczy — sypiali na piecu do pieczenia chleba (który tu stanowił „standardowe” wyposażenie domu) na zwiniętych łąchmanach. Budowa pieco-kuchni przebiegała w niezwyklej scenerii: Zelimchan i jego sąsiad zza ściany — Krzemiński — kopali właśnie u Ingusza piwnicę. Nędzne, chyboczące się płomyki czterech kopcików rozświetlały nieco wnętrze, zawalone wykopaną ziemią, gliną i cegłami. Obaj kopacze, wsparci na łopatach, usiedli nad wykopanym dołem jak nad grobem i opowiadali nieprawdopodobne historie ze swego życia. Obaj byli byłymi więźniami. Krzemiński siedział jako „kułak” 8 lat w więzieniu i w łagrze. Zelimchan — Miszka, jak go nazywano we wsi — przebył 5 lat w więzieniu za zabójstwo człowieka. Przechwalał się, że miał 11 ludzi na sumieniu! Zresztą — jak twierdził — u nich na Kaukazie wszystkie spory rozstrzygały się krwawo. Krzemiński miał lat około 45, był niezbyt wysoki, krępy, miał jasne, nieco ryżawe włosy i czerwoną twarz z bruzdami wzdłuż policzków i ze zmarszczkami przy jasnyniebieskich, zimnych oczach pod prawie białymi brwiami. Miszka miał twarz budzącą grozę. Na czole miał ślad od kopyta konia, który go kopnął w dzieciństwie i naruszył mu mięśnie i nerwy czoła. Wskutek tego Miszka prawie nie otwierał powiek i wciąż nosił wysoko podniesioną głowę, gdyż musiał patrzeć przez szpary. Jedno oko miało zezą i kiedy Miszka był zły albo podniecony, tęczówka w tym oku — ciemnobrażowa z czarną źrenicą — zataczała kółka, co wywierało niesamowite wrażenie. To podniesienie głowy, wydatny, garbaty nos z blizną po lewej stronie i mocno zarysowanymi nozdrzami, krótko obcięte włosy i wygięta od ciąglego podnoszenia głowy szyja nadawały Miszce wygląd złego, drapieżnego ptaka. Chodził bezszelestnie w miękkich, kaukaskich skórzanych „cizmach” — *cziuwiakach*, nosił obcisłe, sukienne spodnie, ciemne koszule i krótką kamizelkę z owczej skóry — *ketter*. Ruchy miał

zwinne i ostrożne, nasuwające porównanie z ruchami zagrożonego zwierzęcia. — Teraz siedzieli obydwoj, wsparci o łopaty wbite w kupę ziemi, i prześcigali się w opowieściach o okrucieństwie więźniów wobec siebie samych. Opowiadali np. o karach, nakładanych na krnąbrnych nowicjuszy, którzy nie chcieli podporządkować się obowiązującym układom w celi i odmawiali oddawania części porcji chleba lub machorki starszym więźniom, kreowanym na przełożonych. Ukarany buntownik musiał człochać się na brzuchu, nosząc na sobie kolejno — lub po dwóch — starszych więźniów, aż mu się zdarło ubranie na piersiach i na brzuchu, a potem skóra, i aż ci jego „przełożeni” nie uznali, że dosyć. Inaczej — połamaliby mu ręce lub nogi, wybiliby zęby lub zadłębili na śmierć. I nikt by się za taką ofiarą nie ujął, gdyż strażnicy byli zawsze po stronie silniejszych. — I ten Miszka — Zelimchan, podczas budowania wtedy pieca — zaproponował Marysi, żebyśmy przenieśli się do jego domu na zimę! Baliśmy się go i zwlekaliśmy z decyzją aż do nastania zimy, wciąż licząc, że może coś jeszcze się zdarzy i znajdziemy inne rozwiązanie problemu.

Tej jesieni długo nie padał śnieg, natomiast powietrze pełne było pary wodnej i mgieł. W październiku zaczęły się nocami przymrozki i spadki temperatury do -10°C , i cały step (drzew tu nie było zupełnie) pokrył się sadzą: wszystkie wyschłe trawy, burzany, liście i kwiaty roślin stepowych okryły białe, zamrożone krople, tworząc przedziwne, delikatne i fantastyczne kompozycje i obrazy o takiej nieraz piękności, iż wierzyć się nie chciało, że można coś takiego na świecie zobaczyć! Takie pogody trwały przez kilkanaście dni w październiku i listopadzie. Któregoś mglistego popołudnia Staś, wracając z pola, przyprowadził wóz z wołami do domu, aby pojechać nim po nakoszone płołuny. Staś był bardzo zmęczony i poszedł spać — wybrali się więc Marysia i Antek. Wzięli widły, bat i linkę — i ruszyli drogą poza wiatrakiem w kierunku pola płołunowego, leżącego w odległości 5 km od wsi. Zaczynało się lekko zmierzchać, co przy gęstniejącej od wieczornego chłodu mgły pogorszyło i tak złą widoczność. Marysia i Antek wierzyli jednak, że zdążą wrócić przed zapadnięciem ciemności. Jechali dość szybko, o ile woły, ciągnące lekkie jeszcze wóz, miały ochotę iść truchtem. Za wsią spotkali dwa wracające wozy z płołunami. Woźnice namawiali ich, żeby zawrócili, gdyż nie ma już ludzi na polu, a w płołunach są wilki. Oni jednak postanowili jechać: wóz z wołami dostać z kołchozowej stajni było bardzo trudno. Po kilkunastu metrach jazdy pustą już zupełnie drogą — zobaczyli dwa wilki przecho-

dzące w poprzek traktu. Woły spostrzegły je także i stanęły. Za chwilę trzeci wilk przebiegł śladem poprzedników. Teraz decyzja była szybka! Zawrócili wóz — woły były tak przestraszone, że nie trzeba było ich poganiać — biegły same jak konie — Marysia i Antek ściskali widły w rękach i głośno mówili „Pod Twoją obronę”. Wilki biegły bokami drogi i w zapadającej ciemności ich cienie migały po pokrytym szronem stepie. Wilki towarzyszyły wozowi aż do wiatraka, który stał przy drodze, oddalony od wsi o niecały kilometr. Wtedy dopiero, kiedy zobaczyły światła w oknach, posłyszały głosy ludzi i szczekanie psów — zawróciły i pobiegły w step, znikając w płołunach. Śmiertelnie przerażeni Marysia z bratem wrócili do domu, obiecując sobie nie urządzać takich wypraw samotnie i po ciemku.

Utrzymywały się niskie temperatury, a śnieg wciąż nie padał. Dookoła studzien zamarzyły lodowe górki i noszenie wody groziło upadkiem i złamaniem ręki czy nogi. Ubłagaliśmy Alinę, żeby nie chodziła sama po wodę, gdyż we dwie osoby było bezpieczniej.

W pierwszych dniach grudnia przyszło dla Stasia wezwanie do Czerwonej Armii. Skończył on w październiku tego roku 17 lat, a właśnie z kołchozów „wybierano” siedemnastolatków. Mama jechała do Kallerowki do rejonowego NKWD wybronic go przed tym wojskiem jako Polaka. Naczelnik powiedział Mamie, że owszem, może Mama składać odwołanie lub podanie o przeniesienie Stasia do Armii Kościuszkowskiej, ale musi on iść do wojska, zgodnie z powołaniem, gdyż — jeżeli nie pójdzie — zostanie potraktowany jako dezertor i odpowiednio ukarany. Nie mieliśmy wyjścia. Rozpacz nas ogarniała. Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć: czy był to ślepy los, czy też zemsta prokuratora z Jawlenki za tę nieprzeprowadzoną rozprawę sądową o siano ze stogów *Siel-Po*. Musieliśmy Stasia wyprawic. Upiekliśmy mu trochę chleba w piecu u gospodyni, zdobyliśmy dla niego kawałek słoniny, wydostaliśmy ciepłą bieliznę, która wciąż leżała w komplecie ubrania, czekającego na powrót Ojca. I biedny Staś poszedł razem z innymi siedemnastolatkami z Juźnego. Nie wiedzieliśmy nawet, czy go jeszcze zobaczymy. Mama natychmiast napisała odwołanie od niesłusznego powołania go do Czerwonej Armii jako Polaka i podanie o zwolnienie go ze względu na wiek i na stan zdrowia.

Był grudzień — spadł śnieg, więc wzięliśmy się ostro za przygotowanie do piątej zimy na Syberii. Próby znalezienia innego mieszkania nie odniosły skutku — musieliśmy skorzystać z propozycji Miszki Bogołowa i sprowadzić się do jego domu.

Była to typowa dla Juźnego połowa domu: jedna długa izba, do której wchodziło się z małej sieni, z ulicy. Dom ten stał w ostatnim rzędzie od stepu, przy drodze do sąsiedniej wsi — Krasnodolsk. Niedaleko domu była studnia. Między domem i drogą był mały ogródek z płotkiem-wałkiem ze zgrabionych i równo ułożonych na wysokość 30-35 cm patyków i suchej trawy. Na ten ogródek wychodziło jedyne okno naszego nowego mieszkania i okno sąsiadów zza ściany — Krzezińskich. Żeby się zmieścić, zbudowaliśmy piętrowe łóżko: nasze duże prycze postawiliśmy przy ścianie okiennej, a nad nimi, w kierunku prostopadłym, ustawiliśmy na słupkach łóżko podwójne. Na dole spali pokotem: Mama, Zosia, Jasia, Terenia i Antek, a na górnym łóżku — Alina z Marysią. Miszka i Osma sypiali na piecu. Osma była młoda, pulchna, o krągłej rumianej twarzy i wielkich czarnych oczach z wyrazem łagodnej tępoty. Całe dnie spędzała śpiąc na piecu, czasem wychodziła gotować jedzenie. Była prawie nieobecna. Miszka ją maltretował i budził biciem każdego ranka, aż kiedyś rozszoszona Marysia walnęła go swoim podkuty kamaszem i te ranne bitwy na pewien czas ustały. Bicie żon było u tych dzikich ludzi sprawą zupełnie naturalną, do której nieszczęsne kobiety były przyzwyczajone. Brat Miszki — Achmed Bogołow — zbił swoją żonę i wyrzucił ją z domu na śnieg. Po dwóch dniach ofiara złego humoru męża zmarła, prawdopodobnie od wewnętrznych krwotoków, zostawiając troje małych dzieci. Nikt go za to nie karał ani nie prześladował. Rodacy sprawili jej pogrzeb — uroczysty, lecz trudny, gdyż kopanie grobu w zamrzniętej na kamień ziemi trwało nieraz całe tygodnie. Po dwóch miesiącach odbyło się wesele Achmeda z ładną, osiemnastoletnią siostrą Ali Azdojewą.

Kuchnia zbudowana przez Marysię grzała i gotowała dobrze. Przy drzwiach, pod ścianą na ławeczce stała woda w wiadrach, na stołku miska do mycia, a pod nim kubeł. Między pryczami zmieścił się jeszcze mały stolik na odrabianie lekcji dla Tereni i Antka oraz na szewskie wieczorne roboty Marysi. Mama dawno zarzuciła szycie — nie miała na to miejsca — natomiast dużo dziergała na drutach: wyrabiała swetry i duże, kwadratowe chustki z cieniutko uprzedzonej wełny, z koronkowymi brzegami i frędzlami.

W sieni stała owieczka Miszki, nasza koza i prosiak oraz koziołek Wasia. Dla ciepła urządziliśmy z piołunów, wzdłuż ściany domu, na opartych o ziemię i o dach żerdziach — korytarz, który zatrzymywał wiatr i śnieg i dawał poczucie zaciszy. Ciasno nam było w tej izbie okropnie, barbarzyński

Miszka okładający codziennie rano swoją żonę dla sportu, obrzydzał nam życie, ale zamieszkanie w tym domu było dla nas jedynym rozwiązaniem problemów życiowych na najbliższe miesiące. Zima srożyła się znowu. Zadymki utrudniały poruszanie się po wsi. Mieliśmy dużo opału i nie musieliśmy nosić na plecach słomy ze stepu w czasie burz śnieżnych tak, jak pierwszej zimy. Terenia i Antek pomimo mrozów chodzili do szkoły. Marysia stale miała roboty murarskie: zawalił się komin nad cieletnikiem, trzeba było przebudować piec w stolarni kołchozowej, gdzie przy okazji wspaniale oprawiono murarski młotek Marysi i zrobiono jej kilka szydeł szewskich. Jasia tradycyjnie pracowała w spichrzach kołchozowych. Wieczorami przy świetle kopciłki Mama dziergała na drutach, Marysia reperowała buty lub podszywała walonki, Terenia i Antek odrabiali lekcje. Dużo czasu zajmowało nam mielenie na żarnach. Chodziliśmy zwykle do sąsiadów za ścianą, którzy mieli bardzo rozbudowaną część gospodarstwa domu i wspaniałe, lekko mielące żarna. Za udostępnienie nam tych żaren Mama zrobiła Krzezińskiemu sweter, a Marysia co pewien czas reperowała im buty. Jedna osoba bez wielkiego wysiłku mogła w ciągu godziny namleć na tych żarnach tak dużo mąki, że na zmielenie tej ilości na naszych piekielnie ciężkich i niezdarnych zużywalismy kiedyś cały dzień. Wszystkie gospodarstwa we wsi Juźnoje miały takie doskonałe żarna. Były to pewnego rodzaju majstersztyki: dolny kamień był umieszczony na drewnianej podstawie o wysokości stołu, z dostawką na ustawienie naczyń pod korytko, z którego wysypywała się mąka. Górny kamień, płaski, bardzo starannie odrobiony, miał w samym środku otwór do wsypywania ziarna, a na obwodzie był obity żelazną obręczą, za którą tkwił długi drewniany pręt, umocowany centralnie nad żarnami w specjalnym łożysku. Takie jego ustawienie umożliwiało rozłożenie sił i znakomicie ułatwiała mielenie, które przestało być katorgą.

Przyszło Boże Narodzenie, smutne, piąte Święta na Syberii, kiedy nie wiedzieliśmy nic już o trzech członkach naszej rodziny: o Ojcu i najstarszym bracie nie mieliśmy wiadomości od pięciu lat, a teraz doszła jeszcze niepewność o los Stasia. Przygotowaliśmy trochę lepsze jedzenie świąteczne, jakieś dania, przypominające Wigilię. We wsi można było dostać maku, więc zrobiliśmy nawet kluski z makiem. Alina upiekła gdzieś trochę chleba i to było nasze świąteczne ciasto. Ukłękaliśmy do smutnego wigilijnego pacierza. Miszka i Osma usunęli się na piec.

Późno w noc wigilijną Miszka wyszedł z domu i wrócił, prowadząc swoją owieczkę z pokaleczonym, ropiejącym pyskiem.

Okazało się, że nasz prosiak wyszedł ze swojego miejsca i pogryzł owcę. Obawialiśmy się, że on każe nam płacić za owieczkę, gdyż był mahometaninem, a owca została zbezczeszczone przez dotknięcie prosiaka. Udobruchał się jednak — natomiast rano, w pierwszy dzień Świąt, sprowadził swoich czterech ziomków i zaczął się normalny, ze wszystkimi modłami i ceremoniami, rytualny ubój nieszczęsnej owieczki. Owca wydawała niesamowite odgłosy, Ingusi śpiewali monotonne modlitwy, spuszczała z niej krew, krzyczeli podnieceni i szarpali się ze zwierzęciem. Całe to makabryczne widowisko, odbywające się na przestrzeni trzech metrów kwadratowych, oglądała biedna Zosia, która wprawdzie nakryła się na głowę kołdrą, ale docierały do niej wszystkie odgłosy i odory. Reszta rodziny uciekła z domu, pomimo wielkiego mrozu, który aż oddech tamował. Wreszcie ubój zakończono, sprzątnięto krew i wnętrzności, nawet udało nam się wywieźć izbę pomimo mrozu — i tylko zostało wstrząsające wspomnienie po tej „świętecznej ceremonii”. Drugiego dnia Świąt mróz był nadal wielki, powietrze było „twarde” i z trudem dawało się oddychać. Około południa weszła do naszej izby kobieta o wyglądzie Cyganki, okutana w mnóstwo szmat, i poprosiła o trochę gorącej wody. Zagrzałyśmy — ona wodę zabrała i wyszła. Po upływie godziny wróciła z garnkiem, napełnionym wodą ze studni i powiedziała nam, że ta gorąca woda była jej potrzebna, bo jej córka urodziła właśnie dziecko. Pytamy: „gdzie?” — „No tu u was, w przejściu pod piółunami”. — Mama zaraz do nich wyszła, ale już tej młodej kobiety z dzieckiem nie było. Zdążyła pozbiierać się i pójść dokądś ze swoim noworodkiem. Matka jej niczego więcej od nas nie potrzebowała. — Tyle na Syberii przeżyliśmy w ciągu tych pięciu minionych lat, że wydawało nam się, że nic nas już zaskoczyć nie może — a zawsze jeszcze zdarzały się doświadczenia czy przeżycia, które nie mieściły się w kategoriach normalnego syberyjskiego rozumowania.

Mieszkanie u Miszki Bogołowa stawało się niemożliwe. Ciasnota była nie do zniesienia. Mycie, pranie, czynności gospodarskie, nauka dzieci — wszystko odbywało się w warunkach przechodzących granice wyobraźni. W dodatku wciąż liczyliśmy się z tym, że nie my jesteśmy gospodarzami domu i nasze sprawy muszą schodzić na drugi plan. Najgorsze było jednak zachowanie Miszki. Był on wciąż niewyżyty pod względem erotycznym i zaczął napastliwie zaczepiać przy każdej okazji Alinę, Marysię i Jasię. Wciąż musiały się przed nim bronić i to tak, żeby nie denerwować Mamy, gdyż trzeba było przetrzymać trudny okres do wiosny, póki się nie znalazło innego mieszkania.

Przyszedł luty, a z nim *wółczaja swad'ba* i wyprawy wilków do wsi. Kilka razy w tygodniu zdarzały się napady wilków na obory, porywanie i zagryzanie owiec, a nawet kałeczenie krów. Między ostatnim, północnym rzędem domów naszej wsi, w którym stała nasza chata, a sąsiednią wsią Krasnodolsk step był porośnięty piółunami. Tam były siedziby wilków. Bardzo pilnowaliśmy zamykania drzwi od sieni, w której stały nasze bydłatka, do korytarza piółunowego, gdyż stale istniała obawa, że wilki mogą dobrać się do zwierząt. — Ze względu na ciasnotę panującą w naszym mieszkaniu oraz zdyscyplinowany rozkład zajęć i kolejkę do wieczornego mycia — kiedy już wszyscy poszli spać — Marysia wykorzystywała wolne miejsce przy kopcińce i stoliku i do późnej nocy dziergała na drutach lub reperowała buty. Po skończonej robocie wylewała wodę z kubła po myciu się roździeństwa, myła się sama i szła spać na swoje pięterko obok Aliny. Pewnego wieczoru w lutym, kiedy ogromny księżyc świecił wprost w nasze okno, srebrząc wspaniałe, zamaznięte kwiaty na szybach — Marysia — jak zwykle — wyszła z kubelkiem wylać wodę na śnieg za piółunowym korytarzem. Wychodząc — znalazła drzwi od sieni do korytarza otwarte! Bardzo ją to zaniepokoiło ze względu na wilcze wyprawy. Wyszła do korytarza piółunowego, którego wylot, wychodzący na tę samą stronę co okno, był oświetlony ostrym, księżycowym światłem. I coś jej w tym wylocie mignęło. Zaniepokojona lecz nie przestraszona przeszła wzdłuż domu i stanęła u wyjścia z korytarza — oko w oko z wilkiem! Stał nieco z boku, o jakieś trzy metry od wejścia, na płaskim pagóreczku śniegowym, w ten sposób, że ściana piółunów przesłaniała go od wzroku Marysi, póki nie doszła do końca korytarza. Teraz w pełnym świetle księżycy widziała wilka doskonale, nawet pojedyncze włosy jego wspaniałego futra! Równocześnie ze zdziwieniem, przestachem i zaskoczeniem odczuwała niezwykłość chwili i zdawała sobie sprawę, że taka okazja w życiu się nie powtórzy, żeby stała tak blisko wilka i mogła go obejrzeć. Przyglądała mu się więc dokładnie: lekko skręcony w jej stronę łeb z żółtymi oczyma, wspaniałe futro, białe na brzuchu, szaro-żółte na bokach, przechodzące w srebrzysto-szary kolor grzbietu. Nagle przestach porwał ją za włosy: drugi wilk może być u zwierząt w sieni! Chlusnęła więc wodę z kubelka na śnieg, w stronę wilka, krzycząc z całych sił: „Hu! Ha!” — pierwsze dźwięki, jakie jej przysły do głowy! Wilk zląkł się, dał susa przed siebie — w stronę stepu — i wtedy zza wałka śniegowego, który utworzył się z ogrodzenia

przed domem, zerwał się drugi wilk, ukryty dotychczas za wałkiem i nie zauważony przez Marysię, zafascynowaną bliskim „zjawiskiem”, i oba — bok w bok — pognały po śniegowej równinie, zalanej światłem księżyca, pod granatowym niebem, w stronę swoich siedzib! Widok był tak wspaniały, że Marysia oczu nie mogła oderwać. Dopiero kiedy znikły w oddali, wróciła, dotknęła w ciemności ręką zwierząt, sprawdzając, czy są trzy i całe — zamknęła starannie drzwi od sieni do korytarza i od domu i wróciła do ciepłej izby, pełnej sennych oddechów. Teraz dopiero opanowało ją uczucie strachu, połączone z niepohamowaną chęcią śmiechu. W pełni oceniała grozę niebezpieczeństwa, jakiego uniknęła, oraz niezwykłość przeżytego widowiska. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie obudzić rodziny i nie pokazać wilczych śladów przed domem, ale żał jej było wyciebiać izbę i wszczynać niepokój po nocy. Poszła spać, długo jeszcze rozpałając szczegóły niesamowitego spotkania. Zasnęła z obrazem biegnących wilków pod powiekami, i ten obraz staje jej przed oczyma przez całe życie, na każde wspomnienie tamtej nocy.

Rano świeciło ostre słońce, w powietrzu migały igiełki zamrznętej pary, a na górze śniegowej przed wejściem rozpoczął się wilczy ślad, który potem równym, podwójnym rządkiem biegł przez pokryty śniegiem step w stronę pagórków po drodze do Krasnodolska. Wszyscy wysłuchali opowieści o nocnych przeżyciach, ale od tego dnia Marysia sama przed nocą sprawdzała zamknięcie drzwi od sieni. Zresztą — póki mrozy się skończyły — zjedliśmy naszego niedotuczonego prosiaka; baliśmy się, że go zagłodzimy na przednówku, nie mając sami dosyć jedzenia — a teraz mieliśmy trochę kartofli i nawet otręby z mielenia pszenicy.

W tym 1945 roku otrzymaliśmy pierwszy raz zapłatę za *trudodni*, przepracowane w kołchozie na Syberii. Byliśmy bardzo szczęśliwi, bo aczkolwiek była to znikoma ilość ziarna i kartofli w stosunku do włożonego wysiłku i do naszych potrzeb i wynoszenie ziarna przez Jasię ze spichrza po skończonej pracy nadal było nieodzownym uzupełnieniem legalnych sposobów zdobywania pożywienia, to jednak te pierwsze „wypłaty” miały dla nas wielkie znaczenie moralne: byliśmy normalnymi robotnikami, którym normalnie płaci się za ich pracę. Nie mogliśmy zaprzestać jednak zaopatrywania się w żywność „drogami nielegalnymi”, jeżeli chcieliśmy mieć siły do życia i do pracy i jakoś utrzymać chorą Zosię. Marysia i Jasia chodziły przebierać kartofle do piwnic kołchozowych. Zawsze przynosiły po kilka lub kilkanaś-

cie sztuk ziemniaków. Połączone to było z dużym ryzykiem i wielką niewygodą, gdyż przynosiło się je schowane w ubraniu, a były brudne i cuchnące. W ciągu dwóch dni można było jednak przynieść ich tyle, że starczało na jeden obiad.

Zbliżała się wiosna, był początek kwietnia. Mijało równe pięć lat od chwili, kiedy ciężarówka NKWD wywiozła nas z naszego domu na stację kolejową.

Natychmiast jak tylko zrobiło się cieplej wznowiliśmy starania o inne mieszkanie. Przy południowej stronie placu, obok budynku, w którym mieścił się *siel-sowiez*, stał długi dom parterowy, tzw. *obszczeżytie*, w którym było sześć pomieszczeń mieszkalnych, każde złożone z dwóch izb, z drewnianymi podłogami. W jednym ze środkowych segmentów mieściła się spółdzielnia dziewiarska, w której nasza Mama pracowała jako „brygadierka”. Chodząc do pracy dowiedziała się, że jedno z mieszkań jest puste. Poszła więc do *predsiedatiela siel-sowietu* z prośbą o przydzielenie jej tego mieszkania, jako pracownicy „instytucji” kołchozowej i jako matce... krasnoarmiejca, jakim był wtedy nasz biedny Staś! Nawet listy od niego przychodziły rzadko. Nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Napisał kiedyś, że jest w jednostce wojskowej w jednej z uralskich republik i że uczą ich „być żołnierzami”.

Dostaliśmy to mieszkanie w *obszczeżytiu!* Było to — można powiedzieć — zrealizowanie naszych marzeń: wchodziło się do małej sioneczki, z której prowadziło dwoje drzwi na dwie strony, do dwóch jednakowych mieszkań. Każde miało jedną mniejszą izbę z oknem na południe i jedną większą, z dwoma oknami, wychodzącymi na plac kołchozowy. W obu izbach były drewniane podłogi oraz sufity z wąskich deseczek, pomalowanych na ciemnoszary kolor. W większej izbie stała niechlujna kuchnia ze ścianką ogrzewczą, zniszczona i poobijana. Byliśmy szczęśliwi! Zaraz wyszorowaliśmy i wybieliliśmy co się dało i wprowadziliśmy się natychmiast, chociaż sąsiedzi i ludzie „świadomi” ostrzegali nas, że poprzednich mieszkańców wypłoszyły pluskwy i że nas też stąd wygryzą. Nie odstraszało nas to jednak: byliśmy wreszcie sami w czterech ścianach obszernego mieszkania! Naszymi sąsiadami przez sień była rodzina Inguszów — sympatyczni, starsi ludzie, spokojni i pogodni, z dwoma synami: Mohammedem i Achmedem. Przez ścianę z drugiej strony mieszkała koreańska rodzina przesiedlona z dalekiego Wschodu do Kazachstanu przed kilkoma laty. Ilja Iljicz Pak, trzydziestokilkuletni, pogodny człowiek, był nauczycielem matematyki w wyższych klasach miejscowej 10-letniej szkoły. Pomimo młodego wieku miał

on bardzo burzliwą przeszłość: był marynarzem, dokerem w porcie, robotnikiem na budowie, studentem, parę lat spędził w więzieniu... Z bogatych w doświadczenia przygód wyniósł umiejętność obiektywnego patrzenia na ludzi, świat i wydarzenia, co w połączeniu z obowiązującą na Wschodzie umiejętnością opanowania uczuć wytworzyło w nim zdolność zachowania równowagi w obliczu wypadków — przykrych, lub nawet dramatycznych. Był przyjemny w obcowaniu, nie dziwił się i nie unosił. Teraz osiadł, założył rodzinę i miał nadzieję, że chociaż na pewien czas los zostawi go w spokoju. Żona Ilji Iljicza — Katia — o okrągłej, lekko poznaczonej ospą twarzy i wąskich, czarnych, zawsze uśmiechniętych oczach, była spokojna, uczynna i bardzo miła. Mieli dwóch małych, ślicznych synków: 4-letniego Wołodę i 2-letniego Witę. Ilja Iljicz grywał na skrzypcach i bardzo lubił wygrywać krakowiaki, lekko „zmodyfikowane” na koreańsko-rosyjski sposób. Z nimi przez ścianę mieszkała Maria Pawłowna, nauczycielka ze szkoły, z małą, 6-letnią córeczką Żenią, żona oficera z Czerwonej Armii, ewakuowana z Leningradu. W ostatnim segmencie mieścił się warsztat pracy Mamy — spółdzielnia dziewiarska i przez sień mieszkała znów rodzina Inguśzów: stare małżeństwo z wnukiem. Ona cicha, przerażona tym, co ich spotkało, rzadko kiedy wychodziła z domu. Dopiero po kilku tygodniach naszego mieszkania w *obszczeszitiu* Mama zorientowała się w ich rozpaczliwej sytuacji życiowej i przyjęła ją do pracy w spółdzielni. Dostawała tu parę groszy i 16 kilogramów pszenicy miesięcznie. Jej mąż, pomarszczony, agresywny starzec, nie rozstający się nigdy ze swoją czapką z pięknych, czarnych karakułów, źle mówił po rosyjsku, ale za to bez przerwy sypał wiązanekami najbardziej ordynarnych rosyjskich przekleństw, źle wymawianych i akcentowanych, dzięki czemu brzmiały one bardziej śmiesznie niż przerażająco.

W nowym mieszkaniu zagospodarowaliśmy się wspaniale! Między piecem a ścianą z oknami postawiliśmy prycze, pod oknami — stolik, tymczasem mały, ale obiecyaliśmy sobie zdobyć większy, normalnej wysokości, przy którym Mama mogłaby szyć i dzieci mogłyby odrabiać lekcje, siedząc w prawidłowych pozycjach. Za stołem niezniszczalna skrzynka z dostawką pod nogi — łóżko Aliny, teraz wygodne, bo przykryte piernacikiem z piór „zdobycznego” drobiu. Pod ścianą naprzeciwko pieca — podwójne prycze chłopców, na których sypiał teraz sam Antek, chudy i wyrośnięty przy swoich 13 latach. I jeszcze na środku pokoju zostawało dosyć dużo wolnej przestrzeni! W pierwszej małej izbie urządziliśmy miejsce do mycia i tu trzymaliśmy wodę.

Marysia planowała wybudowanie tu letniej kuchni. Studnia była niedaleko, naprzeciwko budynku *siel-sowietu*, za którym z przeciwnej strony stała drewniana ubikacja z dwoma „miejscami”, obiekt szczególnej troski przewodniczącego Rady gminnej.

Pierwszą noc w nowym domu spędziliśmy, śpiąc jak zabici, wymęczeni błyskawiczną przeprowadzką. Podczas drugiej nocy wszyscy kręcili się na łóżkach, niepokojeni przez pluskwy! W czasie czwartej nocy nikt z nas nie spał i tłukliśmy atakujące nas insekty setkami, na ścianach, na podłodze, na piecu! W dzień okazało się, że miliony ich siedzą w szparach sufitu, między wąskimi deseczkami, i są niewidoczne, gdyż sufit malowany był na ciemnoszary kolor. I stąd na nas spadały! Wypowiedzieliśmy im bezwzględna walkę, wbrew prześmiewaniu się sąsiadów, że nie damy im rady. Dowiedzieliśmy się od ludzi we wsi, że pluskwy giną od żółci bydłowej. Marysia pobiegła do rzeźni kołchozowej, gdzie właśnie bito kilka sztuk bydła, szykując prowiant dla brygad połowych na okres siewów. Dostała żółci, ile chciała! Tego samego dnia wyrzuciliśmy wszystkie rzeczy przed dom, Marysia z Jasią, z głowami przechylonymi do tyłu, centymetr po centymetrze wsmarowywały tę żółć pęczkami piór w szpary na suficie. Zajął im to cały dzień! Głowy im „prawie” odpadły, oczy bolały, nic jeść z obrzydzenia nie mogły, ale miały nadzieję, że to pomoże. Resztą żółci pozalewały wszystkie dziury, połączenia podłogi ze ścianami i inne miejsca, gdzie mogłyby siedzieć insekty. Spaliśmy w mniejszej izbie, większą szczelnie zamknąwszy, żeby się to paskudztwo wytruło. Na drugi dzień Marysia wylepiła cały sufit gliną z piaskiem i końskim nawozem, z dodatkiem soli, zalepiając i reperując wszystkie dziury i szpary. Trzeciego dnia wybieliły we dwie z Jasią pokój białą gliną z solą, wyszorowały drzwi, okna i podłogę — mogliśmy wprowadzać się od nowa! Deski i podstawy prycz, stołki, ławkę, stolik — wszystko wyparzyliśmy wrzącą wodą, zmieniliśmy słomę w sienikach, i tak zabezpieczeni rozpoczęliśmy następny etap życia. Podobnym zabiegom poddaliśmy mniejsze pomieszczenie — i pluskwy znikły! Nikt nam nie wierzył. Nawet sam przewodniczący Rady gminnej przyszedł naocznie sprawdzić wyniki naszej batalii. I była to prawda! Jeżeli się jakiś intruz od sąsiadów przemycił — łatwo go było zobaczyć na białych ścianach i suficie i natychmiast zlikwidować. Do końca naszego pobytu nie mieliśmy więcej kłopotu.

Którejś nocy Mamie przyśnił się dziwny sen: szła zimą przez most na rzece w naszym rodzinnym mieście. Nagle minęły ją sanie „rozwałki”, zaprzężone w dwa konie, z dzwonieniem dzwon-

ków, pełne młodych chłopców. Kiedy przejechały, Mama zobaczyła, że jest wśród nich — Staś. Sanie podskoczyły na jakiejś grudzie i Staś wypadł, a one pojechały dalej. Póki on się podniósł, Mama podbiegła do niego i spytała: „Synku, nic ci się nie stało?” — A on podniósł się ze śniegu i powiedział: „Nic, Mamo! Proszę zobaczyć — zostałem!” Mama opowiedziała nam rano sen i powiedziała: „Słuchajcie, może Staś wróci?” — i tak się stało! Nagle, bez zapowiedzenia, wrócił nasz siedemnastoletni brat po czterech miesiącach kariery czerwonoarmiejca! Miał teraz przeszło 180 cm wzrostu, wychudł, miał ponure spojrzenie, ciężki bronchit astmatyczny, głębokie, świeże blizny na plecach i mnóstwo wszy na sobie. Odczyściliśmy go, odmyli i wpakowaliśmy na parę tygodni do łóżka. Ten okres pobytu w czerwonej armii położył się na jego życiu jak ciemna plama, którą obmurował milczeniem — i niechętnie, z rzadka mówił nam o swoich przeżyciach w obozie wojskowym na Uralu. Jeżeli czasami wymknie mu się jakieś wspomnienie — jego oczy uciekają w niewidoczne dla innych krainy, a strzępy przeżyć, które można z jego słów wyłowić — tworzą obrazy ponure i pełne wyrafinowanego, nieludzkiego okrucieństwa, które stosowano jako metody wychowawcze celem odczłowieczenia biednych, młodych, bezbronnych, stale głodnych chłopców.

Trzeba było zbudować piece w naszym nowym domu przed nasileniem robót wiosennych na polu i w ogrodach. Cegły dostała Marysia od zarządu kołchozu. Kuchenka letnia w pierwszej izbie zajęła jej jeden dzień pracy — była mała, wygodna i doskonale gotowała. Kuchnia ze ścianą ogrzewczą w dużym pokoju, pieczołowicie przemyślana, przygotowana i rozmiarzona, była swego rodzaju „dziełem mistrzowskim”. Między ścianą i piecem zostało dosyć miejsca na ustawienie małej półki z naczyniami i garnkami oraz wiaderka z wodą. Sama kuchnia z żeliwną płytą i drzwiczkami miała ciepłą „leżankę” od strony prycz, bardzo przydatną na suszenie mokrych od śniegu ubrań i walonków i grzejącą Zosię w zimowe noce. Przy budowie tego pieca Marysia zastosowała dwie zasuwy w ten sposób, żeby w dni niespodziewanie gorące można było ogień skierować bezpośrednio do komina, z ominięciem kanałów ogrzewczych. „Sam” Antoni Rosnowski — przewodniczący Rady gminnej, znający się na budowie pieców — Marysię za ten piec pochwalił, i zaraz otrzymała szereg zamówień na podobne budowle. Identyczną kuchnię postawiła sąsiadom zza ściany — Koreańczykom — w ramach „usług sąsiedzkich”. Mały, 4-letni Wołodia o ślicznych, czarnych oczkach i sympatycznej buzi był ulubieńcem i przyjacielem Aliny. Jeżeli

ktos go spytał: „Wołodia, czym jesteś synkiem?” — on nieodmiennie odpowiadał: „Ali’n!” — Jeżeli coś spsokił i Katia go strofowała lub karała klapssem — on dał się wniebogłosey i wołał po polsku — co było doskonale słychać przez ścianę: „Ala, moja Ala, ratuj mnie, mama mnie bije!” — Pakowie przeżyli tej wiosny wielką tragedię. Bardzo kochali swoje dzieci i poświęcali ich wychowaniu wiele czasu i troski. W maju zachorował ich młodszy synek i mimo zawiezienia go od razu do szpitala i do lekarzy — umarł na rękę Katii! Bardzo nam ich było żal. Byli to spokojni, uczciwi ludzie, nie tracący pogody ducha pomimo nieszczęść, jakie na nich spadły. Świadczyliśmy sobie stale małe, sąsiedzkie usługi i grzeczności. Oni byli szczególnie wdzięczni Marysi za zbudowanie im pieca i nachwalić się go nie mogli. W tym głodnym roku kończącej się wojny — jeżeli udało się Katii zdobyć coś do jedzenia i przyszykować jakiś swój przysmak, zawsze przynosiła odrobinę Zosi.

Silne, wiosenne wiatry osuszyły ziemię i przywiały chmury pyłu z wnętrza Azji. Chodziliśmy w tej burej chmurze, wznoszącej się wysoko nad ziemią, przez kilkanaście dni. Pył zgrzytał w zębach, osiadał na ubraniu, jedzeniu, podłodze, sprzętach. Wcisnął się każdą szczeliną. W końcu wiatr go przewiał, spadły wiosenne, obfite deszcze, oczyściły powietrze — i jak zwykle prawie bez wiosny — rozpoczęło się w maju upalne lato.

9 maja 1945 roku Marysia poszła rano po wodę do studni. Wyleciał do niej z *siel-sowietu* Kolka — Tatar, który tym się wstawił we wsi, że żonę przegrał w karty do brata — i krzyczy: „Marusia, wiesz, wojna skończona! Niemcy skapitulowały! Słyszeliśmy przez radio! Powiedz swoim!” — i polecał z nowiną dalej. — Była to wiadomość wstrząsająca i radosna, aż nie do uwierzenia. Lecz sceptycznie rozumująca Marysia skończyła spokojnie wykręcać wiadro z wodą ze studni, rozmyślając, jaki wpływ zakończenie wojny będzie miało na nasze położenie. Powtórzona w domu nowina też nie wywołała zbyt radosnej reakcji. Wiedzieliśmy przecie, że armia sowiecka jest w Polsce, że „ona” jest oswobodicielką naszego kraju, i nie liczyliśmy na jakąś istotną zmianę naszego losu — przynajmniej w najbliższym okresie. Zresztą znaliśmy od dawna prawdę o Katyniu, wiedzieliśmy, jak było z Powstaniem Warszawskim, chociaż relacje o obu tych sprawach wyczytaliśmy w *Prawdzie* czy *Izwiestiach* — ale już dawno nauczyliśmy się czytać prawidłowo enuncjacje w gazetach. Wobec tego — na co mogliśmy liczyć my, zesłańcy polityczni, obciążeni winą przynależności do znienawidzonej „pańskiej Pol-szy”? Byliśmy też świadkami losu otaczających nas ludzi —

Polaków z krwi i kości — w Jużnym i w sąsiednich wsiach — którzy przez tyle lat i tyle prześladowań nie stracili wiary, zachowali język, tradycje i imiona, do dzieci mówili po polsku, pozdrawiali się odwiecznym, polskim „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” — mówili do siebie: „dzień dobry panu”, „do widzenia pani”, odprowadzali nabożeństwa, przechowywali polskie książki, dokumenty i obrazy — i nikt o nich nigdy się nie upomniał! Czym oni byli gorsi od nas? — Nie! Koniec wojny nie mógł przynieść nam jakichś zasadniczych zmian na lepsze. Natomiast do wsi syberyjskich zaczęli wracać żołnierze z frontu i ze szpitali. Wtedy nie znaliśmy jeszcze prawdy o jeńcach wojennych i o tym, jak traktowała żołnierzy wracających z niewoli sowiecka ojczyzna. — Wielu nie wróciło nigdy — zginęły ich przecież miliony — wielu przyszło jako wraki ludzkie, bez rąk, bez nóg, z utraconym słuchem lub wzrokiem — i w tym kraju, odciętych od zdobyczy cywilizacji, ułatwiających życie kalekom, przywracających im chociaż częściową sprawność i wiarę we własną przydatność — skazani byli na ponurą, beznadziejną wegetację! Ta wieś — Jużnoje — żyjąca swoim własnym życiem, nie poddająca się sowieckiej beznadziejności, szanująca godność ludzi, którzy tworzyli jej społeczność, nie wtrącająca ich w rozpacz sytuacji bez wyjścia, szukająca możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb chociaż w minimalnym zakresie — była jeszcze „wyspą szczęścia” w porównaniu z innymi kołchozami na obszarze Syberii. Nikt tu w czasie największego nasilenia wojny i drenowania kołchozów z żywności nie umarł z głodu. Bydło nie padało, w brygadach polowych w czasie siewów i żniw — źle, niewystarczająco — ale karmiono ludzi. Pomimo wszystko zarząd kołchozu zostawiał sobie najbardziej skąpe „minimum” jako podstawę do przetrwania. Nie było tu takich scen, jakie oglądaliśmy w Korniejewce — że obok pryzm suszącej się pszenicy wypełzały głodne dzieci na trawę i zjadały zielone owoce jakichś roślin, wybierane pod płóciem! We wszystkich domach Jużnego żarna miały co mleć, a dym unoszący się z kominów świadczył o gotowaniu posiłków. Ale poziom życia ludzi z zarządu kołchozu niewiele różnił się od życia przeciętnego kołchoźnika, w ich domach nie lała się strumieniami wódka, kupowana za pszenicę, należną ludziom w ramach wynagrodzenia za pracę!

Charakterystycznym zjawiskiem w życiu wsi Jużnoje było zachowywanie tradycji religijnych. W domach wisiły na ścianach polskie święte obrazy, ludzie mieli stare polskie książki do nabożeństwa, różańce, śpiewniki kościelne. Obchodzono uroczyste roczne święta, znano daty świąt ruchomych, przechowywana tros-

kliwie woda święcona, przywieziona z kościoła na Ukrainie, coraz bardziej rozcieńczona, służyła do udzielania chrztu dzieciom, kropienia zmarłych, święcenia potraw na Wielkanoc. Odprowadzono nabożeństwa w Wielkim Poście, w Adwencie, modlono się w majowe wieczory, w październiku odmawiano różaniec. W każdą niedzielę zbierały się kobiety (a i mężczyźni czasem zaglądali) w którymś domu na modlitwy. Przewodniczyła im zwykle starsza kobieta, pani Komorowska, otoczona powszechnym szacunkiem. Odczytywała ona „modlitwy w czasie mszy świętej” ze starej książki do nabożeństwa, znała kolejność czynności przy udzielaniu chrztu, modliła się przy zmarłych, do niej po „błogosławieństwo” przychodziły młode pary, idące do tzw. rejestracji w urządzie. Modlitwy niedzielne szanowane były przez władze kołchozu. Zawsze było wiadomo, w którym domu ludzie się modlą. I zdarzało się, że np. w czasie żniw czy siewów przyjeżdżał w niedzielę „delegat” z rejonu, żeby swoją obecnością zachęcić ludzi do wydajniejszej pracy, pomimo wolnego w zasadzie dnia. Wtedy przewodniczący Rady gminnej szedł z nim do takiego domu, gdzie się ludzie modlili, i obydwoj czekali przed wejściem, aż ludzie skończą i zaczną wychodzić. Wówczas przemawiali, zachęcając do pójścia do pracy — ale bez przymusu i gwałtu! I kto mógł — szedł, bo czas był taki, że prace polowe wymagały pośpiechu, a rąk do pracy było wciąż mało.

W czasie tych modlitw wynikło małe nieporozumienie. Pani Komorowska odczytywała „akty strzeliste”, w których pewne wezwania następują w ustalonej kolejności po sobie. I czyta: „Niech będzie Bóg uwielbiony”. Obecni powtarzają. Idą dalsze wezwania: „Niech będzie uwielbiona Najświętsza Maria Panna” — powtórzenie. „Niech będzie pochwalona święta Tereska od Dzieciątka Jezus” — pani Komorowska żywiła szczególne nabożeństwo do św. Teresy, więc umieściła wezwanie do niej zaraz po Matce Boskiej. Teraz czyta: „Niech będzie pochwalony święty Józef Jej przeczysty Oblubieniec” — i dopiero nasza Mama zwróciła jej dyskretnie uwagę, że święty Józef nie był oblubieńcem świętej Teresy, tylko Najświętszej Marii Panny. W ten sposób św. Józef wrócił na należne mu miejsce.

Te obrzędy religijne, na które przychodzili ludzie z dziećmi, w spokoju i powadze, czysto ubrani — uświęcały niedziele i święta, utrzymywały tych ludzi w poczuciu własnej godności. Życie ich nabierało sensu, nie było wyłączone gonitwą za wykonaniem planu pracy i zaspokojeniem głodu. — I przez lata całe oni rodzili się, żyli i umierali bez innej jak taka pociechy religijnej, sakramentów i obrzędów! Co się z nimi teraz dzieje?

W kilka tygodni po zakończeniu wojny i zawarciu wstępnych porozumień pokojowych, a także po pomyślnym zakończeniu we wsi Južnoje kampanii siewnej zarząd kołchozu Južnoje postanowił uczcić te wydarzenia wielkim przyjęciem. Miało się ono odbyć w sali szpitala wiejskiego, w której — jak najstarsi mieszkańcy mówili — żaden chory nigdy nie leżał. Pomieszczenie było jednak wystarczająco duże, czyste i mogły się w nim zmieścić swobodnie stoły dla większej ilości osób. Obowiązek przygotowania przyjęcia spadł na barki Polek z 1940 roku. Jakaż zapanowała radość i krzątanie na wiele tygodni przed wyznaczonym terminem! Nareszcie będzie urządzane „prawdziwe przyjęcie”! Będzie okazja przypomnienia i zastosowania wszystkich, od lat zapomnianych, sztuczek, przepisów i doświadczeń kulinarnych! Główną mistrzynią, kierującą całością przygotowań, została mianowana pani Maria Sokołowska, której pomagało kilka pań. Wszystkie „kucharki” z wypiekami na twarzach i bardzo przejęte roztrząsały kolejność i ilość potraw oraz istotne szczegóły tak wielkiego przedsięwzięcia. Kiedy „menu” zostało zatwierdzone przez władze — rozpoczęło się szykowanie uczy. Zabito świnię, wołu, pod nóż poszło kilkanaście kur i gęsi. Namielono w wiatraku specjalnie pyłowanej mąki. Przygotowano odpowiednią ilość masła. Wybrano dorodne jarzyny na sałatki. Zebrano śmietanę. Wyprawiono „umysłnych” do Kokczetawu i Petropawłowska po cukier i niezbędne przyprawy. Zaczęło się szykowanie, krojenie, pieczenie, gotowanie! Były różne zakąski, sałatki, barszcz czerwony, kilka gatunków pieczystego, torty, kruche ciastka — no i , oczywiście — wódka. Mistrzyni kuchni były szczęśliwe, uczestnicy libacji — o ile coś do nich dotarło poprzez zamroczenie alkoholowe i zostało w ich pamięci — niesłychanie usatysfakcjonowani, bo takich dań nie jedli, jak żyją. Większość polskich rodzin — między innymi nasza — z których dziewczęta były zatrudnione jako pomoce kuchenne i kelnerki, co najmniej jeszcze przez tydzień zjadała produkty, zaoszczędzone w czasie przygotowań i przyjęcia.

Latem dotarły do nas echa targów o nasz kraj w Teheranie i Jacie. Serca nam się ścisnęły i bezsilne łzy oburzenia napływały do oczu. Krew polskich żołnierzy walczących na wszystkich frontach wojny „za waszą wolność i naszą” znowu wsiąkała w ziemię nadaremno. Czy my kiedyś wrócimy do kraju, czy też tak jak Polacy z Jużnego — będziemy skazani na obywatelstwo sowieckie? Jaki los nas czeka?

Te beznadziejne i przytłaczające rozważania odsuwały się na drugi plan, zdominowane przez troski dnia codziennego. Skoń-

czyły się zapasy z przyjęcia, wykorzystane przez Alinę w sposób nader ekonomiczny, i głód nam zaczął znowu w oczy zaglądać. Marysia wciąż żywiła się w przedszkolu, dostając tam zresztą dziecienną porcję, co przy jej ciężkiej pracy fizycznej nie wyrównywało strat energii i chodziła wciąż głodna. Anna Pawłowna Pikulina zawsze coś dla niej „zaoszczędziła”, ale w domu była Mama, Alina, Zosia i Terenia. Głód nam codziennie skręcał żołądki, zagłuszał inne uczucia. Kartofle w ogrodach dawno posadzono, zjedliśmy zarobione za pomoc przy ich sadzeniu. Zresztą ludzie sami nie mieli zapasów i płacili niechętnie i mało za pracę. Mamy „klientki” od szycia i robót na drutach też wstrzymywały zamówienia do jesieni. Marysi trafiła się przebudowa chlewu, ale inne prace murarskie też odkładano na później. Jasia, Staś i Antek byli w polowych brygadach, w których gotowano dla robotników posiłki i przez tydzień mogli przetrwać. Ale na niedziele przychodzili do domu, głodni, brudni i zabiedzeni, a myśmy często nie miały dla nich nic poza paroma gotowanymi w łupinach kartoflami. W tym czasie Miszka Bogołow zaproponował Marusi wspólną wyprawę do Nowouzienki, gdzie jakoby był piec do zbudowania u jakichś zamożnych gospodarzy. Marysia, obawiając się Miszki, zwlekała z tą wyprawą, ale w końcu doszła do wniosku, że dla głupich niepokoju nie należy zaniedbywać szans zdobycia żywności — prosiła więc tylko Mamę o modlitwę za nią, zabrała „roboczą” sukienkę, narzędzia — i poszli. Przeczucia jej nie myliły. Kiedy obie wsie były tak odległe, że nikt ich idących drogą nie mógł zobaczyć, ani posłyszeć krzyku — Miszka ją zaatakował. Broniła się zaciekle przez wiele godzin. Słońce już zaszło, zapadł mrok — on jeszcze nie dawał za wygraną — wreszcie udało się jej kopnąć go sprytnie i dał jej spokój. Ale ta walka tak ją wyczerpała, że tylko głośnie powtarzanie „Kto się w opiekę odda Panu swemu” i płacz były jej obroną! W ciemności doszła do ściany pszenicy, zmieniła poszarpaną w strzępy sukienkę na swój — czysty na szczęście strój roboczy i zapadła w pszenicę, żeby przez pewien czas odpocząć i zregenerować siły. Lęk nie pozwolił jej zmrużyć oczu do świtu. Wtedy wyszła ze zboża, przygładziła włosy i ubranie i poszła w stronę Nowouzienki, przed siebie. Miszka ją dogonił — wyspał się widocznie i wylazł skądś w chłodzie świtu — i szedł za nią, milcząc. Doszli do wsi — oczywiście żadnego pieca zamówionego nikt nie chciał stawiać! Marysia za przezornie zabrane ruble kupiła wiadro kartofli, sama przeżywiła się przez dzień, wynajawszy się do remontu domu w jakimś gospodarstwie i zarobiła jeszcze za to miseczkę pszenicy. Wieczorem ktoś z tej wsi jechał wóz-

kiem zaprzężonym w krowę do Juźnego, do wiatraka, podrzuciła więc na wózek swoje kartofle i wróciła do domu. Nikt nigdy — nawet Mama — nie dowiedział się o tej okropnej przygodzie, która — gdyby zakończyła się dla niej nieszczęśliwie — zgodnie z jej decyzją, powziętą podczas tej nocnej szarpaniny — byłaby jej ostatnim przeżyciem na ziemi.

Czekała ją trudna praca w Juźnym — przebudowa czterech pieców w szkole. Były to wielkie piece, z palonych cegieł, z kominami, wychodzącymi wysoko ponad stromy dach budynku szkoły. Nie ogrzewały one w ogóle pomieszczeń i należało je gruntownie przebudować. Do pomocy przy ich rozbiórce i do oczyszczania cegieł przydzielono Marysi tepego i małowórnego Ingusza. W czasie rozbierania pieców mogła ocenić wszystkie błędy, jakie popełniono przy ich budowie i które spowodowały bezużyteczność tych gigantycznych tworów. Ingusz nakopał, nazywał i namieszał gliny z piaskiem i z wodą, ułożył oczyszczone cegły w sterty, przyniósł wody — i poszedł. Marysia najlepiej lubiła pracować sama, kiedy jej nikt nie przeszkadzał i z nikim nie musiała rozmawiać. Spuściła pionowy otwór kominowy, ułożyła „plan” pieca z cegieł — i robota ruszyła. Wykorzystując doświadczenia, zebrane w ciągu paru lat pracy zduna, przez 6 dni postawiła większy piec w sali lekcyjnej oraz mały, zgrabny piecyk w kancelarii. Teraz wyprowadziła je do jednego komina. Przy budowie części komina nad dachem szkoły zdobyła jeszcze jedno doświadczenie: umiejętność noszenia ciężkich cegieł i wiadra z gliną po drabinie, po połaci dachowej i na kalenicę. Wniesienie pierwszego niezmiernie ciężkiego wiadra gliny, rozmieszanej z piaskiem i wodą, wydawało się zadaniem ponad jej siły. Ale szczebel po szczeblu, pokonując ciężar własnego ciała i wiadra, zmuszając do pracy wszystkie mięśnie — wniosła wiadro na dach i na kalenicę! Następne transporty materiałów już nie były tak trudne. Budowa komina była zajęciem przyjemnym. Marysia znajdowała się w najwyższym punkcie wsi i mogła stąd obejrzeć duży fragment osiedla: plac, domy, ogrody, fermę bydłą, odległe pola. Nad nią świeciło słońce i chodziły po niebie obłoki. W pracy tak się zapamiętywała, że zapomniała o porach posiłku i dopiero przed zachodem słońca Anna Pawłowna przysłała po nią kogoś, żeby ją ściągnąć na obiad. — Budowa tych dwóch pieców i komina trwała 10 dni. Kiedy były gotowe, Marysia zapaliła ogień w jednym piecu — i o zgrozo! — dym wyszedł przez drugi! Zapaliła w drugim — dym wyszedł przez drzwiczki pierwszego! Jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło! Medytacje doprowadziły do odkrycia błędu: wyloty obu pieców do komina

umieściła naprzeciwko siebie. Skąd mogła wiedzieć, że tak nie należy budować? Ceną doświadczenia było rozebranie całego komina aż do ujścia obu pieców! Teraz rozdzieliła je ścianką, zwięzając się do góry. Zbudowała od nowa komin — zapaliła w piecach równocześnie — zahuczało — pociągnęło — wygrała! Przeróbka następnego pieca była ciężką pracą fizyczną, ale nie przedstawiała żadnych „technicznych” problemów. Była natomiast połączona z pamiętnym przeżyciem. Terenia uczyła się wtedy w 8 klasie miejscowej szkoły i była najlepszą uczennicą. Z okazji zakończenia wojny wychowawczyni jej klasy wywiesiła portret Stalina — „największego przyjaciela dzieci” — i życzyła sobie, aby podczas „uroczystej akademii” Terenia położyła pod tym portretem bukiet polnych kwiatów i powiedziała takie słowa: „*Spasibo tiebie, wielikij Stalin, za moje szastliwoje dietstwo!*” — Terenia na to: „Lidia Aleksandrowna, ja tych słów nie powiem! — „Dlaczego?” — „Nie mogę!” — „Jak to, przecież jesteś najlepszą uczennicą, wszyscy cię lubią, dobrze ci jest w szkole. Musisz je powiedzieć!” — „Nie powiem. Czy pani nie rozumie?” — „Nie. To są twoje kaprysy. Pójdiesz, położysz kwiatki i powiesz, bo ja, twoja wychowawczyni, tego od ciebie wymagam”. — „Lidia Aleksandrowna, ja tego nie zrobię!” — „Nie chcesz? Odmawiasz?” — „Nie”. — „To posiedzisz sama w klasie za karę i namyślisz się!” — Po skończonych zajęciach zamknęła Terenię w klasie na klucz i poszła do domu. W tym czasie w drugim końcu dużego budynku szkolnego Marysia budowała piec i nie wiedziała, że w szkole tkwi zamknięta jej młodsza siostra. Tymczasem Terenia przypomniała sobie, że w tym samym budynku pracuje Marysia — i kiedy jej pobyt w tym „areszcie” przedłużył się ponad miarę — stukaniem i wołaniem usiłowała pokonać odległość, dzielącą ją od Marysi i zwrócić jej uwagę na siebie. W końcu udało jej się zwrócić uwagę całkowicie pochłoniętej pracą Marysi, że coś się w szkole dzieje. Przyczyniło się do tego inne jeszcze wydarzenie: rozpoczynało się zaćmienie słońca i rozproszone jego promienie, wpadające przez okno i świecące na ścianę klasy, przybierały kształt coraz bardziej zwięzających się „półksiężyców”. Przy tym i światło słoneczne przygasło — co wreszcie zwróciło uwagę zapracowanego murarza na świat zewnętrzny! Marysia posłyszała stuki i wołanie, dochodzące z drugiego końca budynku i poszła w tym kierunku. Porozumiały się — teraz Marysia wyszła ze szkoły — miała swój klucz od drzwi zewnętrznych — i po kilku próbach wspólnymi siłami otworzyły wywietrznik klasy „aresztu”. Przez to okienko, przy zapadającej coraz większej ciemności całkowitego zaćmienia

słońca, wyszła ze szkoły zapomniana przez wychowawczynię uwieczona Terenia! — Niebo było ciemne, ze słońca został promienisty pierścień, pokazały się gwiazdy. Bydło ryczało i było niespokojne, zaczęło wracać z pastwiska do wsi. Trwało to chwile — i z wolna świat się rozjaśnił, cień zszedł ze słońca, które zaświeciło znów pełnym blaskiem na błękitnym niebie. Życie powróciło do normalnego biegu.

Następnego dnia w szkole zmieszana Lidia Aleksandrowna pytała Terenię, w jaki sposób wydostała się ze szkoły, gdyż ona... zapomniała o „więźniu” i dopiero wieczorem przysłała ją uwolnić...

W szkole został do przebudowy czwarty piec, w którym nikt nigdy nie palił, gdyż od zbudowania przed ośmiu laty niemożliwie dymił. Marysia dokładnie obejrzała piec, sprawdziła kanały i odkryła przyczynę dymienia: piec miał swój własny komin, ustawiony na jego części frontowej. I ta przednia część pieca, stanowiąca „cokół” komina, miała o wysokość tego cokołu obniżone kanały ograniczające w stosunku do części tylnej. Przysłała się teraz Marysi wyniesiona ze szkoły znajomość praw fizyki! Rozebrała tylną część pieca, obniżyła kanały do poziomu frontu, nakryła piec od góry — i na „inauguracyjne” zapalenie ognia zaprosiła zarząd kołchozu. „Uroczystość” była wielka, równa chyba uczuciu dumy, rozpierającej zduna: zaskoczenie widzów było całkowite, gdyż od 8 lat nie funkcjonujący piec — „nagle” odzyskał ciąg, płomień wyrwało w górę, ani odrobina dymu nie wróciła przez drzwiczki! Skończyło się na gratulacjach dla Marysi, a Kolka-Tatar, który przegrał w karty żonę, skwitował to wydarzenie słowami: „Nu, i piecznik s tiebia, j... twoju mat!”.

Najbardziej nawet wyętzona praca nas wszystkich nie mogła zapewnić nam wystarczającej ilości pożywienia, toteż umysły nasze od rana do wieczora absorbowała jedna myśl — zdobycie czegoś do zjedzenia. Kilka wyliczonych skrupulatnie kartofli gotowanych w łupinach i kubek mleka to dzienna porcja, która poważnie musiała nam wystarczyć w ciągu tego trudnego lata 1945 roku i tak byliśmy szczęśliwi, mając chociaż tyle do jedzenia! Kiedyś Antek przyprowadził zapłakaną małą Żenię, córeczkę Marii Pawłowny, naszej sąsiadki z *obszczeszitia*; matka jej była w szkole, a mała siedziała na progu i głośno płakała z głodu! Nasz braciszek zabrał ją do nas — i z tych naszych wyliczonych kartofli w łupinach jeszcze i dla niej musiało wystarczyć.

W sierpniu były już młode kartofle, zaczęło też dojrzewać zboże i można było w nocy pójść z nożyczkami na „prywatne

żniwa”; ludzie zaczęli remontować domy, naprawiać piece, za robotę płacili produktami — zmora głodu zniknęła.

Któregoś dnia odnalazł nas w Juźnym Artaszest Tigranowicz. Marysia budowała właśnie piec w pomieszczeniu przyszłego przedszkola. Zastosowała tu „wynaleziony” przez siebie system układania cegieł nad paleniskiem. Nasz stary przyjaciel-budowlaniec tak wzruszył się i zainteresował fachem Marysi, że chciał sam piec i murarza zobaczyć. Mama przyprowadziła go do budynku, gdzie pracowała Marysia. Stary inżynier obejrzał piec, zbadał dokładnie system kanałów i sklepienie nad paleniskiem i pochwalił Marysię za inwencję i za dobre technicznie rozwiązanie układu cegieł. Obejrzał też piece w szkole i nie miał co do nich zastrzeżeń. Jego opinia była dla Marysi niezwykle cenna i sprawiła jej wielką radość. — Było to nasze ostatnie spotkanie z tym szlachetnym, opanowanym człowiekiem. Wciąż miał on nadzieję, że władze przestaną mu przedłużać w nieskończoność termin jego zesłania i będzie mógł wreszcie wrócić do warunków i środowiska, w jakim się wychował i żył i z którego został brutalnie wyrwany na tyle lat beznadziejnego wygnania. Żona jego przeżyła wojnę, wróciła do Leningradu i żyła teraz nadzieją jego powrotu. Artaszest Tigranowicz spieszył się bardzo, aby przed wieczorem wrócić do Jawlenki. Był pod stałym nadzorem NKWD. Nie chciał nawet zostać u nas na noc, a myśleliśmy, że wreszcie będziemy mieli okazję dłużej z nim porozmawiać. Cieszył się, że mamy wygodne mieszkanie z drewnianymi podłogami. Rozstaliśmy się — wiedząc, że się więcej już nigdy nie spotkamy — życząc sobie wzajemnie odmiany losu i szczęśliwych powrotów.

Rozpoczęły się żniwa. Kuchnie brygad polowych gotowały posiłki i całkiem znośnie karmiły robotników na polu. W piekarni kołchozowej szykowano pierwsze po wojnie pieczenie chleba z młodego ziarna. Chleba miało być dużo, wszyscy pracujący w brygadach i na fermie hodowlanej już łykali ślinkę na samą myśl o wspaniałym, wysokim, pachnącym chlebie! W ciągu tych kilku lat wojny ludzie już zdążyli zapomnieć, jak prawdziwy chleb wyglądał i smakował, gdyż wojenne pieczywo było ciemne, glińnaste, niewyrośnięte i rozsypujące się — piekło się je z domieszką mąki z kukurydzy i prosa. Teraz wreszcie piekarz Ormianin przygotował ciasto chlebowe, napalono w wielkim piecu w piekarni i w chwili, kiedy szykowano bochenki do wstawienia — piec się zawalił! Gospodynie błyskawicznie rozdzieliły ciasto i upiekły małe chleby w swoich domowych piecach — ale ten wielki, kołchozowy wymagał natychmiastowej naprawy. Zajął się tym stary, schorowany zdun — Krzemiński, któremu do pomocy

przydzielono Marysię i robotnika do czyszczenia cegieł. W piekarni było piekielnie gorąco. Cegły z rozbieranego pieca parzyły ręce i stopy. Strumienie potu lały się murarzom po czarnych od sadzy twarzach i rękach. W ciągu popołudnia i wieczora rozebrali jednak piec i przygotowali materiały do wielkiej „batalii” od wschodu słońca. Noc była chłodna, więc cegły i palenisko pieca wystygły na tyle, że nie parzyły rąk. O świcie ruszyła robota. Ustawili płaskie krążyny z drzewa, na których ułożyli przemyślnie sklepienie z cegieł. Na nim wybudowali kanały dymowe, nakryli je i wyprowadzili do komina. Cała budowa pieca trwała trzy dni. Usunięto krążyny, rozpalono nieduży, stale podsycany ogień, który wysuszał piec i piątego dnia — z pierwszego pieczenia w nowym piecu — przyniesiono Marysi wielki jak koło od wozu, wysoki, pachnący bochen chleba! Już nie baliśmy się głodu! Było nowe zboże, młode kartofle, była praca u ludzi, było co jeść. W zarządzie kołchozu obiecywali wysokie wypłaty za przepracowane *trudodni*. Marysia wynalazła w *siel-sowiecie* normy pracy dla murarzy i na ich podstawie obliczyła swoje „pracowite lato”: piece i kominy w budynku szkolnym i przedszkolu, piec w piekarni, duży piec z wmurowanym kotłem do gotowania zupy w kuchni dla pracowników fermy hodowlanej i kołchozowych spichrzów — utworzyły jej niewiarygodnie wielką ilość *trudodni*. Pracowała sama, bez pomocników, i całą wykonaną robotę rozliczała dla siebie. Ale w *siel-sowiecie* działał bezbłędnie i bezwzględnie Kolka-Tatar. Całe starannie przygotowane rozliczenie Marysi zmniejszył dokładnie o połowę i powiedział, że nie będzie zarabiała tyle, co ludzie z zarządu kołchozu! Nie pomogły protesty, udowadnianie czarno na białym stojących i funkcjonujących pieców i kominów — Kolka był najważniejszy przy zatwierdzeniu rozliczeń i nikt z nim nigdy nie wygrał!

Przyszły wiadomości o zabiegach Związku Patriotów Polskich w Sowietach i Wandy Wasilewskiej o nasz powrót do Polski. Nie dawaliśmy wiary tym wieściom, wciąż oczekując ratunku z Zachodu i innych rozstrzygnięć polskiego losu.

W październiku, który tego roku był wyjątkowo ciepły i słoneczny, z MTS w Makaszowce przyszło do zarządu naszego kołchozu zapotrzebowanie na trzech robotników do prac przy remoncie garaży i warsztatów. MTS w Makaszowce przeprowadzał przy pomocy swoich maszyn i załogi wszystkie ciężkie prace polowe w okolicznych wsiach i co kilka lat ekipa robotników ze wsi współpracujących z MTS przeprowadzała niezbędne prace

przy konserwacji zakładu. Zarząd kołchozu Južnoje wysłał do MTS stolarza — Hausera, zduna — Marysię i niewykwalifikowanego robotnika — młodego, milczącego Ingusza. Zawiózł ich do Makaszowki wieczorem parokonnny wóz. Przyjechali późną nocą do nieznanego wsi. Woźnica zaciął konie i odjechał do domu, a oni zostali w ciemności, nie wiedząc gdzie się obrócić. Marysia dostukała się do domu zastępcy dyrektora i robotnicy z Jużnego noc spędzili, śpiąc na podłodze w jego domu na sianie przyniesionym z szopy. Rano, podczas odprawy robotników i przydzielania prac, sensację wywołało oświadczenie Marysi, że jest zdunem i powinna dostać z przydziału robót piec do samodzielnego murowania, a pomocnik jest jej potrzebny tylko przez parę godzin do przygotowania materiałów. Pierwszy dzień jej pracy, kiedy po odprawieniu pomocnika powiesiła swoim zwyczajem piony od otworu komina i zaczęła budowę dużego pieca ogrzewczego w wielkim pomieszczeniu tokarni, wywołał niebywałą sensację: procesje pracowników MTS, z dyrekcją na czele, przychodziły ją oglądać. Przed niemądrymi uwagami bronił jej stary majster z tokarni, z którym Marysia od razu nawiązała sympatyczny kontakt. Zrozumieli się, jak dwoje fachowców — i występowali solidarnie. On z zainteresowaniem obserwował budowę pieca, biegał do innych zdunów, którzy równocześnie budowali jeszcze trzy piece w innych pomieszczeniach zakładu i znosił jej plotki o postępach pracy. Marysia pracowała szybko, żeby jak najprędzej skończyć i wrócić do domu. Przygotowała zawczasu samonowe krążki na komin, żeby wyschły póki ona skończy budowę, gdyż było już za zimno na stawianie komina z cegieł na dachu. Po czterech dniach piec był gotowy. Duży, wysoki z dwoma rzędami kanałów ogrzewczych i z własnym wysokim kominem. Kiedy Marysia poszła na obiad, członkowie zarządu MTS przyszli zapalić w piecu dla próby i określenia „poziomu pracy”. Wśród nich szczególną zgryźliwością odznaczał się główny księgowy, dość młody człowiek z ryżawymi włosami i brodą, który przy każdym kontakcie z Marysią nie omieszkiał obdarzyć jej złośliwymi uwagami na temat losu, jaki przypadł w udziale młodej, „burżujskiej” dziewczynie, która musi w sowieckim kołchozie wykonywać taką ciężką, brudną pracę... Próba rozpalenia pieca wypadła pomyślnie, pracę można było uznać za skończoną, zdun mógł wracać do domu. Inni specjaliści nie ukończyli jeszcze swoich zadań — nie było więc możliwości otrzymania transportu, i 35-kilometrową drogę z Makaszowski do Jużnego musiała Marysia odbyć samotnie na piechotę. W butach było za gorąco, gdyż niezwykle na październik w tutejszym klimacie pogody trwały nadal — szła

więc bosó. Do Juźnego przyszła późnym wieczorem, kiedy już zimna rosa spadła na ziemię i trawę. Na skutek przeziębienia nogi jej po upływie kilku dni pokryły się wielkimi i bolesnymi wrzodami, które nekły ją przez wiele tygodni.

Wykorzystując ładne pogody, kto mógł, chodził łamać piołuny — dobry, wydajny i jedyny tu opał na zimę. W listopadzie padał deszcz ze śniegiem, było zimno i łamanie piołunów było już utrudnione.

W połowie listopada wszyscy dorośli Polacy zostali wezwani do siedziby rejonu, Kellerowki, w celu przeprowadzenia „opcji”, czyli zmiany obywatelstwa z sowieckiego na polskie i wręczenia im dokumentów podróży do Polski. Był to dla wszystkich Polaków wielki dzień — i chociaż długo łudziliśmy się, że inny rząd polski będzie nas do kraju zabierał — wszyscy z ogromną radością i wzruszeniem poszli do rejonu. Chora Zosia i kilka starszych osób pojechało wozem, specjalnie wysłanym przez zarząd kołchozu. Dokumenty, które otrzymaliśmy po oddaniu zaświadczeń sowieckich, były dwujęzyczne, pisane na dużym arkuszu papieru, podzielonym wzdłuż na połowy. Po lewej stronie była wklejona fotografia właściciela i tekst był napisany w języku rosyjskim. Po prawej stronie — polski tekst stwierdzał, że obywatel polski... udaje się do Polski na stały pobyt w ramach umowy między rządami polskim i sowieckim, zawartej w dniu... Dokument wystawiał Związek Patriotów Polskich w ZSSR. Otrzymałmy też zaświadczenia, stwierdzające przynależność każdego z nas do Związku Patriotów Polskich w ZSSR, podpisane przez sekretarza rejonowego oddziału Związku, urzędującego w Kellerowce. — Przy wydawaniu tych dokumentów wydarzył się incydent, który mógł mieć groźne następstwa. Nie wiadomo z jakiej przyczyny przy wypisywaniu dokumentów pominięto Zosię, która w czasie naszego pobytu na Syberii ukończyła 18 lat. Skreślono ją zarazem z dokumentów Mamy. Enkawudyści, którzy wydawali nam dokumenty w Kellerowce, oświadczyli, że oni na to żadnego wpływu nie mają i dla Zosi dokumentów na wyjazd do Polski nie ma, gdyż ona nie jest umieszczona w ich spisach. Nic nie pomagały dowodzenia Mamy, że Zosia przed sześcioma laty była dzieckiem i była wpisana do dokumentów Mamy i tylko przez przeczenie jakiegoś niezbyt doświadzonego urzędnika nastąpiła ta fatalna pomyłka. Oni początkowo zupełnie słyszeć nie chcieli o jakichś uzupełnieniach. Dopiero kategoryczne postawienie sprawy przez Mamę, że nikt z nas się nie ruszy, jeżeliby jej chora córka miała sama zostawać i że wszyscy natychmiast zwracamy dokumenty wyjazdowe — zmieniły stosunek enkawudystów do

tej sprawy. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że w tym wypadku więcej mieliby kłopotu z pozostawianiem ośmiu osób, niż ze sprostowaniem pomyłki w sprawie jednej chorej dziewczynki — czy też może znudziło im się dręczenie nas dłużej — dość, że po kilku godzinach daremnych rozmów nagle zmienili ton, spokojnie wydali dokumenty Zosi — i mogliśmy wrócić do Juźnego, oczekiwać wraz ze wszystkimi Polakami dalszego rozwoju wypadków.

Był to bardzo trudny okres, to przeciągające się czekanie! Obiecano nam wyjazd przed Nowym Rokiem — ale zbliżała się zima i musieliśmy podjąć decyzję, w jakim kierunku mają pójść nasze wysiłki: czy szykować się do zimy — szóstej na Syberii — a więc łamać piołuny, póki ich śnieg nie zasypał, opatrywać mieszkanie, reperować i łatać rozsypujące się walonki i ubrania, gromadzić zapasy żywności — czy też nastawić się wyłącznie na wyjazd i szykować suchary, tłuszcz i ubrania na długą drogę?

Ubrania nasze były już w tragicznym stanie. Buty i walonki ledwo się trzymały, okrycia były w strzępach, prześcieradła i poszewki na poduszki już od dawna zszywaaliśmy z kawałków, od wielu miesięcy nie mieliśmy już poszew na kołdry — i używane bez pokrowców niszczyły się szybko, wyłaziła z nich wata — i gnieździły się wszy... Całe mnóstwo... To była najgorsza plaga! Wielokrotnie zwalczyliśmy pluskwy, obroniliśmy się skutecznie przed wszami we włosach — ale tych straszliwych insektów w zniszczonych kołdrach i postrzępionych watowanych ubraniach nie mieliśmy możliwości wytępić! Nie było tu żadnych środków chemicznych do walki z nimi — a wszystkie sposoby „mechaniczne” nie dawały żadnych rezultatów. Szła zima, mowy nie było o wynoszeniu pościeli na śnieg i mróz, nie było mydła — i była to największa, upokarzająca klęska, dobijająca nas poczuciem całkowitej bezsilności.

Już straciliśmy nadzieję na szybki wyjazd! Na początku grudnia spadły wielkie śniegi, zawały drogi — i zbliżały się szóste na Syberii Święta Bożego Narodzenia, które cały świat obchodził już radośnie, oswobodzony od grozy wojny! Nawet nasze wieczorne modlitwy były smutne i pełne przygnębienia. W codzienne odmawianie psalmu „Kto się w opiekę od da Panu swemu” wkładaliśmy jeszcze resztki nadziei z naszych serc, udręczonych coraz straszliwszym lękiem o przyszłe losy. Zaczynaliśmy znów wpadać w beznadzieję po chwilowym zbudzeniu się złudzeń wyrwania się z tej otępiającej, nieludzkiej stagnacji.

Piołuny, których przez tę ułudę wyjazdu nie naszykowaliśmy dostatecznie dużo, kończyły się nam szybko i trzeba było uzupeł-

niać zapasy opału. Staś i Antek, który przerwał naukę w szkole ze względu na tę życiową potrzebę, chodzili do stajni kołchozowej do pracy przy koniach, skąd zawsze mogli przynieść garść słomy zmieszanej z sianem — tzw. „objedki” — na ugotowanie posiłku. Posyłano ich też do stert słomy lub siana saniami po paszę dla bydła — i wtedy droga zawsze im „wypadła” obok domu, gdzie szybko zrzucali parę „widel” tego nędznego opału. Czasem jeździli po drzewo do odległego o 70 km lasu. Wyprawy te podczas olbrzymich mrozów i *buranów* były niezwykle niebezpieczne, szczególnie że brali w nich udział młodzi, niedoświadczeni chłopcy, nie zawsze zdający sobie sprawę z następstw brawury lub nieostrożności. W zasypanym śniegiem lesie musieli najpierw odkopać głęboki na półtora metra zmarznięty śnieg wokół drzewa, żeby dobrać się do grubszej części „odziomka” brzozy. Samo piłowanie i zrąbanie wybranej sztuki też było niebezpieczne. Potem trzeba było oczyścić drzewo ze zbędnych gałęzi, wszystko na „trzaskającym” mrozie, kiedy zmarznięte, rąbane siekierami drzewo dźwięczało jak szkło. Pocięty na kawałki pień ładowano na sanki i po przenocowaniu w kazachskiej wsi na obrzeżu lasu „drwale” wracali do domu. Po drodze zrzucali przy domu kawałek drzewa i dopiero po odwiezieniu ładunku na miejsce mogli wrócić do ciepłego mieszkania. Wchodzili pokryci śniegiem i pełni mrozu. Antek, który miał twarz pokrytą dziecinnym puszkim, miał oszroniałą czapkę, policzki, nos i brodę, i widać było tylko oczy, usta i dziurki od nosa! Przy zmarznięte do skarpet walonki ściągaliśmy im z nóg dopiero po rozgrzaniu ich na leżance pieca. Widząc nasze przerażenie i rozżalenie z powodu ich stanu i losu, jaki im przypadł w udziale, Antek, grzejąc zmarznięte walonki, wygrywał na bałające lub mandolinie nowe czastuszki lub przyśpiewki, których się właśnie podczas wyprawy nauczył.

Trzeba było chociaż wybielić ściany izby na Święta, żeby na pewien czas uzyskać nastrój porządku i dyscypliny. Wynieśliśmy wszystkie rzeczy z pokoju do małej izby, a pościel dla dezynfekcji na mróz i słońce. Marysia z Jasią spieszyły się bardzo, żeby w ciągu krótkiego, grudniowego dnia zdążyć z robotą przed zachodem słońca i wielkim, nocnym spadkiem temperatury. Zgrzane, spocone, biegały tam i z powrotem, myjąc, trzepiąc, wynosząc i wnosząc rzeczy z podwórza. Zmęczyły się — ale dom na Święta był czysty i pachnący. W dzień Wigilii kończyły sprzątanie, Alina i Terenia zajęte były szykowaniem jedzenia i pieczeniem chleba w piecu, znajdującym się w pomieszczeniu spółdzielni dziewiarskiej z dojściem z sąsiedniej sieni. Wieczorem,

po kolacji i pacierzu, Alina była już tak zmęczona, że Jasia i Marysia postanowiły same pójść po chleb, który trzeba było wyjąć z pieca. Wyszły do sieni i zamarły: przez niedomknięte — na szczęście! — drzwi od sieni na podwórze wchodziła zaspą śniegowa, sięgająca pod sufit! Schwyciły łopaty, które stały zwykle w małej izbie, wykopały schody w zaspie i odsunęły śnieg od dachu na tyle, aby można było wyjść z domu. Przez cały czas wiał bardzo silny wiatr i gnał tumany śniegu, który zasypywał oczyszczone przed chwilą miejsca. Odkopały śnieg od drzwi spółdzielni dziewiarskiej. Wyjęły chleb z pieca i walcząc ze śniegiem i wiatrem przyniosły go do domu, odkopując znowu zasypane wejście! Postanowiły przynieść jeszcze wody ze studni przy *siel-sowiecie*, korzystając z odkopanych drzwi. Wody nie było w domu, a przy takim *buraniu* wyjście rano z domu mogło okazać się niemożliwe. Zabrały więc wiadra i łopatę, którą zostawiły opartą o ścianę domu w miejscu, którego śnieg nie zasypywał — i poszły do studni. Po drodze utworzyły się już dwie olbrzymie jak góry zasypany śniegowe, przez które musiały przeczołgać się na brzuchach, gdyż wiatr dosłownie zwałił z nóg. Nabrały wody do wiader ze studni, przy której było nieco zaciszniej, gdyż wiatr rozbijał się o budynek *siel-sowietu*, wiejąc za to ze zdwojoną siłą po jego bokach. Wracały w ten sam sposób, czołgając się po górach śniegu w górę i w dół i podając sobie ostrożnie wiadra z wodą. Przyszły wreszcie do domu — i tu musiały przekopać się znów przez górę śniegu, którą im *buran* od nowa nawiał przed drzwiami i do sieni. Nareszcie były w domu! Zgrzane, przewiane „na wylot” wiatrem, z drżącymi jeszcze z wysiłku rękami i nogami! Wiatr gwizdał w kominie, ale w mieszkaniu było zacisznie i ciepło, palił się małe płomyk kopciłki i nie było gór śniegowych. Poszli wszyscy spać — rano znów trzeba było przekopać się przez śnieg! Nasze drzwi od sieni odkopali sąsiedzi, gdyż zaspą opierała się o naszą ścianę — ich wejście było nie zawiane. *Buran* trwał przez trzy dni — i przez te dni życie we wsi toczyło się w nadzwyczaj zwolnionym tempie. Wykonywano tylko niezbędne czynności i wszyscy usiłowali jak najmniej wychodzić z domów. Po upływie kilku dni Marysia zaczęła odczuwać skutki tych nocnych wojen ze śniegiem: bolał ją bok, wieczorami nie chciała jeść, miewała dreszcze tak silne, że leżąc przy gorącej leżance, nakryta futrem — trzęsła się z zimna. 5 stycznia 1946 roku miała już 40° gorączki. Zaczęła się długa, nęka jąca ją i cały dom straszna choroba. Marysia leżała na pryczach, spocona i nieprzytomna. Czuwająca nad nią Mama ze zgrozą słuchała jej gorączkowych modlitw do Boga o łaskę przeżycia do wiosny, gdyż

kopanie grobu w czasie śnieżyc i mrozów jest takie kosztowne i trwa nieraz cały miesiąc! — Marysia nic jeść nie mogła — chciała tylko pić. Mleko było drogie i nie mieliśmy już nic na wymianę. Mama po nocach dziergała swetry przy świetle kopciki, czuwając przy Marysi — ale to wszystko było mało! Szczególnie że od połowy stycznia pod drugą ścianą leżał Staś, chory na ciężki bronchit, świszczącym oddechem i ciężkim, duszącym kaszlem budzący po nocach całą rodzinę. I gryzły nas wszy! Kiedy Marysia otwierała w nocy wymęczone chorobą oczy, wzrok jej napotykał straszliwy widok: naprzeciwko niej siedział na swojej pryczy Staś i chudymi rękami, wystającymi z postrzępionych rękawów piżamy, tukał na kołdrze wszy, które były najbardziej dokuczliwe, zanosząc się przy tym ciężkim, męczącym kaszlem. Przy stoliku siedziała Mama, której senna głowa opadała na sweter, dziergany przy pełgającym płomyku kopciki.

Mama poprosiła Dinę Pietrownę, felczerkę, żeby przysłała zobaczyć Marysię i pomogła nam wydestakować jeden litr mleka dziennie z kolchozu dla chorej. Dina przysłała, stanęła w drzwiach, popatrzyła i powiedziała: „Po co mnie wzywacie? Lepiej zaczniecie kopać grób, przy tych mrozach to może trwać i miesiąc!” — Mama wyprosiła ją z domu. Jasia poszła do biura kolchozu, do przewodniczącego Mikołaja Aresztowicza, aby poprosić go o wypisanie jednego litra mleka dziennie, bez „skierowania” od felczerki. Kiedy Jasia weszła do jego biura, był u niego jakiś gruby interesant, który przysłuchiwał się, z jaką ciekawością połączone ze współczuciem przewodniczący kolchozu Južnoje wypytuje o zdrowie kogoś z Polaków. W końcu zapytał: „A kto to choruje?” — Aresztowicz na to: „Polka, dziewczyna, murarz — zresztą znasz ją, bo u ciebie w MTS piec budowała w październiku. A teraz jest taka chora, że nie wiadomo, czy przetrwa!” — Na to ten gruby: „A szkoda by było, bo ten piec, który ona postawiła, jest najlepszy ze wszystkich czterech, jakie wtedy u nas zbudowano!” — I jeszcze rozmawiali o piecach w szkole, ale już Aresztowicz wypisał tę kartkę na mleko do kierownika fermy hodowlanej i Jasia wróciła do domu. Od tego dnia jedynym pożywieniem Marysi było 1/2 litra gorącego mleka z masłem, a potem z tłuszczem naszej kozy. Była jałowa — ale tak zapasiona, że rzeźnik wytopił z niej 7 kg tłuszczu, tak że Marysia miała co pić z mlekiem. Drugie 1/2 litra mleka wypijał Staś. Wieczorem któregoś dnia przysłała żona Aresztowicza i przyniosła szklanek cukru i trochę suszonych jagód na zaparzenie „herbaty” dla Marysi. Ponieważ choroba Marysi przeciągała się, pewnego dnia Aresztowicz wypytał Antka o stan chorej, na-

stępnie dał mu swoje sanki, konia i burkę i wyprawił go po lekarkę do szpitala w Krasnej Polanie, oddalonej od naszej wsi o 12 km. Były tam dwie lekarki — ale odmówiły przyjazdu, tłumacząc się brakiem czasu. Po upływie 10 dni znowu Aresztowicz posłał po nie sanki — i one ponownie nie chciały przyjechać. W tym czasie Alina wybrała się do Petropawłowska sankami, zaprzężonymi w wołu o nazwie „Poluńko”. Jechało ich z naszej wsi pięcioro, wyprawę planowali od miesiąca i wreszcie dostali sanie. Nie można było tej podróży odkładać, gdyż na wiosnę, w czasie „kampanii siewnej”, mowy nie było o możliwości wyjazdu! A musieliśmy sprzedać trochę mąki, aby kupić walonki, jakieś watowane spodnie dla Stasia i kawałek materiału na łatanie kurtek. Pogoda była straszna: mróz trzaskający, wiatr i *buran* zbijający z nóg. W tamtą stronę wędrowali siedem dni, nocując w mijanych wsiach. Po drodze przyłączyli się do nich ludzie z sąsiednich wsi, tak że wędrowali w gromadzie i droga im minęła bez większych przygód. W Petropawłowsku Alina poszła do niedawno otwartej cerkwi, gdzie była świadkiem wstrząsających scen — wrzeszczących powitań otwartego domu bożego po wielu latach przez przyjeżdżających do miasta prawosławnych Rosjan. Alina pomodliła się przed obrazem Matki Boskiej o zdrowie dla Marysi i w jej intencji postawiła przed obrazem zapaloną świeczkę...

Droga powrotna była okropna. Wszędzie nawiane olbrzymie góry śniegu, wiatr utrudniał poruszanie się i kręcił tumanami śniegu tak, że chwilami tracili orientację. Pomimo że sanie były prawie puste, a podróżnicy całą drogę odbywali na piechotę — sterany ciężką pracą w kolchozie, leciwy wół Poluńko padł im na drodze o 30 km od domu! Taka strata pociągała za sobą rozprawę sądową i zwrot ogromnych kosztów wołu lub kilka lat więzienia! Mężczyźni poszli szukać pomocy w pobliskich wsiach, zostawiając Alinę na drodze przy zdychającym Poluńku, aby go pilnowała... przed wilkami! Alina nakryła jego i siebie wszystkim, co znalazła na saniach. Na szczęście — w krótkim czasie przyszli mężczyźni, prowadząc ludzi, woły, sanie i weterynarza. Dorznięli zdychające zwierzę, weterynarz (za godziwą opłatą) wystawił świadectwo, że wół padł ze złamaną nogą i on kazał go dorznać, władowali górę mięsa na przywiezione sanie, do swoich zaprzęgli pożyczonego wołu i powędrowali do domu.

Choroba Marysi była beznadziejna. Już było wiadomo, że zbiera się ropa w prawym płucu, gdyż bardzo bolała ją bok i wskazywał na to przykry zapach. Wszyscy byli przekonani, że wkrótce nastąpi chwila ostateczna. Mama ostatkiem nadziei wierzyła

jeszcze w jej wyzdrowienie i broniła się przed pertraktacjami w sprawie kopania grobu, do czego ostrożnie namawiali Mamę wszyscy „życzliwi” sąsiedzi. Czasem ktoś zająrzył do naszego po-grążonego w ciągłym przygnębieniu i smutku domu, ale popa-trzywszy na nieprzytomną Marysię czym prędzej wychodził, nie mogąc znieść jej widoku. 15 lutego rano Marysia zaczęła dusić się od strumienia ropy, zalewającej jej gardło i wypływającej gwałtownie przez usta. Mama natychmiast rzuciła się do niej z ręcznikami. Było tego coraz więcej i więcej! Aż po upływie godziny wymęczona Marysia opadła na poduszki. Mama nachy-liła się nad jej siną twarzą i wychudłymi rękami o fioletowych w tym momencie palcach i powiedziała: „No cóż, córeczko, pew-nie pójdziesz do Boga” Słowa te dotarły jeszcze do umysłu Marysi i natychmiast usnęła. Temperatura spadła jej gwałtownie z 40° do 35°, tętno było prawie niewyczuwalne. Wszyscy byli przekonani, że jest to sen ostatni.

Tymczasem po upływie kilku godzin Marysia obudziła się i za-żądała jeść. Wypiła mleka. Wypiła herbaty. Staś, który już był zdrow, wybiegł na wieś, szukać dla niej czegoś do zjedzenia. Terenia przyniosła w kieszeni kurtki garść mięsa krojonego, ścią-gniętego gdzieś przy wyrobie kiełbas. Mama usmażyła to mięso — i Marysia — pierwszy raz od sześciu tygodni — zjadła praw-dziwy posiłek. Na drugi dzień wróciła Alina ze swojej wyprawy. Przywiozła dwie pary walonków, spodnie dla Stasia, trochę cu-ku dla Marysi — i przerażenie z powodu tego zdechłego Po-luńka, za którego wszystkim uczestnikom wyprawy groziła roz-prawa sądowa i wysokie kary pieniężne. — Tymczasem 20 lutego zaproszono Mamę do *siel-sowietu*. Wróciła po kilku kwadransach i oznajmiła nam, że przyszło rozporządzenie z województwa, iż wszyscy Polacy mają być odwiezieni na stację kolejową w Tajen-czy, skąd pociągiem odjadą do Polski. Termin odjazdu z Już-nego ustalono na 2 marca.

Marysia tak wychudła podczas sześciu tygodni choroby, że ko-lana sterczały jej jak kule przyklejone do cienkich nóg! Zaczynała uczyć się chodzenia, trzymając się ścian i sprzętów. Musiała ze-brać siły na tę długą podróż! Nadszedł termin wypłat za prze-pracowane w 1945 roku *trudodni*. Wydano nam naszą zarobioną pszenicę — a właściwie „zaliczkę” na wypłatę — reszty już nigdy nie mieliśmy odebrać. Dostaliśmy cetnar (100 kg) suchego, piękn-ego ziarna, ale już nie było czasu na jego zmielenie przed wyjaz-dem. Jediną drogą uzyskania mąki była wymiana ziarna we mły-nie na mąkę. Marysia przy pomocy Jasi dotarła do biura koł-chozu i Aresztowicz nie tylko wydał „kartkę” do kierownika

wiatraka na tę wymianę, ale wypożyczył nam swoje sanki i konia na przetransportowanie worków. Przywiezioną mąkę zaprzyjaź-nione sąsiadki rozdzieliły pomiędzy siebie, żeby nam upiec chleba na drogę. — W ostatnich dniach lutego nagle zjawiły się obie lekarki ze szpitala z Krasnej Polany. Przyszły do nas i zapytały: „Podobno u was jest ciężko chora osoba?” — Mama na to: „Była, i zarząd kołchozu Južnoje posyłał po was dwukrotnie konie — ale wy odmówiłyście przyjazdu”. One na to: „Ale podobno ta chora żyje?” — „Nie wy ją wyleczyliście — i nic tu nie macie do roboty!” — brzmiała odpowiedź mamy.

Codzienne chodzenie, względnie dobre odżywianie, na które wymieniliśmy z bólem serca dotychczas przechowywane ubranie Ojca, wciąż mając nadzieję, że kiedyś do nas wróci — z każdym dniem wzmacniały siły Marysi. Nawet mogła już 2-3 godziny dziennie, siedząc z wyciągniętymi nogami i oparciem pod plecy, poświęcić podszywaniu walonków na drogę. Cała rodzina zajęta była likwidowaniem naszego nędznego „dobytku” i szykowaniem się do podróży. Alina kupiła w kołchozowej rzeźni kawał... zam-rzniętego Poluńka i ugotowała nam na drogę wielki garnek „bigosu” z wołowiną. Mieliśmy worek chleba, trochę sucha-rów, woreczek mąki, trochę słoniny. Nikt nie mógł ani prze-widzieć, ani nam powiedzieć, ile czasu ta nasza podróż będzie trwała! Spieniężyliśmy lub wymieniliśmy na żywność prycze, ławki, stołki i wszystko, co się tylko dało! Braliśmy na drogę koce i wszystkie ciepłe płaszcze oraz ocalałe, zniszczone futra. Zielone „mundury” znów okazały się bardzo przydatne, aczkol-wiek bardzo już były zniszczone. Mama uszyła każdemu z nas drugą zmianę bielizny z niepotrzebnych już resztek prześciera-deł. Wszystkie książki polskie, podręczniki szkolne, różańce i obrazki rozdaliśmy sąsiadom. Marysia zabrała przybory szewskie. Narzędzia murarskie, które bardzo lubiła i chciała zabrać na pa-miątkę — musiała zostawić. Antek musiał także zostawić bała-łajkę i mandolinę, które sam sobie „wyrzycował” z jakichś zde-molowanych resztek tych instrumentów. Chłopcy zabrali ze sobą tylko swoje wspaniałe, plecione z pasemek skóry w nadzwyczaj przemysłny sposób baty. Żal nam było naszego domu — czystego, bez pluskiew, ze wspaniałe grzejącym piecem. Żal nam było każ-dej dzieżki, każdego garnka, prycz, stołu, ławek — do tego stop-nia, że opuszczaliśmy to nasze „gospodarstwo” ze ściśniętymi ser-cami. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka w tym — nie znanym teraz — kraju, dokąd właśnie mieliśmy jechać.

Wreszcie nadszedł dzień odjazdu — 2 marca 1946 roku. Wszyscy Polacy zgromadzili się na placu przed *siel-sowietem*.

Przewodniczący kołchozu Južnoje polecił przygotować dla nas mocne sanie i najsilniejsze konie z kołchozowej stajni. Sam też wyszedł nas pożegnać, chociaż był niezdrów tego dnia, a na świecie było mroźno. Wyległa nas pożegnac cała wieś. Mieszkańcy wsi Južnoje dali nam na drogę troskliwie przechowywane burki, kozuchy i walonki. Anna Pawłowna Pikulina — płacząc ze wzruszenia — oddała Marysi swoje znoszone co prawda, ale całe i ciepłe pimy. Tragicznie przeżył nasz odjazd 20-letni chłopak, Ludwik Hauser, mieszkaniec wsi Južnoje, który z czerwonej armii został przeniesiony — jako Polak — do Armii Kościuszkowskiej i walcząc w jej szeregach stracił nogę pod Warszawą. Leczony w szpitalu w Poznaniu, otrzymał przyzwoitą protezę — i przyjechał do Jużnego odwiedzić matkę. Zaprzyjaźnił się ze Stasiem i był częstym gościem w naszym domu. Ponieważ krwią opłacił przynależność do Polski, miał wciąż nadzieję, że wróci do kraju, który pokochał i do pozostawionej tam dziewczyny! NKWD w Kokczetawie szybko jednak wybiło mu te mrzonki z głowy. Nasz odjazd był dla niego grobem jego nadziei i marzeń. Stał teraz wśród mieszkańców Jużnego z odkrytą jasną głową i z kamienną twarzą, po której strumieniem płynęły łzy... Czuliśmy, jak między nimi, stojącymi na śniegu, i między nami — łądującymi się na sanie — powoli wznosić się zaczyna niewidzialna ściana.

Pośrodku wsi stała na górze śniegowej gromada Ingusów i Czechenów w swoich odświętnych, czarnych burkach i pięknych, karakułowych czapkach. Patrzyli na nas w milczeniu. Myśmy wyjeżdżali do ojczyzny, a oni zostawali tu jeszcze — kto wie, na jak długo? Może na zawsze? Żegnali nas jak przyjaciół, z którymi się wiele przeżyło — dobrych i złych dni — bez zbędnych słów.

Żałowaliśmy się wszyscy na sanie. Troskliwie okrywano dzieci. My — czym się dało — opatulaliśmy Zosię. Wreszcie wszystkie cztery zaprzęgi ruszyły. Wszyscy Polacy, cała wieś Južnoje szła z nami po śniegowej drodze. Step, pokryty twardą skorupą zmarzniętego śniegu, lśnił w popołudniowym, czerwieniejącym słońcu. Idąc śpiewaliśmy wszyscy polskie stare pieśni religijne: „Serdeczna Matko...”, „Zdrowaś Maryja...”. Tak doszliśmy wszyscy do cmentarza i do pamiętnego krzyża. Polacy z Jużnego uklękli na śniegu. Wyciągnęli do nas ręce. Wielki szloch wstrząsnął nimi i nami! Za chwilę myśmy odjechali na Zachód, na męczącą podróż do kraju, a oni zostali, klęcząc na śniegu, mała, zagubiona, czerniejąca na białej pustyni garstka płaczących Polaków!

Co z nimi teraz się dzieje? Gdzie są? Wywiezieni z Kaukazu Czecheni i Ingusi wrócili do swoich osiedli po 12 latach. A oni? Żaden nasz list do nich nie dotarł — na żaden nie dostaliśmy odpowiedzi.

Obraz ich towarzyszy nam przez wszystkie lata, które upływały od tamtego dnia. Czy ktokolwiek kiedyś upomni się o nich, czy też wsiąkną w ten rosyjski bezmiar, tworząc nowe pokolenia syberyjskich ludzi o pięknych, polskich nazwiskach, którym z dawnych tradycji zostanie strzęp obrazu i pojedyncze słowa pacierza?

DROGA POWROTNA

Droga do stacji kolejowej Tajencza zajęła nam trzy dni. Był duży mróz, szczypiący w twarze. Trzeba było iść, żeby nie zmarznąć. Zosię okrywaliśmy na saniach, czym tylko mogliśmy! Przydały się nam teraz znowu owe futra, po raz któryś ratujące nas od mrozu, które były taką solą w oku dla naszych kolejnych przygodnych „opiekunek”! Marysi rodzeństwo pomagało zejść z sani i przejść kilkadziesiąt metrów. Męczyła się szybko, płatała się w długiej, ciężkiej burce, ale te spacerunki były jedynym ratunkiem przed zmarznięciem. Cała kawalkada stawała, kiedy trzeba ją było z powrotem włożyć na sanie!

Do Tajenczy przyjechaliśmy 5 marca. Tu czekali na nas członkowie rejonowego zarządu Związku Patriotów Polskich oraz nasi formalni opiekunowie, przedstawiciele rejonowego NKWD. Wóznicę sań odebrali od nas pożyczone na drogę burki, kozuchy i walonki, pożegnali się z nami, i odjechali do swojej wsi. Teraz sprawdzono nam starannie dokumenty. Rozegrało się przy tym kilka rozdzierających scen — kiedy parę osób, które wyszły za mąż lub pożeniły się z miejscowymi obywatelami zabierano ze stacji z powrotem do ich przepiślowego miejsca zamieszkania. Szczególnie tragiczny przebieg miało zatrzymanie pewnej Niemłodej już niewiasty, która początkowo, w przystępie jakby ataku szału, krzycząc przeraźliwie szarpała się z enkawudystami, potem — obezwładniona i prawie bez świadomości — z obrzękniętą, czerwona, nieprzytomną twarzą została wyniesiona ze stacji.

W oczekiwaniu na resztę Polaków z innych pobliskich wsi i na pociąg, którym mieliśmy jechać spędziliśmy kilka dni na stacji Tajencza, śpiąc pokotem na podłodze budynku stacyjnego. Pierwszego zaraz wieczoru „zaopatrzeniowcy” — Jasia, Staś i Antek — udali się na pobliskie pola, skąd wrócili z wiązkami siana. Rozesłane na podłodze i jako tako przykryte kocami zapewniły nam „luksusowe” spanie w nocy i wygodne siedzisko w dzień. Wreszcie 7 marca przyjechały oczekiwane wagony. Po ponownym sprawdzeniu dokumentów załadowano nas do tych „salonek” — wielkich, bydłowych (czy też towarowych) wagonów, zaopatrzonych w piecyki żelazne z rurami kominów, wychodzącymi na zewnątrz, prymitywną ubikację i dwa poziomy drewnianych prycz pod ścianami. Ze względu na nasze chore — nasza rodzina zajęła niższy poziom prycz. Rozesłaliśmy „zdobyczne” siano, wypakowaliśmy koce i kołdry i urządziliśmy sobie wygodne legowisko. Na stacji w Kowczetawie znowu sprawdzono nam dokumenty i obecność w wagonach, przekazano nasze wagony — doczepione teraz do długiego pociągu — kierownictwu transportu — i ruszyliśmy. Transport ten nosił numer 1032, składał się z 50 wagonów, wśród których był wagon sanitarny i wagon kierownictwa. W pozostałych jechało po około 30 osób. Był wciąż duży mróz, ściany wagonu, a szczególnie wszystkie części metalowe, były grubo pokryte szronem. Nie dawano nam węgla do palenia w piecykach. Musieliśmy go sami zdobywać na stacjach w czasie postojów. Nie dawano nam też nic do jedzenia. Czyżby organizatorzy naszej podróży nie zdawali sobie sprawy, w jakim stanie większość Polaków wyjeżdżała po tych sześciu latach pobytu w kołchozach północnego Kazachstanu? Nad nami, na wyższym poziomie prycz, umieściła się wielka rodzina żydowska, Dratwowie z Nowogródka, z ośmiorgiem drobnych dzieci. Najmłodsze, urodzone w 1940 roku, miało 6 lat. Byli oni w niezmiernej nędzy: ubrani tylko w swetry i spódnice lub spodnie, zrobione na drutach przez matkę na Syberii, z owczej, ostrej wełny, włożone na gołe ciała, byli tak zawszeni, że wszy sypały się na nas przez szpary w deskach ich prycz. I nie było przed tym ucieczki! Po 10 dniach podróży wszyscy początkowo dyskretnie, potem już bez skrępowania — ściągali w nocy ubrania i tłukli wszy przy świetle ognia z piecyka żelaznego. Szczególnie żałosny widok przedstawiali wtedy starzy, wynędzniali i otepiali ludzie.

Jechaliśmy bez konwojentów — a przynajmniej bez ich widocznej opieki. Nikt nam nie ryglował drzwi. W czasie przejazdu przez Ural zdaliśmy sobie sprawę, że jednak naprawdę

wracamy do Europy! Było wtedy szczególnie zimno, ale nie mogliśmy się powstrzymać, żeby nie odsunąć trochę drzwi i nie popatrzeć na wyniosłe, kamienne olbrzymy, majestatycznie wznoszące się na granicy dwóch kontynentów. Mijaliśmy „znajome” stacje: Kurgan, Swierdłowski, Złatoust... W Złatouście, miejscowości leżącej już po europejskiej stronie Uralu, posłaliśmy znaleźć coś do jedzenia. Dworzec kolejowy, obok którego zatrzymał się nasz pociąg, był duży, brzydki i zupełnie pusty. Za odrapanym bufetem stała kobieta w brudnym fartuchu, a na nigdy nie mytych i od stu lat nie malowanych półkach i szafkach stały gipsowe atrapy winogron, jabłek, mięs, serów — liczące sobie najmniej 80 lat! Takie same atrapy i takie same widoki spotykaliśmy i na innych stacjach. Do jedzenia natomiast nie mogliśmy znaleźć niczego. Czasem udawało nam się kupić parę jaj lub jakichś suchych pierożków na bazarach, gdzie widywaliśmy wynędzniałych ludzi, usiłujących wymienić jakieś fragmenty ubrania na żywność. Ale i na bazarach żywności nie było. Jedna z wypraw po żywność w czasie postoju na stacjach miała tragiczne zakończenie. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy pociąg miała ruszyć. Gromadka zgłodniałych ludzi ledwo wlokąc zeszywniałe od długiego bezruchu i osłabione nogi, wracała kiedyś do stojącego na stacji pociągu, który właśnie ruszył, nie czekając na nich. Przerażeni pasażerowie biegli, na ile im sił starczyło, ludzie w pociągu podnieśli głośny krzyk, aby maszynista usłyszał i zatrzymał transport — niestety! Wagony jechały, początkowo wolno, stopniowo przyspieszając. Ludzie biegnący obok wdrapywali się do wagonów, wciągani przez współpasażerów. W końcu została tylko jedna kobieta, matka dwojga dzieci, dobywająca resztek sił, aby nie zostać na stacji. Wyciągnęły się po nią ręce współpasażerów. Ona podniosła swoje. W porywie rozpaczliwie usiłowała skoczyć — i wpadła pod koła jadącego już szybko pociągu, które obcięły jej obie nogi. Straszliwy krzyk — okaleczonej ofiary i tych, którzy widzieli — wstrząsnął powietrzem. Wtedy dopiero maszynista zatrzymał pociąg. Z niedalekiej jeszcze stacji przybiegli ludzie. Wydobyli ten nieszczęsny, krwawiący szczątek ludzi spod kół, na oczach odchodzących od zmysłów dzieci. Po pewnym czasie transport ruszył w dalszą drogę — a pomiędzy torami została dogorywająca wykrwawiona istota. Na okrutnej ziemi sowieckiej przybyła jeszcze jedna, nieznaną mogiła.

Kto i gdzie tym nieznanym żołnierzom będzie składał wieńce przy dźwiękach hymnów narodowych?

Dopiero w wiele lat potem dowiedzieliśmy się, że rok 1946 był dla Związku Sowieckiego rokiem wielkiego głodu, kiedy orga-

nizowały się „od nowa” kolchozy, zlikwidowane przez Niemców na zajętych przez nich obszarach. Ta „reorganizacja”, połączona — jak zwykle w tym kraju — z masowymi morderstwami i prześladowaniami doprowadziła do katastrofy rolniczej o takim rozmiarze, że na mlekiem i miodem płynącej Ukrainie dochodziło do przypadków ludożerstwa.

Nie dawano nam jeść w drodze, a zapasy zabrane „z domu” kończyły się szybko. Bigos z Poluńkiem zjedliśmy dawno. Chleb wydzielaliśmy sobie sami nader skąpo — ale i tak „wychodził”. Marysia wykonywała drobne naprawy obuwia współpasażerom z pociągu — i czasem dostawała za to trochę mąki na kluski lub parę sucharów. Po dwóch tygodniach podróży posłano nas w Ufie do łaźni, a ubrania nasze zabrano do odwieszalni. Wieszało się je na metalowych wieszakach i wjeżdżały potem całą masą do kabiny z gorącym powietrzem. Wszystkie kobiety w tym czasie przechodziły nago do wielkiego pomieszczenia z betonową podłogą, pokrytą drewnianymi matami. Stały tu długie ławki, na nich były poustawiane blaszane nieduże miski, a przy ścianach były krany z zimną i z gorącą wodą. Dano nam też mydło! Ta masa nagich, brudnych kobiet, stłoczonych na małej przestrzeni, robiła tak przygnębiające wrażenie, jak wyobrażenie któregoś z hiszpańskich malarzy o piekle. Stare kobiety, dawniej tęgie, nagle wychudzone i wstydzące się tych swoich obwisłych i zwiotczałych ciał wyglądały jak makabryczne karykatury z rysunków satyryków — naturalistów. Ale był to wielki dzień — przez kilka godzin poczuliśmy się czysti i wyzwoleni od wszy. Zaatakowały nas one natychmiast w wagonach i to — można powiedzieć — ze zdwojoną siłą!

Zaczynaliśmy być wszyscy głodni. Mąka się skończyła, chleba i sucharów mieliśmy bardzo mało, tak że jadaliliśmy jeden raz dziennie zupę — wodę zagotowaną z kawałkami chleba, żeby na dłużej starczyło. Jechaliśmy już przez europejską część Rosji, wszędzie widząc nędzę i zniszczenia. Wieziono nas łukiem od południa w stronę Białorusi. Pociąg nasz włókł się, przystawał na bocznicach, czekał na stacjach — przepuszczał transporty, idące z Zachodu w głąb kraju. Czego one z tego Zachodu nie wiozły! Meble, maszyny, samochody, ogromne ilości jakichś urządzeń fabrycznych, całe wielkie, załadowane szeregi platform z demobilem wojennym, działa, czołgi, potrzaskane samoloty, samochody pancerne, ogromne ilości wszelkiego rodzaju złomu, którego sterty zalegały na stacjach kolejowych, czekając na wywiezienie. Szyły na wschód długie pociągi załadowane węglem, którego wysoką jakością sprawdzaliśmy w naszych piecykach żelaz-

nych: kiedy nasz transport stał na stacji w sąsiedztwie takiego pociągu z węglem, chłopcy błyskawicznie wskakiwali na platformy i zrzucali — ile się dało — brył i kawałków węgla wzdłuż pociągu. Kiedy transport z węglem ruszał, „zaopatrzeniowcy” zeskakiwali i szybko znosili węgiel do naszych wagonów. Jechaliśmy z zachodu pociągi, załadowane wspaniałymi olbrzymami leśnymi, wyrąbanymi może gdzieś w Puszczy Białowieskiej lub w lasach Wileńszczyzny. Jeszcze wtedy mieliśmy wciąż nadzieję, że ziemie wschodnie wrócą do nas, a może i Sowietci nie byli zbyt pewni ostatecznych rozstrzygnięć.

W tym głodującym kraju widywaliśmy też leżące przy stacjach wzdłuż torów długie przyzmy ziarna pszenicy, nie zwiezionej do spichrzów na czas od momentu jej przywiezienia — i teraz, kiedy śnieg stopniał i słońce przygrzało, porosły wysoką, gęstą, zieloną runią! Mijaliśmy opuszczoną, biedną ziemię, na której nikt nie zasiał, spalone i zrujnowane miasta i osiedla. Wydawało nam się, że nędza i zniszczenia są tak wielkie, że przy znanym nam systemie gospodarki kraj ten nigdy nie podniesie się z kłęski! Na którejś stacji staliśmy dosyć długo na boczniczy, czekając na przejechanie transportu z zachodu. Niedaleko tego miejsca pracowała przy naprawie torów grupa robotników. Jeden z nich podbiegł nagle do nas i zduszonym szeptem, gorączkowo powiedział: „Pani, ja z Polski, jestem Polak z Wilna, Chrzanowski się nazywam! Byłem w niewoli u Niemców, oni mnie teraz trzymają w więzieniu i tu pracuję z grupą więźniów. Ale ja Polak jestem! Przedtem wzięli mnie do wojska, byłem na froncie — a teraz wiem, że nigdy już do rodziny nie wrócę! Módlcie się za mnie!”. Ledwo zdążył to powiedzieć, natychmiast podbiegł do niego strażnik i bijąc go kolbą karabinu odpędził od naszego pociągu! Ilu takich nieszczęśliwych ludzi zginęło na tych bezmiarach! Nigdy, żadne statystyki ani najbardziej skrupulatne badania historyczne nie ujawnią tych tajemnic i nie policzą ofiar!

Na stacjach czasem podchodzili ludzie do naszego pociągu, chcąc obejrzeć „panów z Polesy!” — i odchodzili, zawiedzeni, widząc głodnych i brudnych obdartusów z czerwonymi od niewyspania i sadyz oczyma!

Czym bardziej zbliżaliśmy się do granicy Polski, tym wiosna była wyraźniejsza. Znikł szron ze ścian wagonów, po nocach nie drżeliśmy z zimna, w dzień słońce już mocniej przygrzewało. Na łąkach, wśród trawy, widać było żółte kaczeńce. Na postojach, lub kiedy pociąg włókł się noga za nogą, otwieraliśmy na ościertz drzwi wagonów i grzaliśmy się na słońcu. — W Tule zrobili nam drugie mycie i odwieszenie. Po dwóch tygodniach podróży — tak

jak planowaliśmy — zmieniliśmy bieliznę. Zużyta wyrzuciliśmy z pociągu. Na parę dni poczuliśmy ulgę! W worku z żywnością pozostały nam już tylko spleśniałe ułamki chleba, z których gotowaliśmy zupeł. Znając mapę i lokalizując mijane większe miejscowości, ze strachem przeliczaliśmy na dni odległość, dzielącą nas od celu podróży. Kiedyś, między zrujnowanym Homlem i Mińskiem, wskoczył do wlokącego się pociągu — do naszego wagonu — miejscowy człowiek. Szczupły, względnie czysto i schludnie ubrany, wypytał nas, kim jesteśmy i dokąd jedziemy. Ciepło było, siedzieliśmy ze spuszczoneymi z drzwi wagonu nogami, pociąg włókł się, jak wóz zaprzężony w woły. On nam mówił, że tutejszy, pytał nas, czy wiemy, jadąc z tak daleka, jaki rząd jest w naszym kraju. Jechał tak z nami kilka godzin. Słońce zaszło, zapadł zmrok. On powiedział: „Ot, i dojechał! Ja stąd, z Kalinowki! A wy” — i reszta po polsku: — „Jedźcie z Bogiem! I módlcie się do waszej Matki Boskiej Częstochowskiej, żeby nasi prędzej od was wyszli, bo do takiej nędzy wasz kraj doprowadzą, jak z nami zrobili. Bóg z wami!”. I pobiegł w ciemność.

Mineliśmy strzaskany Homel, zbombardowany Mińsk, wjechaliśmy na nasze ziemie, tak niedawno od nas odcięte! Więcej tu było miast i osiedli — i chociaż wojna także tu pozostawiła zgliszcza, widoczne były ślady lepszego gospodarowania. Ogrody i drzewa przy domach, porządniejsze zabudowania, dużo zieleni i drzew przydrożnych, drogi i przesieki w lasach... Widzieliśmy po drodze umarłe lasy z kikutami drzew, obciętych przez pociski...

Którego ranka wjechaliśmy na stację w Brześciu Litewskim. Wysiedliśmy z wagonów. Wielki, ponury, odbudowujący się ze zgliszcz dworzec otoczony był stosami zwalonych *trafiej* z Zachodu: połamanych mebli, szaf, luster, fortepianów! Jakichś skrzyń z wysypującymi się potłuczonymi naczyniami i z ubraniami! Książek! Kanap! Wszystkie „zdobycze”, jak nas oświecił przygodny rozmówca, odbierano wracającym z Zachodu żołnierzom, żeby nie szerzyli „zachodniej zarazy” i marzeń o dobrobycie wśród prostych, prawomyślnych obywateli. Te stosy połamanych i unicestwionych wytworów rąk ludzkich zrobiły na nas wstrząsające wrażenie: dalszy ciąg sowieckiej Apokalipsy!

Rozpaliliśmy ogniska, gotowaliśmy zupeł z pozostałych spleśniałych okruchów chleba i oszukiwaliśmy głód. Stacja pełna była ludzi, pociągów, materiałów budowlanych porozrzucanych w niechlujnych stertach, transportów jadących na wschód i zachód i przeraźliwego, jęczącego gwizdu parowozów.

Pod wieczór załadowano nas do osobnego pociągu, stojącego na europejskich wąskich torach. Byliśmy tak głodni, wymęczeni i niewyspani, że nawet nie wywarło to na nas większego wrażenia. Teraz jechaliśmy prędzej, siedzieliśmy na ławkach. Rano, przez okna wagonu, widzieliśmy na mijanych stacjach znajome polskie napisy. Byliśmy w kraju. Otepienie i głód oraz wynikający stąd lęk przed nieznaną przyszłością były jednak dominującymi uczuciami. Co tam zastaniemy? Jakie życie nas czeka? Kto z rodziny ocalał? Czy ktoś wie cokolwiek o naszym Ojcu? Może nasz brat wrócił? Pytania — niezliczone — kołatały się po naszych umęczonych głowach w takt stukania kół pociągu! Jechaliśmy w milczeniu, patrząc przez okna na kraj, przez który szła już wiosna.

Zjawiły się wysokie perony stacji podwarszawskich. Przeważało stukające zwrotnice. Pociąg stał, jechał, zwalniał. W końcu — dojechał na stację Marki pod Warszawą.



Był dzień 30 marca 1946 roku.

Wyszły z pociągu ludzkie zmory, dorośli i dzieci, wygłodzeni, wychudli — w strzępach fufajek i watowanych spodni, w zgrzebnych swetrach na gołe ciała, w niezdarnych paltach ze starych, watowanych kołder, w groteskowych strojach, zeszytych z kałków różnych materiałów —

- z głowami owiniętymi łachmanami, w przedziwnych czapkach —
- w dziurawych, wykoślawionych resztkach butów, w walonkach z dziurawymi piętami, zatkanymi wiechciami słomy —
- z fioletowymi plamami głodu i wycieńczenia na brudnych, wymęczonych twarzach —
- z zapadłymi, zgaszonymi oczami —
- Ukłękły na torach, wyciągały ręce do nieba —
- Całowały ubity żwir i czarny żużel między torami, który dla nich był odzyskaną po latach udreki — ziemią ojczystą.

SPIS TREŚCI

<i>Od Autora</i>	7
<i>Poputnia</i>	21
<i>Awierjanowka</i>	41
<i>Korniejewka</i>	74
<i>Južnoje</i>	147
<i>Droga powrotna</i>	189

CHAPITRE 2192

7
12
27
47
74
181

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 OCTOBRE 1981
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1981.

MARIA JANUSZKIEWICZ · KAZACHSTAN

F. 55,00